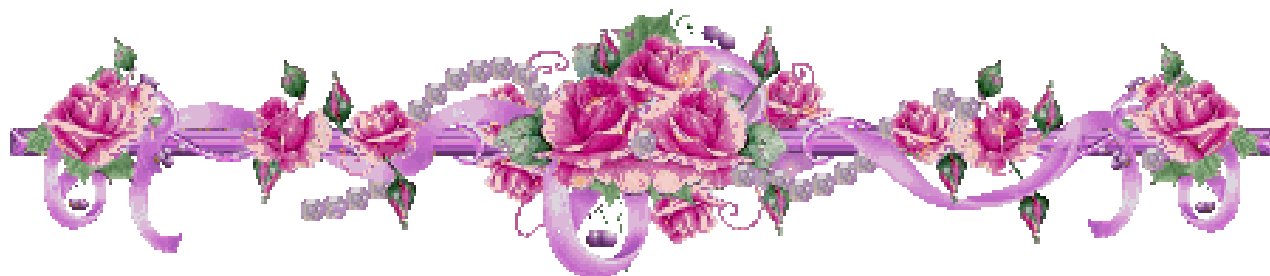


*Spencer LaVyrle*

## *Wiosenne zauroczenie*



*Win, pewna siebie i praktyczna, nigdy nawet nie wyobrażała sobie, by coś zniweczyło jej doskonały świat i doskonale ślubne plany. Wystarczyła jednak chwila, by serce powiedziało jej, iż tak właśnie się stało...*

*Joseph wiedział, że Winn obiecała swą miłość innemu mężczyźnie, że musi skrywać swą głęboką namiętność. Wiedział jednak i to, że serce nie kłamie: taka miłość zdarza się tylko raz w życiu.*

*Poznali się na wystawnym wiosennym ślubie, zaledwie na parę miesięcy przed planowanym ślubem Winn. Czy dali się ponieść nastrojowi chwili? Czy był to początek prawdziwej miłości, która połączy ich na całe życie?*

## *Rozdział I*

Próbie uroczystości zaślubin wyznaczono na godzinę dziewiętnastą. Winnifred Gardner otworzyła drzwi katolickiego kościoła św. Andrzeja. Była spóźniona dziesięć minut. Miała nadzieję, że wśliznie się niepostrzeżenie, przeraziła się więc, gdy nagły powiew marcowego wiatru popchnął drzwi wyszarpując jej klamkę z dłoni. Uderzył nimi w ceglastą ścianę, po czym zawirował w przedsionku, oznajmiając wszystkim jej spóźnienie. Mamrocząc przekleństwa jedną ręką próbowała odgarnąć z oczu włosy, drugą powstrzymywała uparte wrota.

Przynajmniej pięćdziesięciu ludzi stojących w przedsionku odwróciło się, zauważając jej spóźnienie. Narzeczona, narzeczony, ksiądz, ministranci, rodzice, drużbowie, odźwierni i druhny — wszyscy przyglądali się, jak wbiegała bez tchu, wnosząc za sobą zapach warsztatu samochodowego Earla Evvsvolda. Wyglądała przy tym, jakby właśnie tam umyła jej włosy gumowym węzłem.

Sandy Schaeffer — jutrzejsza panna młoda i najdroższa przyjaciółka Winnie — zostawiła ojca Waldrona i podeszła do niej uśmiechając się.

— Winnie, nareszcie jesteś!

— Przepraszam za spóźnienie, Sandy, ale mój samochód...

Sandy machnęła ręką.

— W porządku. Nie ma jeszcze organisty, a i tak dopiero omawialiśmy całą ceremonię.

Sandy odruchowo sięgnęła po dłoń Winnie i prawie jej dotknęła, ale ta szybko ją cofnęła.

— Nie dotykaj mnie! Cuchnę benzyną! Nie znoszę tych stacji samoobsługowych.

Winnie powąchała swoje palce, skrzywiła się i włożyła dłoń w kieszeń płaszcza w momencie, gdy przyłączył się do nich postawny mężczyzna.

— I oto jest! Pierwsza druhna! — przywitał ją przyjacielskim pocałunkiem w policzek.

— Cześć, Mick! Przepraszam za spóźnienie. Nic mi się dziś nie udaje.

— Nie ma sprawy. My też dopiero przed chwilą przyjechaliśmy.

Winnie przyjrzała się przyszłemu mężowi Sandy. Przystojny, towarzyski mężczyzna, z pochodzenia Polak, człowiek, który uczynił swoją narzeczoną najszcześniejszą kobietą w Brooklyn Park w stanie Minnesota. Czasami Winnie okrutnie zazdrościła im łączącej ich tajemniczej więzi, tyle nieuchwytniej, co koniecznej do stworzenia tego specyficznego związku. Jakże często śmiali się, droczyli ze sobą, ale ponad wszystko łączyło ich wiele wspólnych zainteresowań.

Mick objął Sandy ramieniem i uśmiechnął się do niej. Winnie ruszyła w stronę toalety. Ale narzeczonego przyjaciółki zatrzymał ją i kiwnął na kogoś palcem.

— Hej, Jo-jo, podejdź tutaj!

Mężczyzna przerwał rozmowę z rodzicami Micka i przeprosił ich, wskazując na przywołującą go parę. Podeszedł i klepnął Micka w ramię.

— O co chodzi, Ski, mój przyjacielu?

Mick Malaszewski odwzajemnił gest, wolną ręką ujmując Winnie pod ramię.

— Czas, abyście się poznali. Jo-jo, to jest Winnifred Gardner, pierwsza druhna Sandy. Winnie, oto mój najlepszy przyjaciel — Joseph Duggan.

Jo-Jo. Ile razy słyszała to imię? Silna, kwadratowa

dłoń ujęła rękę Winnie, zanim zdążyła go ostrzec przed benzyną. Ale chwilę później zapomniała o wszelkich przestrożach z wyjątkiem jednej — dotyczącej jej serca. Usłyszała bowiem dźwięczny, przyjemny tenor dobywający się z jego ust.

— Ach, więc to jest Winnie! Wreszcie spotkałem kobietę, z którą mam zaszczyt iść w parze... jako družba!

Nakrył jej dłoń swoją i uśmiechnął się równie pięknie, jak przemówił przed chwilą.

Nie tak go sobie wyobrażała. Nie tak wysokiego, nie tak nonszalanckiego. Dotychczas nazwisko Joseph Duggan przywoływało na myśl wizję osoby silnej i brutalnej, być może niebezpiecznej, o dzikim irlandzkim temperamentem i silnej posturze. Tymczasem Jo-jo był układny i mierzył niewiele ponad pięć stóp. Jego kręcone, brązowe włosy bezładnie kłębiły się na głowie. Miał najbardziej błyszczące oczy, jakie kiedykolwiek widziała. I najsilniejszą, twardą dłoń, którą Winnifred właśnie uchwyciła lewą ręką, zapominając o pierścionku zaręczynowym.

— Joseph — powiedziała — po tym wszystkim, co o tobie słyszałam, mam wrażenie, jakbyśmy się znali już kilka lat.

— Ja również. Ale to, co ja o tobie słyszałem, okazuje się być nieprawdą.

— Tak? — podniosła oczy z ciekawością.

— Dawno już chciałem cię poznać, ale oni ciągle mi to utrudniali.

Jego wzrok na moment zatrzymał się na ustach Winnie. Nagle zdała sobie sprawę, jak wiele znaczył gorący uścisk jego dłoni. Uwolniła się i cofnęła o krok.

— Przesiąkniesz zapachem benzyny. Przepraszam. Kilka minut temu tankowałam benzynę i mam ją teraz na rękach, na butach i mankietach. Właśnie wybierałam się do toalety, żeby pozbyć się tego zapachu, kiedy Mick mnie zatrzymał — przeczesła dłonią włosy. — Wiatr zburzył mi fryzurę. Muszę się uczesać.

— Szkoda... — zażartował.

— Szkoda? Przecież wyglądam fatalnie! Ja... ja... Ja nie... — zająknęła się. „Winnifred Gardner, dlaczego się płaczesz?!” pomyślała, gdy Joseph Duggan obserwował rumieniec stopniowo pojawiający się na różowych policzkach — jednych z najpiękniejszych, jakie widział w życiu. Rumieniec przesunął się obok kształtnych ust, które rozwarły się w zdumieniu.

Joseph zerknął na jej zmierzwione włosy. W przyćmionym, bursztynowym świetle zdawały się być koloru orzechowego. Duże oczy spojrzały na niego i wtedy zrobiła najbardziej zadziwiającą rzecz: mrugnęła... ale tylko jednym okiem! To był najbardziej niezwykły nerwowy tik, jaki znał. I to naprawdę był tik, nie oczko, bo jej twarz pozostała nieruchoma. To było zwykłe mrugnięcie. Nigdy dotąd nie widział, aby ktoś robił to z takim wdziękiem.

Spojrzała na jego jabłko Adama i odwróciła wzrok. Joseph przyjrzał się jej uważnie. Nie pasuje do niej imię Winnifred Gardner. Brzmi arogancko i pruderyjnie, zbyt arystokratycznie. A dziewczyna stojąca przed nim zdawała się zasłaniać nieśmiałością doskonałością kobiecego ciała i kierowaniem uwagi na zapach benzyny.

Joseph Duggan został usidlony.

— Masz jeszcze kilka minut! Ojciec Waldron wciąż prowadzi towarzyskie rozmowy.

Winnie zamknęła usta i pomknęła przez hall w kierunku toalety. Jej uszu dobiegł jeszcze głos Duggana, z pretensją zwracającego się do Micka i Sandy:

— Gdzie, do licha, ukrywaliście ją przez te wszystkie lata?!

W czystej i cichej toalecie namydliła dłonie różowym mydłem w płynie i szorowała je energicznie. Po spłukaniu uważnie je powąchała i zdegustowana powtórzyła operację. Tym razem, aby pozbyć się woni, usilnie pocierała kciukiem palce. W pewnej chwili niechcący zraniła się diamentem pierścionka. Piekące mydło otrzeźwiło ją nieco.

„Winnifred Gardner, uważaj na siebie! On tylko się droczy. Flirtuje. Wszystko, co mówił, było tylko po to, aby zbadać twoją reakcję. I przeszłaś tę próbę z klasycznym kobiecym brakiem polotu." Nawet teraz, gdy przyglądała się swemu odbiciu w lustrze, jej twarz płonęła rumieńcem, oczy błyszczały, a na twarzy gościł wyraz zadowolenia zdradzający, jak wspaniale się czuła będąc obiektem flirtów — z polotem czy też bez.

Zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez ramię. Zlustrowała swoją sukienkę. Była blad różowa, bezkształtna; uroku dodawał jej dopiero pasek. Przygladziła materiał na biodrach i przypomniała sobie słowa Paula: „Ach, sukienka! A co ty możesz o nich wiedzieć?" Jeśliby nie poprzedził komplementu tą uszczypliwą uwagą, jej duma nie zostałaby urażona. A on dopiero później dodał: „Wyglądasz wspaniale, kochanie!" — i zrujnował cały efekt. Następnie spuścił wzrok na jej wysokie obcasy, uśmiechnął się pod nosem, mruknął i wtulił twarz w jej szyję, zdradzając szeptem swoje zamiary... Nie musiała wtedy wyjść. Ale wciąż jeszcze urażona jego uwagami odepchnęła go i pocałowała pojednawczo, zamiast rozebrać się, jak tego pragnął. To nieprawda, że nigdy nie nosiła sukienek!

Winnie otrząsnęła się ze wspomnień i pochyliła się, by zetrzeć tłustą plamę benzyny, która kapnęła na czubek jej czarnego bucika. Było jej niewygodnie tak w sukience, jak i na wysokich obcasach. Ale cóż innego mogła nosić kobieta w kościele, stąpając po białej posadzce pod ramię ze wspaniałym mężczyzną?

Wróciwszy do przedsionka Winnie czuła na sobie spojrzenia gości. Podeszła do rodziców Sandy, by ich gorąco przywitać.

— O, Winnie! Nie widziałam, jak weszłaś! Czy dostałaś sukienkę? — spytała Ann Schaeffer.

— Tak, jest gotowa. Wyszła wspaniale. A jak z waszym domem, bez komplikacji?

— Zupełnie. Na jutro jest już wszystko gotowe.

— Pewnie jesteście bardzo zmęczeni...

— Muszę przyznać, że tak.

Nagle w przedsionku dał się słyszeć ostry gwizd, odbijając się echem w zdobionej nawie za otwartymi podwójnymi drzwiami. To Mick starał się zwrócić uwagę ojca Waldrona, który zaczął już zapraszać wszystkich do środka, by rozpocząć ceremonię. Rozmawiając z gośćmi wszedł do głównej nawy kościoła i zaczęła się próba.

Winnie ruszyła w stronę drzwi, zdając sobie sprawę z tego, że czeka za nimi mający jej towarzyszyć Joseph Duggan. Unikała jego wzroku aż do ostatniej chwili, w końcu jednak spojrzała w roziskrzone oczy i na płonące nadzieją usta. Wtedy zrozumiała, dlaczego znajomi nazywają go Jo-jo. Pasowało to do niego.

Odbierając od niej płaszcz musnął palcami jej włosy.

— Wolę, gdy są rozczochrane, Winnifred Gardner. Bawi mnie również, gdy dziewczyna używa benzynowych perfum. Czy mogę? — z gracją podał jej ramię. Ale gdy wkraczali do kościoła, na jego twarzy gościł wciąż diabelski uśmiezek.

— Nie wiem, czy mam ci dziękować. Nie jestem pewna, czy nie zostałam obrażona... A może wyśmiana? W każdym razie potrafię wejść do środka nie opierając się na twoim ramieniu.

Uśmiechnął się oślepiająco i nie rozglądając się położył jej płaszcz na ostatniej ławce. Specjalnie ujął ją pod rękę, gdy podchodzili do przednich ławek. Przez najbliższe pięć minut ojciec Waldron objaśniał procedurę ślubu, nauczając, że narzeczeni powinni podejść do ołtarza w towarzystwie swoich rodziców, a wszyscy zaproszeni — parami. Winnie oczywiście wiedziała już o tym i puszczając te słowa mimo uszu usiadła na twardej, drewnianej ławce obok Jo-jo Duggana, który rozstawił swoje nogi tak, że jego kolano omal nie stykało się z jej udem. Joseph wyprostował się i odwrócił w stronę ojca Waldrona, zwieszając dłoń z krawędzi ławki.

„To nie jest zwykły podrywacz, to mistrz!”

W tej chwili trzasnęły tylne drzwi kościoła i ktoś głośno wbiegł do środka, ściągając na siebie spojrzenia zgromadzonych.

Przybyła kobieta zatrzymała się i przyciskając do piersi torbę zaczęła zdejmować z dłoni rękawiczki.  
— Przepraszam, ojcze! Zjawiłabym się wcześniej, ale ktoś napoił mojego kota piwem. Biedak chodzi teraz pijany!

Fala śmiechu przebiegła kościół. Ubrana jak ptak kobieta spieszyła się. Głos ojca Waldrona zagrzemiał w pustym kościele.

— No trudno... Widać kot tego potrzebował, pani Collingswood.

Tuż za Winnie Jo-jo Duggan wybuchnął takim śmiechem, że aż oczy zaszyły mu łzami. Bawił się tak świetnie, jakby sympatyzował nie z biednym kotem, lecz z dowcipnisiem. Jakby tego typu kawały należały do jego stałego repertuaru.

— Możemy zacząć grać, pani Collingswood? — spytał ksiądz.

— Ależ oczywiście, ojcze!

Odgłos jej kroków znów rozległ się po kościele. Potem zebrani usłyszeli przytłumione stąpnięcia na tylnych schodach. Nastąpiła chwila ciszy, po niej szeleszczenie partytury i kilka próbnych dźwięków. W pięć minut później Winnie kroczyła obok Josepha Duggana w stronę przedsionka. Ojciec Waldron kierował wszystkim, jak nauczyciel na szkolnym przedstawieniu. Zebrani zdawali się zresztą czekać na jego instrukcje.

Stojąc w zaciemnionym przedsionku Winnie potajemnie przyglądała się najprzystojniejszemu mężczyźnie. Był nienagannie ubrany, jak większość obecnych. Jego czarne spodnie z prosto uprasowaną kantką przylegały gładko do bioder, częściowo zakrywając czyste, nowe, sportowe buty z jasnoniebieskim paskiem po obu stronach. Pod lekką,



wiosenną marynarką nosił żółtą, zapinaną na guziki koszulę. Słuchając księdza Duggan stał pewnie z rozstawionymi stopami i rękami wsuniętymi do tylnych kieszeni. W tej pozycji rozchyliła mu się marynarka, ukazując wklęsły brzuch i tors. Przez cienką, bawełnianą koszulę ujrzała zarys jednej jego sutki. Druga ukryła się pod kieszenią koszuli mocno przylegającej do ciała. Ojciec Waldron gestykulował, a głowa Duggana podążała za jego wskazującym palcem. Zastanawiała się, dlaczego profil Josepha był tak niesamowicie pociągający. Miał twarz, która w wieku lat pięćdziesięciu wyglądałaby na piętnaście i wiosenną kombinację cech dziwnie kontrastujących z jego pięcioma stopami wzrostu i gęstym zarostem, który — była pewna — wymagał dwukrotnego golenia dziennie, jeśli Joseph i wieczorem był z kimś umówiony. Jego nos był lekko zadarty, a niewielkie brwi nie podkreślały zarysu czoła. Bursztynowe światło muskało powierzchnię dziewczęcych loków, które swobodnie opadały na twarz. Przez chwilę Winnie zastanawiała się, czy kiedykolwiek dotykała tak pokręconych włosów mężczyzny. Nie przypominała sobie. Włosy Paula — perfekcyjnie obcięte, zawsze należycie uczesane — przed opadaniem na czoło powstrzymywał specjalny lakier. Przyzwyczała się już do jego przesadnej dbałości o wygląd. Dlatego naturalna prezencja Josepha Duggana wydała się jej taka pociągająca. Zawsze uważała, że mężczyźni o kręconych włosach wyglądają bardziej kobieco. Ale nawet najmniejszy fragment twarzy Duggana nie był kobiecy. Jo-jo był niższy o jakieś dwa cale od mężczyzn, których spotykała dotąd, od Paula o sześć, ale krzepkość jego ciała rekompensowała różnicę wzrostu. Być może właśnie jego sylwetka ściągała jej wzrok częściej, niż należało; ramiona w tył, pierś do przodu, postawa atlety, pewny siebie i trochę zbyt butny. Być może spoglądała na niego częściej, bo był po prostu inny. Inny niż Paul.

Odwrócił się, dostrzegł, że mu się przygląda i na jego twarzy pojawił się uśmiech dodający mu jeszcze uroku. Uczynił to tak bez wysiłku, że zastanowiła się, jak wiele niewieścich serc już złamał.

Uśmiechał się podnosząc wyżej prawą stronę ust, a w oczach pojawiały się tajemnicze iskry. Miał najpiękniejsze brwi, jakie kiedykolwiek spotkała. Powieki mu opadały i marszczyły się w kącikach. Uśmiechał się po prostu rozbijająco. Niektóre kobiety nazywały takie oczy sypialnianymi — z ich ciemnymi brwiami i tym urzekającym zmrużeniem, które towarzyszyłoby mu nawet podczas składania pocałunku na pierścieniu Ojca Świętego.

Mrugnął i teraz, gdy odwrócił się i przysunął bliżej.

— Zdaje się, że idziemy w czwartej parze.

— W czwartej? — wyrwał ją z zamyślenia. Zdała sobie sprawę, że była nieobecna duchem i nie słuchała, co mówił ojciec Waldron.

— W orszaku ślubnym.

— Ach, rzeczywiście!

— Wyruszamy, gdy Jeanne i Larry będą w połowie drogi.

— Tak, wiem.

Ale nie wiedziała. Była zbyt zajęta ocenianiem Jo-jo Duggana, by uważać.

— W takim razie chodźmy za nimi. Przedświeciek był zatłoczony, wszyscy rozmawiali. Gwar ucichł po pierwszych dźwiękach marsza weselnego z *Lohen-grina*. Ten tradycyjny utwór był zaskoczeniem w dzisiejszym świecie, gdzie podczas ślubów grano muzykę od Beatlesów do Johna Denvera. Poważne akordy siłą swojej tradycji wibrowały nie tylko pod sufitem, nad głową Winnie Gardner, ale również w jej sercu. Uniosła głowę i spojrzała w oczy Josepha Duggana.

— Myślę, że to utwór dla nas — powiedział, podając jej ramię. Grymas uśmiechu stał się delikatniejszy, ale wciąż rozbijająco ozdabiał jego twarz. — Tym razem nie masz wyboru.

Opuściła oczy i spojrzała na kremowy rękaw jego marynarki. Dziwne ostrzeżenie dołączyło do wibracji ciała powodowanych dotychczas wyłącznie muzyką.

„Jeśli go dotkniesz, będziesz stracona...”

Dziewczyna niosąca kwiaty i drużba z obrączkami podążali wzdłuż kościoła. Potem pierwsza para uczestników uroczystości doszła do połowy drogi. Winni-fred wsunęła rękę pod ramię Josepha Duggana i pozwoliła się poprowadzić do podwójnych drzwi. Czuła się trochę nieswojo prawie przytulona do nieznanomego mężczyzny. Rękaw marynarki był zimny, ale gdy położyła na nim dłoń, poczuła ciepło muskularnego ciała. Jo-jo stojąc pewnie, obserwował parę przed sobą i czekał. Winnie stała po jego lewej stronie, w ten sposób właśnie prawa ręka, ta bez pierścionka, spoczywała na jego ramieniu. Poczuła się winna na myśl, że cieszy się, iż nie musi pokazywać swojej lewej dłoni. Nagle dotarł do niej zapach, którego nie mogła zidentyfikować; jakiś kosmetyk, ale nie perfumy. Być może mydło zmieszane z powiewem świeżego powietrza i delikatnego zapachu farby. Jakby po raz pierwszy ubrał swoje niebieskie dżinsy.

Delikatne drgnienie jego łokcia zmusiło ją do spojrzenia mu w twarz.

— Gotowa?

Potakująco skinęła głową.

— Zaczynamy więc na „trzy” — lewą. Obserwowali parę przed sobą.

— Raz, dwa, trzy! — wyszeptała.

Gdy odchodzili od ołtarza, przytulił jej dłoń.

Po raz pierwszy w życiu Winnie została poproszona, by zostać pierwszą druhną. Było to dziwnie ekscytujące uczucie. Dlaczego czuła się jak panna młoda? Programowanie, pomyślała. Czyż wszystkie małe dziewczynki nie zostały zaprogramowane tak, by odpowiedzieć na dźwięk utworu, który właśnie docierał do jej uszu? Czyż nie zostały one wychowane po to, by stanąć przed ołtarzem? Ruch wyzwolenia kobiet w rzeczywistości nie działał nic, aby zmienić mentalność kobiet marzących wciąż o tradycyjnym ślubie.

Obserwowała uważnie Duggana, kiedy kroczył środkiem nawy głównej. Jego nieskazitelne, sportowe buty nie wydawały najmniejszego dźwięku, ale eleganckie spodnie szeleściły delikatnie pocierając o bieliznę. Ku jej zdziwieniu Jo-jo ruszył przed siebie ogromnymi krokami, lecz nie tak ciężkimi, jakich mogła się spodziewać po tym, jak stał w przedsionku. Ruszył z gracją, jakby płynął nad posadzką w rytm muzyki. Miał doskonałe wyczucie rytmu.

— Jak mi idzie? — wyszeptał.

Zerknęła na niego i zorientowała się, że uśmiecha się do niej.

— Musisz być dobrym tancerzem. — Nie bardzo — skrzywił się.

— Może powinieneś być? Masz nienaganne poczucie rytmu.

— Dziękuję, Ginger. Następnym razem przyniosę swój melonik i laseczkę.

Szturchnęła go łokciem.

— Ciii... Nie tutaj, Fred!

Podeszli do prezbiterium i podporządkowali się poleceniom ojca Waldrona rozchodząc się w przeciwne strony.

Odwróciwszy się twarzą do ławek Winnie obserwowała nadchodzącego Micka. Podobało jej się, że Sandy zdecydowała się podejść do ołtarza z rodzicami — najpierw Micka, tak, aby mógł na nią czekać, gdy zbliży się wraz z ojcem, i odebrać ją bezpośrednio z jego rąk. Sama Winnie nie знаła swego ojca i byłaby zdeprymowana podchodząc do ołtarza tylko z matką.

Zanim Sandy doszła do prezbiterium, Winnie ukradkiem spojrzała na Josepha i dostrzegła, że jego wzrok bezustannie spoczywa na niej, jakby byli tu już od dawna. Uśmiechnął się krótko i odwrócił oczy. Ksiądz instruował nadal. W dalszej części ceremonii zaślubin poproszono

uczestników, by zgromadzili się parami w przednich ławkach i pozostali tak przez resztę mszy. Winnie i Joseph usiedli obok siebie oddzieleni kilkoma całami twardej, drewnianej ławki. Jego ramię dotykało jej ręki. Gdy złożyła dłonie do modlitwy, poczuła na sobie spojrzenie.

— Jesteś katoliczką?

— Oczywiście, a dlaczego...? — spytała zdziwiona.

— Po prostu zastanawiam się. Ja również... Ale nigdy nie przepadałem za tymi hucznymi ceremoniami ślubnymi organizowanymi przez kościół. Przypominają mi karnawał.

Uśmiechnęła się do swoich myśli, próbując sobie wyobrazić Jo-jo ubranego we frak i żabot. Nie pasowało to do niego. Właśnie wtedy ojciec Waldron krzyknął do organistki:

— A to będzie mój znak, aby zrobiła pani przerwę, pani Collingswood! Uczestników proszę o przejście i zajęcie miejsc za narzeczonymi, zanim rozpocznie się marsz weselny.

Ustawili się szeregiem wzdłuż ołtarza i tym razem, gdy organy zagrały melodię wzywającą do wyjścia, Winnie i Joseph spotkali się na środku kościoła z uśmiechem i wzrastającym poczuciem zażyłości, jakie wytwarza się podczas takich obrządków. Przeszli przez całą ceremonię ponownie, zanim jej uczestnicy zebrali się w przedsionku, a pan Malaszewski przypomniał wszystkim o wieczorze kawalerskim, który odbędzie się u niego tuż po wyjściu z kościoła.

— Więc przyjechałaś samochodem? — Winnie znów ujrzała Josepha Duggana u swego boku. Tym razem przyniósł jej płaszcz. Wkładając go pragnęła móc powiedzieć nie. Tylko po to, aby przekonać się, co jej proponuje.

— Tak. Widzę, że pamiętasz tę nieszczęsną benzynę.

— Tak, pamiętam. Szkoda, bo moglibyśmy pojechać do Micka razem.

— W każdym razie i tak się tam spotkamy. Otworzył zewnętrzne drzwi i powiew wiatru niemal wtrącił ją w jego ramiona. Instynktownie wziął ją pod rękę, gdy wychodzili z kościoła. Jej płaszcz przylgnął do Josepha, a szarpane wiatrem włosy odsłoniły twarz Winnie. Na parkingu zatrzymał ją zdecydowanym uściskiem dłoni za ramię.

— Jeśli będziesz tam pierwsza, zajmij mi miejsce obok siebie.

Wiatr dostał się pod jego marynarkę i nadał ją jak balon. Jo-jo uwolnił jej ramię z uścisku, by zapiąć błyskawiczny zamek. Kolejny podmuch spowodował, że kręcone włosy z prawej strony przylgnęły mu do głowy, a jej fryzura rozwiała się zasłaniając usta i oko. Stojąc bez ruchu spoglądała na mężczyznę i zastanawiała się, co odpowiedzieć. Wiedziała, że nie ma prawa zachęcać go, ale rzekła:

— Dobrze, ale jeśli ty przyjedziesz tam pierwszy, zrób to samo.

— Obiecuję. Tylko błagam — nie poprawiaj fryzury!

— Ja... — wiatr wepchnął jej włosy w usta. — Słucham?

Joseph odchodził już, lecz zatrzymał się, cofnął kilka kroków i zawołał:

— Prosiłem, żebyś nie poprawiała fryzury! Wyglądała wspaniale, kiedy wchodziłaś do kościoła!

Jakieś błyskawiczne ostrzeżenie przemknęło przez jej serce.

„Uważaj! On jest niepoprawnym podrywaczem i doskonałym chwalipiętą, a ty tylko przez przypadek podchodzisz z nim do ołtarza i to wszystko. I nic więcej. Za trzy miesiące sama znajdziesz się na miejscu panny młodej!”

Wieczór kawalerski nie był zwykłym przyjęciem. Przeróżne dania stały na długich stołach i czekały na gości. Gdy Winnie napelniła swój talerz i usiadła, obok niej pojawił się Joseph Duggan. Oparł nogę o krzesło jak o druciane

ogrodzenie, przez które miał zamiar przejść i postawił przed sobą talerz napełniony po brzegi.

— O, uczesałaś się! — zmartwił się i zatopił zęby w plasterku szynki.

— Josephie Dugganie! Czy flirtujesz z każdą dziewczyną już w pięć minut po jej poznaniu?

— A czy ja z tobą flirtuję?

— To tylko przypuszczenie, ponieważ niezbyt orientuję się w tych sprawach. Ale tak to wygląda.

— Nie orientujesz się w tych sprawach? Dziewczyna z taką twarzą i... — j<sup>e</sup>g<sup>o</sup> *oczy* na ułamek sekundy zatrzymały się na jej biuście, po czym wróciły do góry — ...i włosach?

Zignorowała komplement i rzekła:

— Tak, uczesałam się. Nie mogłam przecież wyglądać, jakbym na głowie miała eksplozję w silosie.

— No wiesz! — obruszył się. — Są piękne, długie i mają wspaniałe kolor!

Poczuła się nieswojo.

— Proszę: znów flirtujesz!

— I ty to nazywasz flirtowaniem?

— A nie jest tak?

Uniósł szklanekę mleka, wypił trzy ogromne łyki i włożył kciuk w kącik swoich ust — a wszystko to nie odrywając wzroku od jej włosów, które zsunęły się na czoło.

— Nie, to tylko komplement — odpowiedział. — Podobają mi się twoje włosy, w porządku?

Dlaczego jesteś taka agresywna?

To był właściwy moment. Uniosła lewą rękę, nacisnęła kciukiem dolną część platynowego pierścionka zaręczynowego tak, że kamień odstawał od serdecznego palca.

— Spójrz!

Spuścił oczy i przez chwilę wyraz jego twarzy nie zmienił się.

— Ach, rozumiem! Ale przecież nie możesz winić mężczyzny za to, że się stara.

Oparła rękę na krawędzi stołu, a on bez ostrzeżenia porwał jej dłoń, oglądał przez chwilę z bliska klejnot i ku jej zdziwieniu przycisnął go do swych ust. Pochylił głowę i udawał, że odgryza kamień. Cofając twarz wciąż trzymał jej dłoń. Skrzywił się.

— Do licha! On jest prawdziwy! — powiedział miękko.

Roześmiała się, ale nie zabrała dłoni.

Nieprzypadkowo Joseph dotknął językiem jej serdecznego palca, pozostawiając na kostce niewielką plamkę wilgoci, która zdawała się płonąć, gdy oglądał diament. Uniósł oczy i skrzywił się.

— Niektórzy faceci mają szczęście...

Niechętnie cofnęła dłoń i powróciła do jedzenia. Nadal jednak czuła na sobie jego wzrok.

— Więc kiedy ma być twój wielki dzień?

— Za trzy miesiące. W trzecią sobotę czerwca.

— O, czerwcowy ślub! Wspaniale!

— Tak, wybraliśmy tę datę już przed rokiem.

— Ty i...?

— Paul Hildebrandt.

— Paul Hildebrandt... — powtórzył zamyślony i wypełnił usta sałatką ziemniaczaną. Gdy przełknął, zapytał: — Jaki on jest?

— Ach, jest... — narysowała sztuccem kółko na talerzu. — Jest ambitny i bardzo inteligentny. No i przystojny...

Wyczuła, że Joseph Duggan przestał jeść. Rzuciła mu przelotne spojrzenie.

— Naturalnie — mruknął sarkastycznie. — Musi być przystojny.

— Och, może się mylę! Poznasz go jutro i sam zobaczysz.

— Będzie na ślubie?

— Tak, chociaż zna Sandy i Micka tylko z moich opowiadań. Nie należał do naszej paczki w college'u. Spotkałam go już po skończeniu nauki.



- Na uniwersytecie w Minnesocie?
- Ach, też tam byłam. Zresztą w tym samym czasie co Sandy, Jeanne, Larry i wielu innych.
- Musisz więc mieć... — przymknął oczy, licząc w myślach — dwadzieścia cztery lata.
- Dwadzieścia pięć. A ty?
- Dwadzieścia siedem.
- I rozumiem, że jesteś kawalerem?
- A jakże inaczej?!
- I żadna... przyjaciółka nie przychodzi jutro z tobą?
- Mam przyjaciółkę — zrobił nieokreśloną minę — ale nie jestem pewien, czy zdąży przyjechać. Pojechała do Południowej Dakoty na pogrzeb.
- Mam nadzieję, że nikogo bliskiego.
- Cioci.
- Aha...

Zamilkli na moment. Przed nimi stały puste talerze. Winnie starannie wytarła usta unikając kontaktu wzrokowego z towarzyszącym jej mężczyzną. Wreszcie odwróciła się i ze zdziwieniem spostrzegła, że Jo-jo siedzi podparty z łokciem na stole i od jakiegoś czasu ją obserwuje. Speszona tym badawczym wzrokiem uciekła się do konwersacji.

- Jak ma na imię?
- Nie mam pojęcia.

Winnie uniosła brwi zaskoczona.

- Nie wiesz, jak ma na imię twoja dziewczyna?! Roześmiał się. Widać było, że czyni wysiłki, aby zbudzić się z rozmarzonej medytacji i oderwać od niej wzrok.
- Ach, myślałem, że masz na myśli jej ciocię... Moja przyjaciółka nazywa się Lee Ann Peterson. Ale nie nazywałbym jej moją dziewczyną. Spotykamy się tylko od czasu do czasu i to wszystko.
- Jaka ona jest?

Skrzyżował ręce i wsparł je na krześle.

— Jak wszystkie inne. — Wydawało się jej, że powiedział to zmęczonym głosem. — Elegancka, ale mało inteligentna. Trochę zabawna, ale w gruncie rzeczy nieciekawa. Bardzo dziecinna jak na swój wiek, i roztrzepana. — Spojrzał krótko na Winnie, jakby myślał, że oczekuje wyjaśnień. — To są tylko pierwsze wrażenia, nie znam jej wystarczająco dobrze.

— A jak ona wygląda?

Na jego twarzy znów pojawił się diabelski uśmiezek.

— Ma wspaniałe ciało...

Winnie oblała się rumieńcem. Nie uczynił tego, ale zdawało się jej, że dla porównania zmierzył ją wzrokiem. — Interesuje cię więc tylko ciało... — zaryzykowała, próbując omieść go spojrzeniem pełnym pogardy. Iskra przekory błysnęła w jego oku.

— W gruncie rzeczy — tak. Bo widzisz, ja mam...

— Przepraszam, panie Duggan — uniosła obie dłonie i przymknęła oczy z lekceważeniem. — Nie interesują mnie szczegóły...

— Nie pozwoliłaś mi skończyć, panno Gardner! Miałem właśnie powiedzieć, że w Osseo posiadam mały zakład, gdzie odnawiam stare samochody. Prowadzę ten interes z moimi dwoma braćmi. I czasami, kupiwszy wrak, mamy mnóstwo roboty, by doprowadzić jego ciało do porządku.

Przysłoniła dłonią oczy. Chrząknęła i spojrzała spomiędzy palców.

— Chyba popełniłam straszną gafę.

— Nie, to była moja wina. Celowo napomknąłem o tych ciałach. Przepraszam.

— A więc handlujesz ciałami? Jo-Jo zerknął spod oka.

— Coś w tym rodzaju, ale niezupełnie. Zajmujemy się ciałami samochodów, by zarobić, ale nasze ukochane zajęcie, to odnawianie starych limuzyn.

— Takich, jak chevys z pięćdziesiątego siódmego?

— Nie, jeszcze starszych. Atrakcyjniejszych. W tej

chwili pracujemy nad cadillaciem pickupem, rocznik pięćdziesiąty czwarty.

— Pickup cadillac? Przecież oni nigdy takich nie produkowali!

— Ależ produkowali! Używali ich jako karawanów. Nazywane były samochodami kwiatowymi. I miały wmontowane specjalne szyny, żeby łatwiej można było wstawić trumnę.

— Skąd bierzecie takie klejnoty?

— Od farmerów, z aukcji staroci i z temu podobnych miejsc. Tego kupiłem od jednego faceta w Brooten w Minnesocie i to bardzo korzystnie. Zmieniamy go teraz w ideał piękności — czterysta cali kwadratowych, silnik V-8 i... — Nagle przerwał i wzruszył ramionami. — Ale przecież ciebie to nie interesuje. A ja zapominam o Bożym świecie, kiedy zaczynam rozmawiać o samochodach.

Pomyślała, że to przyjemne przebywać z mężczyzną, który pasjonuje się czymś innym, niż tylko „inteligentnymi maszynami”. Oczy Duggana płonęły entuzjazmem, gdy opowiadał o przyznanych mu nagrodach. Ale teraz zmienił temat rozmowy.

— Powiedz mi, proszę, co porabia ten szczęściarz, pan Hildebrandt.

Zaczynała rozumieć: flirtowanie i wychwalanie się należały do drugiej natury tego człowieka.

Błyszczały w jego oczach i płynęły z jego ust bez najmniejszego wysiłku. Prawdopodobnie robił to nieświadomie.

Zignorowawszy zawarty w pytaniu podtekst odpowiedziała:

— Pracuje przy komputerach. Nazywają go mistrzem. Rozwiązuje najtrudniejsze problemy, z którymi nikt by sobie nie poradził. Jest czymś w rodzaju elektronicznego czarodzieja.

— A ty?

Nie mogła się oprzeć pokusie, by zażartować z niego. Wręcz należało to uczynić.

— Wyobraź sobie, że ja też na co dzień obsługuję ciała...

Zaskoczenie właśnie zaczęło pojawiać się na jego twarzy, gdy pospieszyła z wyjaśnieniem:

— ...ale wyłącznie ludzkie. Jestem fizykoterapeutką w North Memorial Medical Center.

— Dziwna kombinacja — facet od komputerów i fizykoterapeutką.

— Nie dziwniejsza pewnie, niż facet od ciał i — kim ona jest?

— Hostessą w restauracji Perkinsa.

— Ach... — odetchnęła kładąc palec na kształtnym policzku. — Hostessa?

— Wyczuwam nutkę lekceważenia...?

Winnie zdziwiło to stwierdzenie, szybko więc zaprzeczyła.

— Nie, wcale nie! Ja po prostu chciałam... podtrzymać rozmowę!

Ale nagle Winnie poczuła żądzę powiedzenia prawdy. Spojrzała Josephowi prosto w oczy i mając nadzieję, że wygląda na skruszoną, rzekła:

— Tak, przyznaję: powiedziałam to lekceważąco. Mam to po mojej matce, której głównym celem było osiągnąć w życiu sukces. A dla niej sukces oznacza karierę. Czasem odkrywam, że jestem jej odbiciem. Czy można nazwać to pogardą klasy średniej dla tych wszystkich, którym się nie powiodło? Bywa, że łapię się na tym i nienawidzę tego. Ale w rzeczywistości nie sędzę, abym była aż tak złośliwa, jak to, co powiedziałam. Czasem mam wrażenie, że zostałam zaprogramowana przez moją matkę i mówię różne rzeczy bez względu na to, czy tak właśnie myślę.

Po raz pierwszy zobaczyła twarz Josepha Duggana pozbawioną uśmiechu czy przekory. Wyrażała tylko głębokie zamyślenie, jego nieobecny wzrok spoczywał gdzieś na jej czole. Pełne aprobaty brązowe oczy odwróciły się i napotkały jej szafirowe spojrzenie.

— Jesteś wyjątkowa...

— Ja... — roześmiała się cicho i potrząsnęła głową. Nieśmiało spuściła wzrok. Tym razem uznała komplement za szczery. — Wcale nie jestem wyjątkowa. Jestem najzwyczajszą w świecie kobietą, której nie brak wad. Właśnie teraz bezmyślnie wyznałam ci jedną z nich.

— Bezmyślnie? Nie nazwałbym tego bezmyślnością. Raczej szczerością. I do tego skromnością. Niewielu ludzi ocenia motywy swojego postępowania tak realistycznie. Czy ten twój... Paul Hildebrandt jest również tak szczery?

Ponownie spojrzała w jego oczy i zaskoczyło ją uczucie, że nie podoba jej się myśl o istnieniu kogoś takiego jak Paul Hildebrandt w chwili, gdy z tym człowiekiem bawiła się doskonale. Ogarnęło ją poczucie winy, że być może ocenia Paula zbyt pochopnie i emocjonalnie.

— Ach, oczywiście! Jest nie tylko uczciwy, ale i pracowity. Do tego jest człowiekiem sukcesu i może mi zapewnić bezpieczną przyszłość.

Joseph Duggan przyglądał się tej jasnowłosej, niebieskookiej kobiecie, która zauroczyła go od pierwszego wejrzenia. A przyjemny posiłek w jej towarzystwie tylko zwielokrotnił to uczucie. Była niezwykłą kobietą — piękną, zgrabną, inteligentną, odrobinę nieśmiałą i odrobinę chętną, lojalną wobec narzeczonego i uczciwą wobec siebie.

I, do licha, wiedziała, czego chce.

## ***Rozdział II***

Gardner nie lubiła wstawać zbyt wcześnie. Gramoliła się zwykle z pościeli, jakby przedzierała się przez stuletnie pajęczyny na opuszczonym strychu. Tego ranka jednakże przebudziła się, skoro tylko pierwsze promyki słońca padły na jej twarz.

„Joseph Duggan, myślała patrząc prosto w sufit. Zobaczysz go dzisiaj. Będziesz fotografowana przy jego boku. Usiądziesz obok niego. Zatańczysz z nim.” Uśmiechnęła się przypomniawszy sobie, jak mówił, że nie umie dobrze tańczyć. Nie mogła w to uwierzyć. Przecież tak pięknie się poruszał! I to zawsze stosownie do chwili.

Nagle wystraszyła się własnych myśli. Cóż ona tu robi o szóstej rano? Leży w łóżku i rozpamiętuje wczorajszy wieczór spędzony z Josephem... A przecież jest zaręczona z Paulem Hildebrandtem i wyjdzie za niego za trzy miesiące!

Paul. Obiecał, że przyjdzie dziś na wesele. Trzymała go za słowo. Wiedział przecież doskonale, że nie zależy jej tak bardzo na tym, by jeszcze przed ślubem umeblował jej gościnnie pokój. Przecież ten dom należał do niego od dawna. Mieszkał w nim dumny z faktu, że oddaje go w jej ręce w dniu ślubu. Ale dom, to było dla Paula zbyt mało. Podjął się dodatkowej pracy, by zarobić więcej pieniędzy, które zaspokoją wszystkie jej rzeczywiste i wyimaginowane przez niego potrzeby. I w dodatku w jednej z trzech sypialni zainstalował komputer, przy którym pracował

wieczorami i nieraz przez całą sobotę. Siedział tak i uderzał palcami w klawiaturę rozwiązując problemy, o których nie miała pojęcia, używając języka i metod, których nie mogła zrozumieć, choć usilnie starał się ją wprowadzać w tajniki komputerowej wiedzy.

Ale przyrzekł: weźmie dziś udział w ślubie i będzie z nią tańczył.

Z tą uspokajającą myślą wstała, starając się skoncentrować uwagę na narzeczonym i przyjemnej niespodziance, jaką zrobiła mu, gdy ujrzał ją po raz pierwszy w ślubnej sukience. Jeżeli będzie jej dzisiaj prawil komplementy, postanowiła, że lepiej zrobi, jeśli zaakceptuje ich powierzchowne znaczenie i nie będzie doszukiwała się podtekstów.

Dzień był piękny i słoneczny. Ale o dziesiątej rano zerwał się mroczny wiatr. Wszystkie drużyny zebrały się w salonie piękności pani McLean, aby uczesać włosy w modne fryzury.

Gdy Winnie obejrzała w lustrze efekt zabiegu, intuicja podpowiedziała jej, że kiedy Paul zobaczywszy ją, wpadnie w zachwyty. Był przecież niesamowicie konserwatywny, jeśli chodzi o wizję kobiecości. I to zawsze stanowiło kość niezgody między nimi. Winnie wołała ubierać się na sportowo, dziś więc mogła pokazać się narzeczonemu w klasycznej fryzurze, kapeluszu i sukience, która spełni jego oczekiwania.

Ale ach! — fryzury robiły niesamowite wrażenie. Wybrała je Sandy specjalnie do słomkowych kapeluszy z rondem. W ten sposób długie blond włosy Winnie otaczały jej twarz, upięte ciasno u nasady.

Dotknęła ręką sprężystego loka usztywnionego specjalną wkładką. Wyglądał egzotycznie i czuła się z tym czymś na głowie nieswojo. Drastyczne zmiany w wyglądzie przywołały na jej twarz uśmiech, a serce opanowało zniecierpliwienie. Nie mogła się doczekać drugiej godziny.

Tuż przed południem Winnie wyszła z wanny, wytarła oczyszczone depilatorem nogi, osuszyła brzuch, piersi i ra-

miona i zamarła rzuciwszy okiem na swą fryzurę odbitą w lustrze. Nachyliła się bliżej, dotknęła luźno zwisającego ze skroni loka i zdecydowała, że utrzyma makijaż w tym samym tonie, co uczesanie. Ale najpierw odświeżyła całe ciało pudrem o zapachu Chanel Nr 5, jednym z nielicznych kobiecych kosmetyków, jakich używała na co dzień. Uwielbiała ten zapach! Zaczęła się zastanawiać, co pomyślałby o nim Joseph Duggan. Ale widok jej nagich piersi spowodował, że natychmiast roz-  
złościła się na siebie za takie myśli. Ale chociaż nie pasjonowała się męskimi upodobaniami, osoba Duggana na cały dzień opanowała jej myśli.

Widok nowej, czystej, białej bielizny spowodował, że Winnie powędrowała wyobraźnią w przeszłość, do czasów gorsetu a la wesoła wdówka, opinającego talię i uwypuklającego kości bioder. Teraz niewiele kobiet tego doświadcza... Dziś niestety Winnie musiała wrócić do czasów swojej babci i włożyć wyszczuplający pas. Wymagał tego styl sukni wybranej przez Sandy.

Winnie nie była pewna, czy dokończyła makijaż i czy w ogóle dobrze go zrobiła. Śliwkowy cień i ciemniejszy ślad ołówka powodował, że przypominała dziewczynę ze starych reklam coca-coli rzucającą uwodzicielskie spojrzenia i oblewającą się pąsowym rumieńcem. Przyjrzała się krytycznie zarysowi swoich ust. Użyła czereśniowej szminki i ciemniejszej konturówki uwypuklając wierzchołki warg i zwężając ich kąci. Wyglądała słodko.

Może Paul miał rację... Może powinna częściej ubierać się elegancko... Wyglądała cudownie! Teraz jednak przywdziała normaly strój, zapakowała suknię, pantofle na wysokich obcasach, kapelusz, przybory do makijażu i lakier do włosów i wyjrzała przez okno, gdzie wiatr szarpał bezlistne wierzchołki drzew. Owinięta jedwabnym szalikiem, który chronił jej nieskazitelną fryzurę, wybiegła do wezwanej wcześniej taksówki.

Gdy w dziesięć minut później stała na stopniach



kościół, ogarnęło ją niewyjaśnione przecucie, że Joseph Duggan czeka już na nią w środku. Czy znów wpadnie na niego w przedsionku? Jeśli tak, to przynajmniej teraz nie czuć od niej benzyny! Chwileczkę... Nie chciała przecież, by zobaczył ją owiniętą szalikiem!

Ale przedsionek był pusty, nie Ucząc kwiaciarza i jednego z odźwiernych w niebieskich dżinsach i z marynarką wystającą z przewieszanej przez ramię torby.

Dwie garderoby znajdowały się niedaleko przedsionka. Gdy Winnie otworzyła drzwi z napisem „Dla pań”, stanęła zaskoczona. Sandy była już w środku z jedną ze swoich druhen — Jeanne. Po chwili weszła druga, kuzynka o imieniu Jacqueline. Oświecone lustro odbijały długie, plastikowe torby, na wpół ubrane kobiety i zdenerwowaną pannę młodą.

— Och, Winnie! Dzięki Bogu, już jesteś! Odchodziłam od zmysłów obawiając się, że ktoś może nie zdążyć, albo że kwiaty nie przybędą na czas, albo że fotograf zapomni swojego aparatu, albo też...

— W porządku, Sandro Schaeffer, uspokój się! Żadna z tych przytłaczających katastrof już się nie zdarzy. Goście właśnie przyjechali, fotograf rozkłada swój ekwipunek, a kwiaty stoją w przedsionku. Jak na komendę ktoś zastukał do drzwi i siwowłosa kobieta wetknęła głowę do środka.

— Czy ktoś tutaj wychodzi za mąż?

Wśliznęła się do pomieszczenia wnosząc przed sobą szerokie i płaskie zielone pudło, za którym ukryte były różowe torebki. Zanim wyszła, ciekawość zebranych sięgnęła szczytu. Wkrótce przybyły matki i kwiaciarki, wnosząc za sobą atmosferę nerwowego podniecenia.

Cztery młode kobiety starannie układały sukienki, z każdą chwilą zdradzając coraz większe zdenerwowanie.

Sandy oczywiście ubrana była na śnieżnobiało. Druhny nosiły inne kolory: Jeanne — jasnoniebieski, Jacqueline — żonkilowożółty, a Winnie — najbardziej kobiecy z kolorów — różowy.

Krocząc w sukni sięgającej kostek Winnie uchwyciła delikatny zapach swojego Chanel Nr 5. Woń dotarła do jej nosa w chwili, kiedy zrobiła pierwsze kroki. Jej stopy dotknęły błyszczącej tafty, którą pokrywała piękna suknia z błyszczącej organdy. Gładko przylegająca do talii i bioder spódnica, potem rozkloszowana odsłaniała różowe, satynowe pantofle wieczorowe z wąskimi paskami. Ozdobiono je miniaturowymi perłowymi guziczkami na zewnętrznej stronie każdej stopy. Górna część sukienki pokryta była drobnymi plisami, ale jej urok tworzyła dopiero narzutka luźno opadająca na talię i okrywająca biust aż do gardła. Z tyłu była przyczepiona tylko w jednym miejscu — na karku, potem opadała luźno w dół aż po pas. Rękawy skrojono podobnie jak spódnice — były dzwonowate, luźne, falujące. Różowy słomkowy kapelusz, ten koronny dodatek, niezupełnie pasował do stylu roku 1910, ale był urzekająco kobiecy. W jego rondo wpięto różę, a cały opleciony był długimi wstęgami sięgającymi aż do pasa. Sandy była bez rękawiczek i trzymała białe gardenie. Jej towarzyszki natomiast w odzianych na biało dłoniach dzierżyły wiklinowe koszyczki pełne wiosennych kwiatów, kolorem dopasowanych do garderoby: jedna niebieskie irysy, druga cytrynowe żonkile, a ostatnia — Winnie — różowe hiacynty, które wydzielały przytłaczającą woń.

Dwie matki, podobnie jak babki, siostrzenice i druhny, zajęte były wpinaniem maleńkich bukietów. Gdy przygotowania dobiegały końca, Winnie rzuciła ostatnie przeciągłe spojrzenie w lustro. To szaleństwo, pomyślała, stać tutaj przyglądając się sobie i zastanawiać się, co pomyślałby Joseph Duggan, gdyby ją ujrzał. A dokładnie to robiła teraz. Ta refleksja spowodowała, że serce zaczęło jej łomotać, jakby to ona była panną młodą. Gdy wezwano do opuszczenia nawy w celu zrobienia grupowego zdjęcia, położyła dłoń na sercu i zdała sobie sprawę, że pod rękawiczką spocily się jej ręce.

Wyłowiła go wzrokiem, jak dziki ptak poszukujący towarzysza życia wybiera z tysiąca innych. Wychodząc z przedsiionka ujrzała kilka czarnych, zgarbionych, męskich postaci. Nawet z tyłu Joseph Duggan wyróżniał się budową ciała i ciemnobrązowymi, kręconymi włosami. Jedną rękę trzymał w kieszeni spodni, poły marynarki spoczywały na przedramieniu. Lekkie poruszenie mężczyzny odchyliło marynarkę, ujawniając klin czarnego materiału ciągnący się wzdłuż prostych pleców. Jo-jo był zajęty rozmową z innym gościem, obficie gestykulując przy tym wolną ręką zasłoniętą białym mankietem aż do nadgarstka. Kołnierz koszuli wystawał mu ponad marynarkę. Stał na lekko ugiętych nogach, co świadczyło o jego pełnym rozluźnieniu. Klepnął rozmówcę w ramię i roześmiał się. Dźwięk ten zdawał się wibrować, powodując u Winnie przyjemne ciepło.

Wtedy Mick zbliżył się do mężczyzn. Ubrany na biało wyglądał jak biały łabędź między krukami. Jego frak sięgał z tyłu aż do kolan. Ale Winnie spojrzała na niego tylko przelotnie. Jej wzrok spoczywał na czarnej postaci Josepha Duggana. Ten odwrócił się do pana młodego, ich ręce klasnęły. Mówili zbyt cicho, by mogła ich usłyszeć. Mick odszedł, a Joseph zwrócił się w jej kierunku, uważnie lustrując przedsiionek.

Odnalazł ją równie łatwo, jak ona jego. Gdy wymienili spojrzenia, przeszył ją tajemniczy dreszcz. Ogarnął ją niezrozumiały niepokój. Serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Usta rozchyliły się... Spuściła wzrok. Ręka Josepha powoli poruszyła się i wysunęła z kieszeni. Uśmiechnął się i wtedy podniecenie ogarnęło jej duszę. Ach, ten uśmiech! Cudowny, zabójczy! Nigdy wcześniej nie potrafiła sobie wyobrazić równie oszałamiającego uśmiechu. Oślepiął, jak zawsze. Wysunął przed siebie ramiona i jakby wzrokiem usprawiedliwiając swą dłoń, która spoczęła na ramieniu kobiety, odciągnął Winnie na bok — a wszystko to czynił paraliżując Winnifred swym przenikliwym spojrzeniem.

— Mój Boże, wyglądasz cudownie!

W jednej dłoni trzymała koszyk, podała mu więc drugą. Uchwycił ją w obie ręce. Patrzyła z fascynacją, jak schylił się, by złożyć na niej pocałunek. Zorientowawszy się, że jest w rękawiczce, dotknął wargami nadgarstka. Jego usta płonęły, oddech był wilgotny. Gdy pochylał się w długim pocałunku, przyjrzała się bezładnej masie jego kręconych włosów.

Wtedy podniósł oczy i wyprostował się. Pomyślał, że Winnie przypomina różowe kwiaty ze swego koszyka.

— Ach, dziękuję ci! Wyglądasz./.. — obrzuciła go szybkim spojrzeniem i zdobyła się na odwagę — oszłamiająco. — Starła się, by jej głos nie zadrżał, ale — niestety!

— Boisz się? — spytał, opuściwszy oczy na jej dłoń. — Drżysz!

Ściskając dłoń rzucił jej elektryzujące spojrzenie. Niechętnie wycofała rękę z gorącego uścisku.

— Ach, to tylko podniecenie... Nie jesteś podniecony?

— Absolutnie... — odpowiedział miękko. Musiała się odwrócić, gdy jego ciemnobrązowe źrenice zatrzymały się na łuku jej ust i pozostały tam przez chwilę. Przyglądał się jej bez przerwy. Czuła to. Stał rozluźniony z ręką wsuniętą w kieszeń spodni. Uświadomiła sobie, że czuje zapach kadzidła i płonących świec. Wszechobecny aromat słodkich wiosennych kwiatów przeniknął ją na wskroś. Nie mogła już tego dłużej znieść. Usprawiedliwiwszy się przed sobą towarzyskim obowiązkiem odwróciła się i spojrzała na niego, wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Winnie nie spodziewała się, że Joseph będzie ubrany na czarno. Większość drużbów nosiła dziś garnitury jasnoniebieskie, szare lub brązowe. Pomyślała, że już nigdy nie uzna czerni za kolor nudny, gdyż zobaczyła ją otulającą ciało Josepha Duggana. Biały żabot i nowy krawat na tle owej czerni podkreślał jedynie jego męskość. Przylegająca do ciała kamizelka kusiła jak zacieniony, nawiedzony dom,

zapraszając do penetracji tym bardziej, im surowiej jest to zakazane. Jej wzrok zatrzymał się w okolicach pasa mężczyzny, gdzie kolor nocy graniczył z bielą. Odchylił poły marynarki i jedna z nich zawisała na jego przedramieniu.

— Czy ten... — Jak mu tam? — widział cię tak ubraną? — spytał bez cienia uśmiechu.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Paul! Ma na imię Paul... Nie. Nie widział.

— Rozumiem więc, że nie ma go jeszcze tutaj? — rozejrzał się wokół i ponownie spojrzał na nią.

— Nie, oczywiście, że nie. Ale przyjedzie na uroczystość. — Przesunęła nerwowo dłonią po rączce koszyka. Nagle zaczęła się zastanawiać, czy naleśnikowa hostessa robiła to zeszłej nocy...

— A czy ta twoja... — Jak jej tam? — widziała cię tak ubranego?

— Ma na imię Lee Ann. Nie, o ile mi wiadomo, nie wróciła jeszcze. A nawet gdyby, i tak nie widziałaby mnie. Nie mieszkamy ze sobą, jeśli o to pytasz. Mieszkam w starym domu w Osseo z moimi dwoma młodszymi braćmi.

Poczuła żar wypełniający jej piersi i wypływający na policzki.

— Nie o to pytałam.

— Mam nadzieję, że nie. Ale teraz już znasz odpowiedź na to pytanie.

Czy to była tylko jej wyobraźnia, czy jego ramiona skrzyżowały się w geście obrony? Przeszył ją spojrzeniem ściągającym jej przelotny wzrok, który w końcu zatopił się w pełnym kwiatów koszyku.

— Powiesz mi w końcu, czy nie? — zażądał cicho, uważnie studiując jej twarz.

Rzuciła mu pytające spojrzenie.

— O czym?

— Czy z nim mieszkasz...

— Myślę, że to nie twoja sprawa.

Tylko dlaczego jej serce łopotało jak ranny ptak?

— Masz całkowitą rację, ale mimo wszystko pytam. Zastanawiała się, czy nie skłamać, tak dla przekory. Ale nie potrafiła.

— Nie, nie mieszkam z nim. Paul mieszka w domu, do którego wprowadzę się, gdy się pobierzemy. Ja mieszkam w swoim. Na Shingle Creek Parkway.

Nie, to nie była jej wyobraźnia. Wyprostował ramiona. Rozluźniły się teraz, gdy głęboko wciągnął powietrze.

— Wszyscy proszeni są o przejście na przód kościoła. Zrobimy zdjęcie grupowe...

Winnie odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała wezwanie fotografa. Nie wiedział pewnie, że uwolnił ją od napięcia, które zdawało się opanowywać oboje: ją i Josepha.

W otwartych podwójnych drzwiach zmoczył palce w wodzie święconej i przeżegnał się. Ona uczyniła to samo. Tym razem nie podsunął jej ramienia. Szli wzdłuż kościoła jak goście, jak wszyscy inni uczestnicy. Potem poddali się rozkazom organizatorów, by wstrzymywać powietrze, prezentować lewe ramię do wizjera, następnie prawe ramię, wycofywać się tak, aby narzeczeni mogli być sfotografowani sami.

Winnie rzuciła okiem w miejsce, gdzie stali druzbowie i oczekiwała dalszych instrukcji. Joseph przyglądał się jej, jakby chciał coś odgadnąć. Odwróciła się i wyszeptała jakieś pytanie wprost do ucha Jeanne, aby tylko nie natknąć się znów na wzrok Duggana.

Zdjęcia przy ołtarzu były zrobione i fotograf zaprosił całe towarzystwo do garderoby pań, gdzie pstryknął fotkę panny młodej z matką i ojcem, potem z dziewczyną od kwiatów i oczywiście z pierwszą druhną. I do tego w tradycyjnej pozie, gdy Sandy pokazuje obrączkę, którą zachwyca się Winnie. Fotograf poprosił Winnie, by zdjęła rękawiczki. Wtedy z przerażeniem zdała sobie sprawę, że ma na palcu swój własny pierścionek zaręczynowy, który wszyscy mogli teraz dostrzec.

Pstryknięciem aparatu nie

było końca. Kilku družbów ze zniecierpliwieniem oczekiwało w drzwiach. Joseph nawet nie starał się ukryć swej oczywistej fascynacji Winnie. Wszedł do środka i stanął oparty o tylną ścianę, śledząc sesję zdjęciową z niegas-nącym zainteresowaniem.

Zaczęło się pstrykanie zdjęć pokazowych. Nagle fotograf zapytał:

— Gdzie jest pierwsza drużna i pierwszy družba? Winnie odszukała wzrokiem Duggana, który właśnie odszedł od ściany.

— Chciałbym wam dwojgu zrobić zdjęcie... Razem. Tam, na tym zwykłym de...

Bez sprzeciwu poddali się rozkazom, których efekt zadowolił zmysł artystyczny fotografa. W jednym ujęciu Joseph klęczał wachając hiacynty Winnie, ale zepsuł je nagłym kichnięciem, co wywołało fale śmiechu zebranych. Zdołało to trochę rozładować napięcie panujące między Josephem a Winnie.

Niestety — uczucie to powróciło, gdy fotograf kazał jej przytulić się do piersi Duggana, a jemu położyć ręce na talii kobiety.

Ku zdziwieniu Winnie mężczyzna nie tylko zmieścił jej biodra w swoich dłoniach, ale przyciągnął ją do siebie tak blisko, że się zarumieniła. Pomyślała zawstydzona, że wyczuwa swym ciałem jego intymne miejsce. „Jest o kilka cali niższy, niż Paul...!” — zdała sobie niespodziewanie sprawę z tej drobnej różnicy.

Fotograf poprosił ją, by podniosła nieco brodę i zwróciła twarz w stronę Josepha. Zbliżenie twarzy spowodowało, że poczuła zapach jego wody po goleniu. Typowo męska woń, z którą nigdy wcześniej się nie spotkała. Gdy stali tak blisko siebie, słyszała, jak przełykał ślinę.

I wtedy ku jej uldze tortury się skończyły. Fotograf odszedł, by zapolować na dziewczynę z kwiatami i družbę z obrączkami.

Winnie umknęła do przedsionka, bezskutecznie próbując zapomnieć o Josephie Dugganie. Przez ten stosunkowo

krótki czasu między tamtym wydarzeniem i chwilą, kiedy goście znów zostali zwołani, obraz Duggana stale jawił się w jej wyobraźni, bez względu na to, czy sam Jo-jo był przy niej, czy nie. Gdy spotkali się ponownie, kościół był już pełny, grały organy, a w przedsionku zapadła cisza jak makiem zasiał. A ona wciąż pamiętała, jak intymnie ją przyciągnął do siebie zaledwie kilka minut temu i teraz niesamowicie trudno było jej spojrzeć mu w oczy. Do ostatniej chwili odwlekała moment, w którym musiała ująć go pod ramię. W końcu podszedł do niej i bez słowa sięgnął po jej rękę. Jego spokojne spojrzenie tym razem pozbawione było charakterystycznego blasku.

Rozbrzmiały pierwsze dźwięki marsza weselnego z *Lo-hengrina*. Winnie została poprowadzona za innymi parami. Czowała się bardzo nieswojo z powodu skrepowania, które ogarnęło ją po epizodzie ze zdjęciami. Ale gdy uwolnił jej ramię i uchwycił dłoń wtulając w fałdy swego czarnego rękawa, doznała zakazanej radości poczuwszy ciepło płynące z wnętrza ubrania.

Dziewczyna z kwiatami i drużba z obrączkami stanęli na białym chodniku. Winnie poczuła, jak Joseph nakrywa jej palce swoją dłonią. Ścisną ją i szepcze:

— Przepraszam, Winnie! Nie miałem prawa.

Ach, gdyby tylko nie padły te słowa! Gdyby tylko pozostawił rzeczy takimi, jakie były! Gdyby mogła iść wzdłuż kościoła oparta na jego ramieniu z wściekłością gotującą się w jej żyłach, wszystko byłoby w porządku. Ale — nie...! Musiał przyjść i przeprosić! I zmusić ją, by spojrzała w jego brązowe, smutne oczy, by zrozumiała, jak szczerze były jego przeprosiny! I właśnie w tym momencie musiało się to stać! Coś cudownego, wabiącego i ogarniającego każdą jej cząstkę. Pewność, że ten dzień został naznaczony, by ich oboje zmienić, choć wcale tego nie chcieli.

Jednakże zostali wręcz przyciągnięci do tego miejsca w tym samym czasie przez niekontrolowane przez nich siły,



przez organy grające marsza weselnego i ich samych odzianych niecodziennie, krocących po śnieżnobiałym chodniku, odrobinę drżących i świadomych, że nie powinno się tak stać.

Jest w tych ślubach coś dziwnego, co omamia i zmusza do poszukiwania miłości, jak nic innego... No, może jedynie z wyjątkiem widoku nowo narodzonego dziecka. To coś przyciąga, jak magnes, jest niepodważalne jak grawitacja i oślepiające, jak poszukiwanie miłości.

Podczas następnej godziny i dwudziestu minut, gdy Winniferd Gardner i Joseph Duggan byli świadkami ślubu dwojga swych najbliższych przyjaciół, szeptali słowa modlitwy i słyszeli wymianę przysięg pomiędzy narzeczonymi, ta magnetyczna siła wciąż na nich działała, łącząc ich myśli i burząc dotychczasowy spokój duszy. Ksiądz, zanim poprosił o powtarzanie słów przysięgi, przerwał i polecił, by wszystkie obecne pary małżeńskie wzięły się za ręce i odnowiły swe własne obietnice ślubne, odmawiając wyznanie wiary.

Winnifred i Joseph nie mieli współmałżonków, którym mogliby ponownie przysięgać wierność. Ale oboje zamknęli oczy i z powagą i wielką fascynacją powtarzali bezgłośnie za księdzem, myśląc o sobie nawzajem. To istniało, już się zrodziło i wybuchło nieposkromionym płomieniem podczas przysięgi, „...miłość... wierność... i że cię nie opuszczę aż do śmierci...”

Gdy tym razem weszli do przedsionka, wszystko zdawało się być inne. Panował odświętny nastrój radości i spontaniczności. Młoda para zbierała niezliczone pocałunki od swoich krewnych i gratulacje od pozostałych gości. Winnie zdała sobie sprawę, że znalazła się w ramionach Pete'a Schaeffera, a jej twarz obsypały pocałunki Anny. I Sandy, i jeszcze Micka. Ale na zawsze zapamiętała tylko jeden — tym razem nieunikniony, długi pocałunek Josepha.

W tym całym zgiełku nie zapomniała o Paulu. Ale

ramiona Josepha przez cały czas oplatały jej kibić. W pewnej chwili objął jej talię i powiedział:

— Za chwilę do ciebie wrócę!

Zniknął na jakiś czas wśród innych drużbów. Fala gości weselnych wypływała przez otwarte podwójne drzwi na zalane słońcem stopnie. Wtedy Joseph ponownie się pojawił, ujmując jej dłoń i wyciągając ją w stronę samochodów, za Micka i Sandy, na których wysypał się deszcz ryżu, uśmiechu i życzeń.

Joseph biegł, ciągnąc ją za sobą. Ale Winnie nagle zatrzymała się zdziwiona i szarpnęła jego ramię na widok tego, co zobaczyła.

— Co... Co to?!

Sandy i Mick właśnie pakowali nieskończenie długą białą suknię na tył czarnego automobilu ze specjalnymi progami dla wsiadających, z wybałuszonymi oczyma świateł i czworokątnym oknem z tyłu. Za nim stały inne: każdy przynajmniej z pięćdziesięcioletnim stażem pracy.

— No, ruszajcie, dostojne limuzyny!

Joseph pociągnął ją za rękę i zanim mogła uczynić cokolwiek więcej, niż rzucić okiem na błyszczący lakier kasztanowego samochodu i zamontowane na osłonie silnika tuż za stylizowanym błotnikiem zapasowe koło, zdała sobie sprawę, że biegnie w stronę pojazdu. Jej stopa skierowała się nie w stronę stylizowanego progu, lecz w kierunku pojedynczego metalowego stopnia. Wewnątrz pojazdu pod wysokim dachem było dosyć miejsca dla jej kapelusza z szerokim rondem, chociaż samochód był tylko dwuosobowy. Zatrzasnąwszy drzwi ujrzała przed oczyma poziomo rozsuwaną zasłonę okienną, na wpół przymkniętą, by stworzyć osłonę od wiatru.

Joseph obiegł wokół zdobionej maski samochodu, po czym usiadł uśmiechnięty obok Winnie, sięgnął do tablicy rozdzielczej, wyłączył jakiś przycisk na tablicy rozdzielczej i uruchomił maszynę.

Trudno było powstrzymać się od dzikiego śmiechu

rozkoszy. Kierownica wystawała niezgrabnie, jak ster, Joseph zdawał się być wyższy, niż zwykle i pasował do pojazdu. Silnik zagrzmiał nagle gdzieś poniżej skórzanych siedzeń. Winnie nie zdążyła objąć tego wszystkiego wzrokiem. Jej oczy błyszczały z entuzjazmem, gdy odwróciła się do swego towarzysza.

— Gdzie zdobyłeś takie cacko?

— Na farmie moich dziadków.

— Jest twój...?

— Odkąd zmarła moja babcia — tak. Należę do Klubu Miłośników Starych Samochodów i namówiłem niektórych z jego członków, by obsłużyli dzisiejszą uroczystość. Jak widzisz — zgodzili się, ale pod jednym warunkiem: że sami będą prowadzić wozy.

Pojazdy ruszyły spod kościoła, kierując się na główny trakt Parku Brooklyńskiego — czteropasmową ulicę handlową, zwaną Brooklyn Boulevard. Winnie spojrzała na samochód jadących na czele. Przez jego kwadratowe tylne okno dostrzegła głowy Sandy i Micka. Całowali się. Rozglądając się wokół zauważyła, że podąża za nimi jeszcze jeden błyszczący wehikuł w szacownym wieku. Nie знаła jego kierowcy. Z szerokim uśmiechem i podekscytowanym głosem Winnie dotknęła tylnego okna przypominającego kształtem klin, które dodawało pojazdowi szalonego uroku. Przyjrzała się jego okrągłej masce i światłom na obu stronach wiatrochronu. I czubkom zamontowanych po obu bokach zapasowych kół.

Spojrzała w górę i dostrzegając moherową tapicerkę sięgnęła, by dotknąć ją zachwycona.

— Ach, to jest przepiękne! A cóż to?

— To Haynes Sport Coupelet z 1923 roku.

— Cudowny, doskonały! To znaczy... — wzruszyła ramionami podniecona — mam wrażenie, że do niego pasujemy. Ja ze swoją fryzurą i ty w swoim eleganckim fraku. Prosto z *Wielkiego Gaisbj'ego*, lub czegoś w tym stylu. Brakuje ci tylko gogli i płaszcza przeciwkurzowego!

Jego śmiech zabrzmiał gładkim łoskotem, jak maszyna pod nimi.

— O, do licha! Szarlotka! Zapomniałem jej wziąć z domu! No, trudno, następnym razem...

— Dokąd jedziemy?

— Wzdłuż Brooklyn Boulevard. Na coś w rodzaju parady.

— Naprawdę? — W jej głosie dało się wyczuć wzrastające podniecenie.

— A cóż to za ślub bez hałaśliwej procesji?

Właśnie w tym momencie samochód prowadzący zatrafił przeraźliwie. Wydał z siebie dźwięk przypominający wezwanie kozicy, coś w rodzaju bezładnego: A-oooga! Po chwili dołączył do niego klakson samochodu Josepha, ogłaszając hucznie ich przybycie. Przejechali obok Park Center High School, sklepów z błyskawiczną żywnością, stacji benzynowej i banku miejskiego. Na parkingach przy „McDonaldzie” i „Burger Kingu” nastolatki wysiadały ze swoich kolorowych samochodów pomalowanych w różowe paski, by z podziwem obserwować paradę reliktyw przeszłości.

Wzbudzali niebywale zainteresowanie, sunąc błyszczącymi w słońcu autami przeróżnych marek. Skrzący się czernią model B Ford z 1932 roku, Haynes 55 z 1923 — samochód Josepha, którego niezwykle kolor nazywano kasztanową barwą burgundzkiego wina, granatowy Plymouth z 1936 i srebrzystoczarny Essex Coach z charakterystycznym bagażnikiem w kształcie grzbietu żółwia i lampą w kształcie bębna na dachu.

Winnie mało nie zadławiła się ze śmiechu, gdy ujrzała miny ludzi stojących z opadniętymi ze zdziwienia szczękami na Brooklyn Boulevard. Nie mogła powstrzymać się, by nie pomachać przerażonemu nastolatkowi wskazującemu na nich palcem.

Odwróciła się i spytała Jo-jo:

— Podejrzewam, że to był twój pomysł?

— Mój i Micka. Postanowiliśmy, że zadziwimy was wszystkich.

— Świetnie! Nigdy nie brałam udziału w czymś takim! Oderwawszy na chwilę wzrok od jezdni zlustrował jej

słomkowy kapelusz rzucający cień na policzki.

— Wyglądasz tak klasycznie jak mój samochód, Win-nifred Gardner. Pomachaj jeszcze trochę, by uświadomić wszystkim, że wiozę najpiękniejszą dziewczynę na weselu.

Być może Winnie udzieliła się atmosfera tego dnia: odpowiadała szczerze, spontanicznie i ze śmiechem kiwała rondem kapelusza. Być może było to ucieczką od wzrastającego napięcia spowodowanego zbliżającą się datą jej własnego ślubu. Cokolwiek jednak to było, Winnie czuła się wolna i dała upust swym emocjom, gdy przez następne pół godziny dumnie paradowali obok zwyczajnych, nowych samochodów wyglądających zbyt nowocześnie i komfortowo obok czarującego haynesa i jego trzech towarzyszy.

Winnie czuła się całkowicie rozluźniona w tych beztrąsko upływających minutach. Studiowała profil Josepha, gdy opowiadał jej o swoim dziadku, który miał zakład naprawczy i wziął ten samochód jako pojazd reprezentacyjny w początkowych latach swojej działalności. Ale nigdy do niego nie wszedł. Zamknął go w kurniku i pozwolił mu stać się jego własną, prywatną obsesją: dbał o niego, polerował, ale nigdy nie używał. Dopiero po śmierci babki Josepha trzy lata temu pojazd wyszedł z ukrycia, ale używano go tylko przy specjalnych okazjach, a już na pewno nie zimą, gdy ulice były posypane niszczącą solą.

Zrobiło się gorąco. Poczucie wzrastającej zażyłości i przyjaźni zarzuciło eteryczną pajęczynę na przystojnego mężczyznę we fraku i czarującą młodą kobietę u jego boku.

Często pojawiał się śmiech i radość. Nie uniknęli też przejawów typowego flirtu. Winnie łapała się na tym, że przygląda się z niegasnącym zainteresowaniem i zakazaną ciekawością silnym palcom mężczyzny obejmującym kierownicę, jego szczęce i ustom.

— Czyż to nie dziwne, że nie spotkaliśmy się nigdy wcześniej?

Odwrócił głowę, przyjrzał się jej bliżej, potem nonszalancko skierował wzrok na otwarte pola za miastem i bibliotekę na krańcach przedmieścia, gdzie przy granicy Hennepin County zaczynały się pola gladiolii, kukurydzy i ziemniaków.

Procesja zatrzymała się. Haynes podążał w dalszą drogę samotnie.

— Tak, biorąc pod uwagę, jak długo przyjaźnimy się z narzeczonymi... Znam Micka jeszcze ze szkoły podstawowej. Tyle tylko, że on chodził do innej klasy.

— A ja znam Sandy od szkoły średniej.

Znów rzucił jej iskrzące spojrzenie i odwrócił wzrok.

— Widać, teraz mieliśmy się spotkać, Winnifred Gardner, i nic na to nie poradzimy, prawda?

Było to zaskakujące stwierdzenie i wywołało w niej dreszcz emocji. Nie mogła przecież pozwolić sobie na zaangażowanie się w wiosenne zauroczenie.

— Myślę, że już czas, abyśmy powrócili na przyjęcie... Chyba już się zaczęło. Masz zegarek?

Podniósł dłoń z szerokiej, grubej kierownicy, odsunął pognieciony mankiet, by odsłonić złoty zegarek. Gest wydawał się być zwyczajny, a jednak urzekający. Przeraziła ją jej własna reakcja na ten prosty ruch.

— Jest już prawie piętnaście po czwartej.

— Musimy być na przyjęciu o piątej, a ja zostawiłam moją codzienną odzież w kościelnej garderobie.

— W takim razie wróćmy po nią...

Skreślił w boczną uliczkę i zawrócił. Obserwowała jego szyję, jak wychylał się, by sprawdzić, czy droga jest pusta. Gdy odwrócił się nagle i spostrzegł, że mu się przygląda, skierowała swą uwagę na suche łodygi kukurydzy na zaniedbanych polach uciekające za oknami z prawej strony.

Przemknął jeden samochód, potem drugi. Nastąpiła cisza.

Odwróciła się, by ujrzeć, co ich powstrzymuje. Ale Joseph nie lustrował już ulicy. Patrzył na nią.

— Zgubiliśmy pozostałych — rzekła bez celu.

— Masz rację. — Jego ręka opadła do lewarka pomiędzy ich kolanami. Wrzucił jałowy bieg.

— Bo jest coś, co chciałbym zrobić tego popołudnia. Jej serce i krew uderzyły na alarm. A on jednym nie znoszącym sprzeciwu ruchem owinał dłoń wokół jej ramion, drugą położył na biodrach i przyciągnął ją bliżej. Odchylił głowę, by uniknąć zderzenia z szerokim rondem słomkowego kapelusza. To wszystko stało się tak szybko, że nawet nie pomyślała, że powinna się sprzeciwić.

Pocałował ją miękko, lecz z pełnym niepewności naciskiem. Jego gorące i twarde usta przez większość czasu pozostawały zamknięte. Wymuszony kontakt trwał około dziesięciu sekund, a przez ostatnich pięć Winnie starała się odepchnąć mężczyznę bardziej w zdziwieniu, niż z chęci oporu. Zanim jednak wycofał się, jego usta rozwarły się, aby szybko dotknąć jej warg mokrym językiem. Napotkał szczelinę jej ust i ścianę jej zębów. Rozchyliła wargi, ale zbyt późno, by pozwolić, aby pocałunek stał się bardziej intymny i dłuższy.

Jego zwykle promieniujące, czarne oczy były teraz zamknięte. Odbite od jego rzęs promyki słońca pomknęły do jej oczu. Rondem kapelusza dotknęła jego kręconych włosów.

— Joseph... — wyszeptała zaskoczona — nie wolno ci tego robić... — i ponownie nieświadomie mrugnęła okiem, jak wtedy, gdy uwierzył, że właśnie ona jest najbardziej czarującym stworzeniem, na którym kiedykolwiek spoczął jego wzrok.

— Nikt nigdy nie nazywał mnie Joseph... Dla przyjaciół jestem Jo-jo. Dla braci Joey. A dla większości ludzi: Joe. Ale mimo wszystko uwielbiam sposób, w jaki to powiedziałaś. Joseph...

Naiwnie powtórzyła słowa wypowiedziane chwilę przedtem, walcząc, by w jej duszy zapanował spokój.

— Josephie! Nie wolno ci tego robić! Przytulona do jego torsu poczuła łomot serca mężczyzny.

— Wiem. A tobie nie wolno było poruszać ustami podczas przysięgi ślubnej. I patrzeć wtedy na mnie tymi swoimi nieposkromionymi niebieskimi oczami.

— Ja nie... — znów mrugnęła powoli, opuszczając jedną powiekę. Usidliło go to. Odchyliła nieco głowę i z niewinnym uśmiechem spytała poruszając wdzięcznie ustami:

— A robiłam to?

Wysunął się spod runda jej kapelusza, ale wciąż jeszcze obejmował ją jedną ręką. Drugą ujął ją za ramię przytrzymując lekko, by nie zmieniła pozycji. Cienie spomiędzy włókien runda kapelusza tańczyły czarująco na jej czole i nosie. Kilka włosów zawiniętych w lok zwisało swobodnie z jej skroni. Gdy wsunął w niego palec, poczuł, że zaciska się na nim, jak dłoń niemowlęcia.

— A o kim myślałaś, szepcząc te słowa? Rozwarła usta i zwilżyła górną wargę koniuszkiem języka. Milcząc spoglądała na niego.

— O Paulu Hildegardzie? — spytał szybko.

— Hildebrandcie — poprawiła go nie nabrawszy powietrza.

— No dobrze, Hildebrandcie.

— Nie, nie o Paulu Hildebrandcie.

Dotknął czubka swego nosa koniuszkiem palca.

— Nieładnie, panno Gardner! I to trzy miesiące przed ślubem...

Przycisnęła silnie dłoń do klapy jego marynarki i osłabiła uścisk. Chociaż uwolnił ją, trzymał ramiona wciąż blisko jej ciała.

— O kim? — spytał cicho, lecz uparcie. Spojrzała na koszyk z kwiatami na swym łonie.



— Nie myślałam o nikim. Po prostu koncentrowałam się na słowach. Są piękne.

Poruszył lewą ręką. Skrzywił palec wskazujący i przycisnął delikatnie do jej policzka. Przez chwilę jego oczy spoglądały na nią filuternie.

— Jesteś małą kłamczuszką — oskarżył ją.

— Są chwile, w których kłamstwo jest najlepszym wyborem.

Jego oczy pociemniały w zamyśleniu. Dotknął kciukiem wgłębienia poniżej jej dolnej wargi. Poczowała szorstkość jego skóry. Jego ręka opadła i odwrócił się, by wrzucić bieg. Droga była pusta, popędzili więc do miasta.

— Masz całkowitą rację. Ale czy w takim razie okłamiesz go opowiadając mu o tym, co się przed chwilą stało?

— Ja... Nie będzie takiej potrzeby. Dlaczego miałby o to zapytać?

— Czy był dziś na ślubie?

— Tak.

— I będzie na przyjęciu?

— Tak.

— Więc lepiej, żebym był ostrożny, prawda?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ani też co o nim myśleć. Był zdumiewająco bezpośredni. Nigdy nie spotkała takiego człowieka. Wydawało się niemożliwością przewidzieć jego reakcje, które wpływały spontanicznie, a tym bardziej przeciwstawić się ich piorunującemu skutkom. Nawet jeśli słowa płynęły z jego ust nieszczerze i brzmiały jak recytowane przez aktora strofy, ten pierwszy druhna, z którym była zmuszona spędzić dzisiejszy dzień, działał na nią niszcząco. Winnie doskonale wiedziała, że musi na siebie uważać.

— Powinieneś wiedzieć, że Paul nie należy do zazdrośników.

— Jaki on jest naprawdę?

Zamyśliła się przez chwilę. Podążali na południe przez Zane Avenue.

— Jego główną zaletą jest logiczność. Fachowcy od komputerów powinni tacy być. Jeśli nie może ująć faktu w kategoriach logiki i udzielić jasnej odpowiedzi: Tak — jest powód, aby być zazdrosnym, lub: nie, nie ma takowego, to wybierze racjonalną drogę i stwierdzi, że fakt nie zaistniał.

— O, Boże! To brzmi, jakby był okropnym nudziarzem.

— Powinnam się czuć urażona, Josephie Dugganie!

— A czujesz się? — pytając uważnie przyglądał się wyrazowi jej twarzy.

Winnie zdziwił fakt, że sama musiała się zastanowić, zanim odpowiedziała.

— Tak... Tak!

— Cudownie. To pierwsza oznaka pozytywnych stosunków między wami, odkąd cię znam.

— Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Nie wiesz nic o naszych układach, bo nigdy się jeszcze z nim nie spotkałeś, ani nie widziałeś nas razem.

— Ale na obecność was obojga liczę jeszcze dzisiaj... Co byś powiedziała, gdybyśmy dokończyli tę rozmowę późnym wieczorem i wtedy zobaczyli, jak się sprawy mają?

— Wieczór będę spędzała z nim, nie czekaj więc na mnie, kiedy skończą się tańce.

— W takim razie przypomnij mi, abym ukradł ci całusa gdzieś w środku wesela, kiedy on nie będzie widział. Ten, który dostałem, wydaje mi się niewystarczający.

Otworzyła usta ze zdziwienia i klepnęła go lekko w ramię.

— Jesteś aroganckim... bawidamkiem! Spuścił głowę i roześmiał się na głos.

— Bawidamek? O, Boże, nie słyszałem tego wyrazu od czasu, gdy oglądałem ostatni film Errola Flynna! — Z charakterystyczną pozą chwycił ją za lewą rękę i przycisnął władczo do uda. Szarpnęła się.

— Spokojnie, nie bój się. Wprawdzie wyglądasz wystarczająco pięknie dla takiego bawidamka jak ja, żeby

mógł cię zgwałcić... Tyle, że nie mam szans na środku zatłoczonej, czteropasmowej ulicy w biały dzień. Pozwól mi więc zadowolić się swoją dłonią.

— Ta dłoń, panie Duggan, nosi pierścionek zaręczynowy od innego mężczyzny!

— Dobrze, oddam cię pod jego opiekuńcze skrzydła, gdy tylko wrócimy na przyjęcie. Ale tymczasem przestań się wyrywać.

Zaniechała stawiania oporu i pozwoliła przytrzymać swoją dłoń na jego prawym udzie. Noga była silna i gorąca. Wiedziała, że powinna się wycofać, ale równocześnie odczuwała wielką przyjemność dotykając ciała innego mężczyzny. Był o wiele bardziej umięśniony, niż Paul, a jego udo był szersze, choć krótsze. Niepokoilo ją, że porównywała narzeczonego z innym mężczyzną. Spróbowała uwolnić rękę, ale nie udało się. Nadal trzymał ją mocno.

— Czy on umie tańczyć? — spytał nie odrywając wzroku od jezdni.

— Bosko!

— To nie pasuje.

— Co nie pasuje?

— Bo właśnie myślałem, by się tu zatrzymać i wykupić sobie u ciebie błyskawiczną lekcję tańca, tak, żebym mógł mu dorównać pod tym względem. — Ruchem głowy wskazał na Studio Tańca Glorii Allen, koło którego właśnie przejeżdżali i spytał nagle:

— A czy pali?

— Nie.

— Uhm. Przynajmniej w tym jesteśmy podobni. Czy jest bogaty?

— Niedługo będzie.

— Znów mnie pobił. — Spojrzał w niebo. — Powiedz mi, jak jest przystojny.

Mruknęła znacząco i wymamrotała jakieś słowo.

— A czy dobrze całuje?

— Mmm... Najlepiej! — w potwierdzeniu zacisnęła palce na jego nodze.

— A jaki jest w tych sprawach...? — zsunął rękę z jej dłoni i klepnął ją w udo.

— Josephie Dugganie, dość już tego! — zepchnęła jego rękę ignorując przyjemne uczucie, jakie wywołało jego dotknięcie.

Przybyli na parking przed kościołem. Stały już tam trzy pozostałe samochody. Joseph zaparkował i zgasił silnik. Oparł łokieć o kierownicę i odwrócił się do Winnie.

— W porządku, więc ostatnie pytanie: Lubi psy, koty i dzieci?

— Dzieci, to dla niego cały świat!

Cały czas świetnie się bawiła. Zabawnemu dialogowi towarzyszyła radość. Joseph oparł dłoń o miękką tapicerkę nad głową i mruknął kpiąco:

— Boże, czy jest coś, czego ten facet nie posiada? Zawstydziała się, choć może nie powinna była tego robić. I nawet wtedy, gdy słowa odpowiedzi płynęły z jej ust, wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że wciąż haniebnie flirtuje. Przekornie spojrzała spod szerokiego ronda kapelusza i odpowiedziała:

— Tak. Limuzyny haynes z 1923 roku.

### ***Rozdział III***

Przyjęcie weselne odbywało się w pięknym, odnowionym, staroświeckim budynku, którego trzy kondygnacje dzieliły zdobione sufity. Dom otaczały niezliczone ganki, werandy ze schodami, kopuły i osiem ogromnych, półkolistych okien. Nazywany był Klubem Wiktorjańskim, a wystrój jego białych wewnątrz nawiązywał do przeszłych dni, podobnie, jak i stojący na podwórku pawilon rzeźbiony w drewnie i metalu.

Przyjechawszy do Klubu, gdzie czekali już wszyscy goście weselni, Winnie doznała iluzorycznego wrażenia, że dziś była kimś innym niż Winnifred Gardner — współczesną kobietą, pracującą zawodowo. I rzeczywiście: tego dnia wszystko zdawało się grać na strunach jej serca i wtłaczać ją w zadziwiający stan *deja vu*. Miała wrażenie, jakby została ubrana z rozmysłem przez jakąś nadnaturalną siłę, która przesunęła ją w czasie do poprzedniej epoki.

Cztery samochody zatrzymały się na podwórzu przed budynkiem o przyciągającej wzrok architekturze. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na weselnym przyjęciu pękła atmosfera oficjalności i w gorące popołudnie zapanowały śmiech i radość emanujące na wszystko wokół. Winnie sięgnęła do klamki drzwi samochodu, ale Joseph powstrzymał ją silnym uściskiem dłoni. — Poczekaj.

Nagle znalazł się po jej stronie auta. Gdy odwróciła się na siedzeniu, by postawić stopę na wąskim progu samo-

chodu, ręce Josepha schwyciły ją w talii, uniosły i postawiły na ziemi. Pewnie przytrzymał ją nieco dłużej, niż powinien. Czy to była tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście celowo opuścił ją w dół zbyt szybko, by biodrem otarła się o jego brzuch? Jeśli tak, to przez chwilę delectował się tym kontaktem, zanim postawił ją na ziemi i skierował w stronę chodnika.

Goście weselni zauważyli ich przybycie i tłumnie wybiegli z domu otaczając młodą parę i obficie obsypując ją ryżem. Winnie i Joseph szli zaraz za nimi.

Dom został udekorowany wspaniałymi antykami. Jego dębowe posadzki lśniły w blasku świateł. Ogromne, otwierane w obie strony okna, sięgające od sufitu do podłogi, osadzone w zdobionych framugach, udekorowano staroświeckimi girlandami, które wpuszczały do środka pojedyncze strumienie światła. Elegancka, rzeźbiona klatka schodowa prowadziła z ogromnego głównego hallu wejściowego do szerokich, rozsuwanych, podwójnych drzwi, które teraz stały otworem. Za nimi miały odbywać się tańce. Jadalnia znajdowała się z tyłu domu, niedaleko kuchni, będącej jedynym pomieszczeniem niedostępnym dla gości. W przeciwieństwie do wystroju wewnątrz kuchnia urządzona była bardzo nowoczesnie, by podobać potrzebom gości, którzy z reguły pojawiali się w większych grupach, jak dziś.

Winnie weszła do środka, wciąż czując dłoń Josepha na swych plecach i usiadła na chwilę, by odpocząć. Atmosfera tego domu poruszała ją do głębi. Zwróciła się w stronę Josepha i ze wzrokiem pełnym uznania rzekła:

— Czyż to miejsce nie jest... — przebiegła wzrokiem po czerwonym chodniku wyścielającym rzeźbione schody — urzekające? Byłam tu z Sandy, gdy pierwszy raz przyszła zobaczyć ten dom i bardzo bałam się, że nie zdecyduje się na zorganizowanie przyjęcia tutaj.

— Tak, tu jest naprawdę przepięknie... — Ale jego oczy tylko omiotły przejście do sali balowej i schody, po czym powróciły do jej twarzy.

— Joseph, przyrzekłeś!

— Przyrzekłem? A co ja przyrzekałem? — pogładził dłonią jej plecy.

— Powiedziałeś, że będziesz ostrożny dziś wieczorem, czyż nie tak?

— Ach, tak. Ale to nie znaczy, że nie mogę podziwiać wystroju wnętrza.

Roześmiała się patrząc mu w oczy, potem obydwójce odwrócili się i podążyli do tylnej części hallu.

Jego ręka wciąż wędrowała po jej plecach.

— Czy wiesz, jakie było moje pierwsze wrażenie, gdy cię ujrzałam poprzedniego wieczoru? — spytała, spoglądając na kopułowate sklepienie okna.

— Nie, jakie? — podziwiał łuk jej szyi, gdy spoglądała w górę.

— Że jesteś wyśmienitym podrywaczem. I że powinnam każde twoje słowo traktować z przymrużeniem oka.

Teraz on się roześmiał.

— Bądź tak uprzejma zdefiniować mi termin „wyśmienity”.

Wzruszyła ramionami, pomyślała przez sekundę i wykonała nieokreślony gest w stronę niebios.

— Wyśmienity...? No, wiesz... — zrobiła jedną ze swoich czarujących minek. — Doskonały.

— Doskonały podrywacz? Czy ty naprawdę tak mnie postrzegasz?

— O, widzisz? Znow to robisz. Być może wybrałam nieprawidłowe określenie, powinnam była rzec: niepoprawny!

— Rzekłbym, że „wyśmienity” podoba mi się bardziej. Brzmi bardziej seksownie. A wiesz, przyjemnie jest myśleć, że jakaś kobieta uważa mnie choć w jednej dziedzinie za doskonałego.

Nagle za nimi odezwał się jakiś głos.

— Winnifred, kochanie, tutaj jesteś!

Na dźwięk głosu Paula Winnie odwróciła się i przycis-

nęła dłoń do łomoczącego serca, zastanawiając się, czy słyszał ostatnią uwagę Jo-jo. Była pewna, że widział, jak ręka Duggana zbyt długo przebywała na jej talii. Z wysiłkiem zachowała spokój głosu i podniosła twarz do pocałunku. Jo-jo stał i przyglądał się.

— O, cześć, Paul! Przepraszam, że nie zauważyłam cię w kościele, ale wszystko działo się tak szybko! Wypędzili nas stamtąd, zanim zdążyłam nabrać tchu.

Jo-jo Duggan spoglądał, jak wysoki i wystrojony mężczyzna owinał swą rękę wokół Winnie i nachylił głowę, by pocałować ją w policzek.

— Wyglądasz sensacyjnie, kochanie. Wyprostował się, dotknął głową runda jej kapelusza, tak, że musiała przytrzymać go, aby się nie zsunął.

— Podoba ci się? — uśmiechnęła się do stojącego przed nią jasnowłosego mężczyzny, który przewyższał ją o dobre dziesięć cali.

— Czy mi się podoba? — Hildebrandt cofnął się

o kilka kroków i przyjrzał się jej uważnie. — Jest cudowna... I fryzura, i kapelusz... — ścisnął jej rękę — i sukienka! — Spojrzał na nią ponownie okiem znawcy, dostrzegając kobiece aspekty jej garderoby. Marzyła, aby Jo-jo przestał śledzić dłonie Paula, które dotykały jej ciała. — Wyglądasz porywająco!

Kątem oka widziała wyraz twarzy Jo-jo. Poczowała dreszcz przebiegający jej ciało. Odwzajemniła uścisk Paula i przedstawiła go swemu towarzyszowi.

— Paul, chcę, abyś poznał pierwszego drużbę, Josepha Duggana. Joseph, to jest mój narzeczony, Paul Hildebrandt.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Hildebrandt. Joseph skinął głową.

— Witam.



— Ach, to ty jesteś tym szczęśliwcem! — Jo-jo przesłał przyjacielski uśmiech nowo poznanemu i nie zmieniając wyrazu twarzy spojrział na kobietę w jego ramionach. — Winnie wiele mi o tobie opowiadała podczas naszej przejażdżki po uroczystości.

— O, zdaje się, że będę miał kłopoty!

— Niekoniecznie. Słyszałem jedynie same komplementy. Oczy Hildebrandta spoczęły na narzeczonej. Znow

omioty cudowną fryzurę i kapelusz. Joseph czuł się zakłopotany przyglądając się mężczyźnie oceniającemu Winnie, jakby była nowo zakupionym dziełem sztuki. Hildebrandt zaskoczył Duggana swą odpowiedzią.

— Wygląda na to, że to ty dziś jesteś tym szczęśliwcem, towarzysząc jej, gdy jest tak pięknie ubrana. Nie spoglądając na niego cukierkowy typ odciągnął Jo-jo na stronę mówiąc:

— Za chwilę ją przyprowadzę, ale chciałbym z nią przez chwilę porozmawiać.

Jo-jo patrzył za „komputerowym facetem” prowadzącym władczo Winnifred Gardner pod ramię.

Ubrany był w trzyczęściowy ciemnogrnatowy garnitur i w jasnoniebieską koszulę. Dodatek stanowił szaroniebieski krawat. Jego fryzura wyglądała, jakby była wyjęta z „Gentleman Quarterly”, a buty lśniły jak lustro.

Gdy para oddaliła się, Hildebrandt objął Winnie ramieniem i przytulił ją tak, że przylgnęła do jego boku. Jej uniesiona twarz promieniowała uśmiechem, gdy słuchała jego głosu i odpowiadała na pytania. Śmiali się. Ten widok wywołał u Duggana chęć rąbnienia pięścią w ścianę.

— Czy jest tutaj jakieś ustronne miejsce, gdzie moglibyśmy się ukryć? — spytał Paul.

— Nie rozumiem, po co, panie Hildebrandt? — kokieteryjnie droczyła się Winnie. Przytulił ją do siebie i powędrował ręką w górę, prawie do ramienia, koniuszkami palców dotykając jej piersi.

— Znajdź mi tylko to ustronne miejsce, a pokażę ci, po co!

Roześmiała się.

Skrećili za róg. Zeszli w dół, do głównego hallu, i weszli do pomieszczenia, które niegdyś musiało służyć głównemu lokajowi. Pchnięciem otworzyli wahadłowe drzwi, znaleźli długi, wąski pokój z wbudowanym po lewej sekretarzykiem o szklanych drzwiczkach, z przeróżnymi szufladami na drobiazgi i srebra. Dalej znajdowały się kolejne wahadłowe drzwi, a z ich lewej strony szerokie okno sięgające aż do sufitu. Błękitne niebo nad nimi przesłonięte było łukowatą mozaiką winorośli pozbawioną teraz liści, lecz bogatą w pąki.

Gdy wahadłowe drzwi zamknęły się za nimi, Paul zabrał koszyk Winnie, odłożył go ostrożnie, wziął swą narzeczoną w ramiona i przytulił ją do siebie. Opuścił głowę, by ją pocałować. Zwolnił uścisk i dziewczyna oparła się o stojący pod oknem sekretarzyk koloru kości słoniowej.

— Mmm... — mrucał, uwodzicielsko wsuwając swój język w jej usta, które rozchyliły się ochoczo.

Poruszył przy tym głową, a dłonią odnalazł jej pierś, aby ugnieść ją lekko.

— Mmm... — odpowiedziała jak echo wprost w jego usta ze słodkim uśmiechem, przebiegając dłonią po jego gładkich plecach. Podniósł głowę i oddalił nieco, by przyjrzeć się kobiecie uwięzionej między jego ciałem a sekretarzykiem.

— Jeśli na naszym ślubie będziesz wyglądać jeszcze bardziej ekscytująco, trudno mi będzie powstrzymać swe ręce nawet przy wszystkich gościach!

Nieśmiało wsunęła dłonie pod klapę jego marynarki.

— No, nie, co to się stało! Niewzruszony Paul Hildebrandt traci panowanie nad sobą! Podoba mi się to!

— Nie jestem niewzruszony, gdy chodzi o ciebie... Wiesz o tym doskonale.

Pocałowała go w policzek.

— Ale nie wśród ludzi. W innym wypadku pocałowałbyś mnie tam, w hallu, zamiast szukać ustronnych miejsc. —

Czy podświadomie pragnęła, by Jo-jo Duggan zobaczył, jak bardzo pożąda jej narzeczonego? Czy właśnie to zmusiło ją do wypowiedzenia tych słów?

Wyrzuciła Duggana ze swych myśli, stanęła na czubkach palców i odszukała usta Paula. Ale w samym środku pocałunku zaczął się jej ześlizgiwać kapelusz. Wyrwała się więc i obydwoma rękami złapała za perłową spinkę.

Z charakterystyczną dla siebie powagą Paul cofnął się odrobinę i wsunął dłoń w kieszeń spodni.

— Ach, jeśli chodzi o tańce, Winnie... Jej ręce ze złością oparły się na biodrach.

— Paul Hildebrandt! Jeśli masz zamiar powiedzieć mi, że nie zostajesz na tańcach, zobaczysz, jak potrafi wściekać się twoja narzeczone. Tutaj i teraz!

— Winnie, ciszej, bo ktoś nas tutaj znajdzie! Nie chodzi o to, że ja nie chcę zostać na tańcach... Po prostu muszę wyjść troszkę wcześniej, niż się spodziewałem.

Zaciśniętym pięściom Winnie towarzyszyło zgrzytnięcie zębów.

— Więc cóż jest powodem tym razem? Czy wszechwładne Fatum zażądało, aby niepozorny pan Hildebrandt przedstawił mu nową porcję danych?

— Winnie, jesteś zادیorna...

— Zادیorna? — odwróciła się twarzą do okna, pokazując jej plecy. — Mam prawo być zادیorna po tym, jak mi przyrzekłeś! — znów spojrzała mu w twarz. — Przyrzekłeś! Powiedziałeś, że będziemy tańczyć do białego rana! I że nie pozwolisz, by cokolwiek ci w tym przeszkodziło. Cóż się więc stało?

— Czy musisz być taka niemiła? Potraktowała jego pytanie serio.

— Tak! Tak, muszę! Ponieważ mam powyżej uszu twoich komputerów i tego, że ciągle jesteś z nimi, nie ze mną! Znów wzięłeś jakąś dodatkową pracę, prawda?

— Musi być zrobiona do poniedziałku. A te pieniądze przydadzą się nam na urządzenie naszego domu.

— Paul, ile razy muszę ci powtarzać, że nie dbam o ten dom, mogę mieszkać gdziekolwiek, z dwoma krzesłami, stolikiem do kart i materacami zamiast łóżek! Nie potrzebuję mebli za cztery tysiące dolarów, które weźmie niedościgły dekorator wnętrz! Resztę życia spędzimy kupując meble... A ja pragnę, żeby ten wieczór należał do nas.

— Wiem — powiedział głosem pełnym żalu, wsunął dłonie do dzwonowatych rękawów jej sukienki i pogładził ją powyżej łokci. — Wiem, Winnie, ale ja mam... ideały. Cele. I jednym z nich jest to, żeby ci niczego nie brakowało, gdy rozpoczniesz wspólne życie z mną! Żebyś miała wszystko, czego zapragniesz. Wiesz dobrze, że przyrzekłem solennie twojej matce, że tak będzie... I dotrzymam przyrzeczenia!

Ale stosunki matki z Paulem były czymś, czego Winnie nie mogła do końca zrozumieć. Bała się, że gdy wyrazi swoje prawdziwe zdanie na ten temat, zabrzmi to, jakby była niespełna rozumu, albo przynajmniej uczulona na tym punkcie. Opuściła głowę, spojrzała na kantki spodni Paula i westchnęła głęboko.

— Tak, wiem — odpowiedziała zmęczonym głosem. Podniosła głowę. — Przepraszam, że się użalam, ale ja... Ty... — Jak to się działo, że zawsze przy tego typu wymianie zdań wydawało jej się, że błądzi, że jego motywacja jest szlachetna, przynajmniej powierzchownie, a jej skargi niedojrzałe, jakby była zepsutym dzieckiem, domagającym się więcej troski, niż powinno?

Objęła go za szyję.

— Paul, po prostu chciałam, żeby dzisiejszy dzień był wyjątkowy. Czuję się wyjątkowo, jestem ubrana odświętnie. I wiem, że chciałbyś, abym ubierała się tak częściej. Myślałam, że będziesz chciał być ze mną.

— Chcę i jestem — pocałował ją w czubek nosa i przytulił ją do siebie. — Mogę zostać jeszcze parę godzin.

— Do obiadu? Ożywił się i uśmiechnął.

— Tak, do obiadu i jeszcze na kilka tańców.

Spojrzała na niego i zdała sobie sprawę, że pod wpływem słów Josepha Duggana widzi go w zupełnie nowym świetle. „To jest pierwsza oznaka zdrowych układów między tobą i twoim narzeczonym, jaką zauważyłem”.

Paul Hildebrandt szczyił się wszystkimi cechami, które rozsądna kobieta ceniłaby w mężu. Czyż matka nie powtarzała jej wielokrotnie tego przez ponad dwa lata?

Westchnęła ponownie i oparła się o krawędź sek-retarzyka, przytulając mężczyznę do siebie. Poczuła ciężar jego bioder. Dłońmi przyciągnęła jego twarz i zapominając o kapeluszu podała mu usta do pocałunku, z pełną wymianą języków, który przemienił się po chwili w ochocze pieszczoty. Kapelusz opadł na ziemię. Stała na palcach, wtulając się wypukłościami swego ciała w jego tors, pragnąc zapewnić go w ten sposób, że godziny spędzone z nią nie zostaną zmarnowane.

— Kocham cię, Paul! — szepnęła żarliwie wprost w jego szyję. Pachniał jak zwykle kosmetykami Pierre'a Cardina — zawsze starał się, by jego *image* był bez zarzutu. Szata czyni mężczyznę. Pierwsze wrażenie trwa najdłużej. Był zawsze czysty, bez skazy i pięknie pachniał.

— Ja też cię kocham — powiedział, ujmując jej twarz w dłonie, które jak zwykle były nieskazitelnie czyste.

Co się ze mną dzisiaj dzieje, zastanawiała się. Dlaczego oceniam go tak krytycznie, choć nie ma żadnych rażących wad? Nagle zaczynam szukać jakichś... Czy to po tym, co zasugerował mi Jo-jo?

— Muszę wracać na przyjęcie. Niedługo będą sadzać gości do stołów. Muszę dopilnować kilku spraw.

— Och! — cień zawodu przemknął przez jego cudownie zielone oczy. — Czy to znaczy, że w czasie obiadu nie będę mógł siedzieć przy tobie?

— Będę posadzona przy pierwszym druźbie. Ale będziemy mogli potem zatańczyć pierwszy taniec, w porządku?

— W porządku. Wpiszę twoje imię do karnetu... — skrzywił się żartobliwie, wręczył jej koszyk i skierował ją w stronę wahadłowych drzwi.

Główny hall pustoszał, ale Joseph Duggan wciąż czekał w pobliżu przejścia do sali jadalnej.

— A, tu jesteście! Najpierw rozsadzają gości, Hildebrandt. Właśnie to ogłosili.

Zauważył rumieniec na twarzy Winnie wskazujący bezbłędnie, co przed chwilą robiła. Na jej ustach lśnił jeszcze żar pocałunku komputerowego faceta, choć dawno było już po wszystkim. Dostrzegł również coś w rodzaju oziębłości, gdy zwracała się do swojego narzeczonego:

— Zobaczmy się po obiedzie, Paul!

Hildebrandt opuścił ich i zniknął za drzwiami sali jadalnej. Winnie czuła na sobie oceniający wzrok Dug-gana, który nie pomijał nawet najmniejszego szczegółu. Jego twarz nie była wykrzywiona żadnym grymasem, gdy poradził:

— O, widzę, że zapanował tu nieład... Jakiś pukiel włosów wystaje z jednej strony kapelusza... I powinnaś użyć nieco szminki — tak do zdjęcia, oczywiście! — zakończył sarkastycznie.

Poczuła, jak wszystkie kolory tęczy napływają na jej policzki. Pomyślała, że to nie jego interes.

— Zostawiłam swoją kosmetyczkę na tylnym siedzeniu twojego samochodu. Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym cię poprosiła o przyniesienie mi jej?

— Ależ skąd! A jak ona wygląda?

— Taka w kwiatki, z zamkiem błyskawicznym, mniej-więcej taka...

— Wrócę za sekundę.

Wykonał zwrot na pięcie, przeszedł przez drzwi wejściowe i w chwili, gdy drzwi właśnie się za nim zamykały, odwrócił się i zmarszczył twarz. Do szaleństwa doprowadzał ją ten pełen krytycyzmu, świdrujący wzrok.

Gdy powrócił, hall główny opustoszał prawie całkiem.

Wręczył jej kosmetyczkę, a ona jemu koszyk z kwiatami. Stał tuż za nią. Bardzo, bardzo blisko. Przyglądał się jej odbiciu w lustrze osadzonym w rzeźbionej ramie, które wisiało po lewej stronie drzwi.

Dłoń kobiety zanurzyła się w kosmetyczce w poszukiwaniu szminki, ale gdy ją znalazła i chciała unieść do ust, jej dłoń drżała jak liść osiki. Oczy Josepha Duggana badawczo śledziły każdy jej ruch. Otworzyła usta i spojrzawszy do lustra napięła wargi i zaczęła pokrywać je warstwą szminki.

— Masz cudowne usta... Ale podobają mi się bardziej, gdy nie ma na nich tej czerwonej powłoki i mają naturalny kształt.

Dłoń trzymająca czerwony kosmetyk dygotała tuż przy ustach. Wzrok Winnie napotkał w zwierciadle oczy Duggana. Miała ochotę poprosić go, by zaniechał już komplementowania jej. Nie była w odpowiednim nastroju.

— No, dalej, księżniczko! Pomaluj je bez względu na to, co powiedziałem! No dobrze już, odwróć ten bezczelny wzrok, z którego łatwo odczytać, że wiem, co robiłaś z Hildegardem w pokoju lokaja.

— Z Hildebrandtem! — wycedziła przez zęby i dokończyła nakładanie szminki na usta.

— Najmocniej przepraszam! — rzekł uprzejmie. — Hildebrandtem. — Spojrzał na jej kapelusz. — Jeśli możesz, to popraw również włosy.

Zamiast spławić go jakoś, wyrwała nerwowym ruchem szpilkę z kapelusza i wręczyła mu go tak energicznym ruchem, że nakrycie głowy wylądowało na jego żołądku. Wykrzywił twarz i dorzucił go do kolekcji innych damskich drobiazgów. Nie rozumiała, dlaczego damski kapelusz i koszyk pełen różowych hiacyntów trzymany w jego rękach dodawały mu męskości. Odwróciła oczy od lustra.

Czuła się zdradzona nawet przez otaczające ją przedmioty.

Podniosła ręce i pogładziła pojedynczy lok, który wysypał się z fryzury. Wetknęła go w kok tuż przy szyi.

Odnalazła ukrytą spinkę i wpięła go na miejsce. Podczas całego tego zabiegu jej broda oparta była o klatkę piersiową, która lekko wysunęła się do przodu. Dyskretnie spojrzała na Duggana śledzącego jej ruchy. Omiótł spojrzeniem miejsce, gdzie luźne rękawy sukienki ześliznęły się, gdy uniosła łokcie, ukazując nagie ramiona. Kiedy zorientował się, że kobieta go obserwuje, kącik jego ust uniół się powoli. W pewnej chwili wysunął rękę z kapeluszem tak, że zatrzymał się on w okolicach jej żołądka. Gdy ją dotknął, Winnifred Gardner drgnęła.

— Dziękuję ci... — warknęła sarkastycznie wyrywając mu kapelusz z dłoni.

— Do usług, madam! — Podchwycił ton. — Jeśli naprawiłaś już wszystkie wyrządzone ci przez nieznaną siłę szkody, możemy iść. Jestem pewien, że na nas czekają.

Na szczęście ceremonia jeszcze się nie rozpoczęła. Sandy opracowała niecodzienny program na oficjalną część uroczystości, która zwykle bywa najnudniejsza z całego wesela. Zamiast zmuszać gości do poddania się rytuałowi krótkich, grzecznych rozmówek z nieznajomymi, zaproponowała, by wszyscy zebrani zostali najpierw rozsadzeni, po czym nastąpi formalne przedstawienie młodej pary, która podejdzie do swego stolika środkowym chodnikiem tak, aby wszyscy mogli ich zobaczyć.

Gdy Winnie i Joseph dołączyli do czekających przy wejściu do jadalni, właśnie rozległy się słowa:

— A oto państwo Malaszewscy!

Joseph począł bić brawo, po czym przyłożył dwa palce do ust i wydał z siebie przeciągły gwizd.

Winnie również klaskała, unosząc dłonie nad głową. Duggan mocniej uderzył w dłonie i przywołując na twarz nieokreślony grymas zawołał:

— Droga wolna, Ski! Mistrz ceremonii wykrzyknął:

— Pierwsza drużyna i pierwszy drużba: panna Winnifred Gardner i pan Joseph Duggan!



Jo-jo zgiął się lekko i podając łokieć Winnie zapytał:

— Czy można, panno Gardner?

Uśmiechnęła się szeroko, zaplotła rękę na jego rękawie i pozwoliła się prowadzić świadoma, że Paul obserwuje ich podejście do głównego stołu. Gdy rozpoczęło się przyjęcie weselne, Joseph stanął za krzesłem Winnie i odsunął je z gracją. Gdy siadał na swoim, ona postawiła koszyk kwiatów między dwoma świeczkami, zdjęła rękawiczki i położyła je tuż przy srebrnym nakryciu.

Gdy już usiedli, skierował całą swą uwagę na pierwszą druhnę.

— Jakby to powiedzieć... Wyczuwam nieco oziębłą atmosferę.

— Wolałabym o tym nie rozmawiać, gdy setka gości weselnych może obserwować każdy nasz ruch.

— Jesteś na mnie zła. — Między innymi.

— W takim razie przykro mi. Nie miałem pojęcia, że będziesz taka niedotykańska w tych sprawach. Nie drażniłbym cię...

— Nie jestem niedotykańska, w porządku?

— Więc dlaczego rzucasz rękawiczkami i zaciskasz zęby? Nabrała powietrza w płuca, zamknęła na chwilę oczy

i zmusiła mięśnie twarzy do odpoczynku.

— Nie jestem niedotykańska. I nie jestem zła na ciebie tak bardzo, jak na Paula. I nie mam ochoty o tym rozmawiać, jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu.

— Czyżby kłótnia zakochanych? Na ślubie? W pokoiku lokaja? O cóż mogliście się pokłócić przez te pięć minut?

Gdy odmówiła odpowiedzi odwracając od niego głowę, on odszukał Paula Hildebrandta w odległym kącie sali.

— Uhm... Twój narzeczony wygląda na bardzo zadowolonego i szczęśliwego. Coś mi się zdaje, że nie szaleje za tobą.

Ponownie spojrzała mu w twarz.

— Panie Duggan! Mówiłam już, że nie mam ochoty  
o tym rozmawiać!

— W porządku — ustępuję. Więc o czym chciałabyś porozmawiać?

Odziane w białe fartuszki kelnerki krążyły pomiędzy gośćmi. Zbliżywszy się do nich zaoferowały  
napelnienie kieliszków szampanem. Jo-jo podniósł swój kieliszek i spytał Winnie:

— Szampana?

Na krótkie skinienie wziął jej kieliszek i podał do napelnienia.

— Proszę uprzejmie! — powiedział przyjacielsko, podając jej alkohol.

Wreszcie Duggan sam przerwał zenującą rozmowę:

— To może ja w końcu zacznę spełniać obowiązki pierwszego drużby. Dokończymy później.

Wstał, podniósł ręce prosząc wszystkich o ciszę i zwrócił się do narzeczonych, podnosząc kieliszek.

— Panie i panowie! W tym wielkim dniu wznoszę toast za Micka i Sandy. Wszyscy jesteśmy  
szczęśliwi, że możemy uczestniczyć w uroczystości waszych zaślubin. Życzę wam z całego serca, by  
wasza miłość przez całe życie była tak bezgraniczna i wspaniała, jak jest teraz. By wasze życie usłane  
było kwiatami radości, a pozbawione najmniejszych nawet kłopotów — uniósł kieliszek. — Zdrowie  
moich przyjaciół — Sandy i Micka Malaszewskich!

Wypił, postawił kieliszek i stanął pomiędzy nowożeńcami. Mick stał przy swoim krześle; mężczyźni  
padli sobie w ramiona i uścisnęli dłonie po przyjacielsku. Szepnęli parę słów zbyt cicho, by Winnie  
mogła usłyszeć. Spojrzeli sobie w oczy, w których zagościł błysk emocji. Joseph znów podniósł głos,  
by mogli usłyszeć go zebrani.

...i myślę, że jako pierwszy drużba, będę musiał pójść w jego ślady!

Na sali rozległ się aplauz, gdy Joseph ujął dłoń Sandy i pocałował z gracją. Potem złapał ją w swe  
ramiona

i mocno pocałował w usta, a odsuwając się roześmiał się, patrząc na jej płonąca rumieńcem twarz.

— Bądź dla niego dobra, słyszysz? Kocham tego przyjemniaczka!

— Obiecuję!

Joseph skinął, uwolnił jej ręce i powrócił na krzesło obok Winnie. W chwili, gdy napełnił ponownie swój kieliszek i uniósł go do dziewczyny, żar nieznanego dotąd uczucia zastąpił jej dotychczasową złość. Był mężczyzną, który kochał i potrafił to okazać. Bez najmniejszego wstydu. Jakże to była rzadka cecha!

— Wolałbym nie spędzić tego wieczoru wiedząc, że jesteś wściekła na mnie! Wobec tego wzniesmy toast za rozejm. Zgoda, panno Gardner?

Kieliszki zadzwoniły zetknąwszy się z sobą.

— W porządku, pax — zgodziła się, słysząc przyjemny dźwięk. — Ja również przepraszam.

Naprawdę: nie na ciebie byłam wtedy zła.

— Nie ma o czym mówić.

Popijał alkohol drobnymi łyżkami przechylając powoli kieliszek. Nie spuszczał oka z Winnie zniewalając jej wpatrzony w niego wzrok. Zobaczyła bąbelki szampana odbijające się w brązowych tęczęwkach jego oczu. Tajemnicze napięcie, które dotychczas krępowało dziewczynę i komplikowało sytuację, zdawało się teraz zanikać. Czowała, że coraz mniej spraw ich różni.

Podano obiad. Jedząc kurczaka z ryżem w sosie grzybowym prowadzili bezpieczną rozmowę o interesach, o klubie samochodowym, o jej pracy w szpitalu, o ciekawym podejściu narzeczonych do planowania zaślubin, odświeżającym wiekowe tradycje.

— Czy wiesz o tym, że prezenty będą otwierane dopiero jutro, w domu rodziców Sandy?

— Tak, Mick powiedział mi o tym. Będziesz tam? Popatrzyła mu prosto w oczy. „Boże, on ma piorunujący wzrok!, pomyślała. Powinnam była od razu powiedzieć:

Nie! i trzymać się tego. Szkoda, że nie ma sposobu, żeby zmusić Paula do pozostania na weselu. Nie wtedy, gdy ma absorbującą go pracę."

— No i co? Będiesz?

— Tak, będę.

Wiedziała, że grają w kotka i myszkę. Uspokoiła nagły przypływ poczucia winy, wmawiając sobie, że to wszystko jest przecież oficjalnie. Zostali parą na czas wesela, a czyż jutrzejsza impreza nie była częścią uroczystości? Nagle zdała sobie sprawę, że patrzy w jego oczy zbyt długo, więc spuściła wzrok na talerz. Potem rozejrzała się po sali, by zobaczyć, czy Paul obserwuje główny stół. Ale na szczęście był pochłonięty rozmową z kimś innym.

— Panno Gardner — przerwał jej nagle Joseph i spojrzał na nią swoimi pięknymi brązowymi oczyma.

— Jak on się do ciebie zwraca? Winnifred? Winnie?

— Z reguły Winnie.

— W takim razie czy będziesz miała coś przeciw temu, że będę cię nazywał Winn?

Jej serce zareagowało w sposób, w jaki nie powinno reagować serce kobiety zaręczonej. Zastanawiała się, czy ludzie zauważyli, jak często ona i Joseph spoglądali sobie w oczy podczas tego posiłku.

Nagle przerwał im kelner:

— Czy państwo życzą sobie kawy?

Winnie skorzystała z okazji, by oderwać się od swych myśli.

— Tak... ach, tak! Bardzo proszę!

Niestety zbyt późno zorientowała się, że nie cierpi tego napoju. „A może mnie trochę otrzeźwi i zacznę się zachowywać rozważniej?”

— Winn? — Ten wyraz mało nie doprowadził jej do palpacji serca, a ton głosu zmusił do spojrzenia w górę. — No więc, o co walczyliście z sobą dzisiaj?

— To nie była żadna walka... Taka tylko chwilowa różnica poglądów. I co najgorsze, to właśnie ja nie mam

racji. — Spojrzała na Paula i zorientowała się, że ją obserwuje. Uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Odpowiedziała i spuściła wzrok na obrus. — Widzisz, Paul jest bardzo pracowity. Ustalił sobie... nam pewne cele, no, takie rzeczy, które chce, abyśmy osiągnęli. Tylko czasami, gdy pracuje więcej niż powinien, wydaje mi się, że... — zawiesiła głos niepewna, jak to wyrazić.

— Że co?

Dotknął kostki przy jej palcu wskazującym, gdzie przeplecione było uszko filiżanki. Pod wpływem dotknięcia szybko cofnęła rękę tak, że napój o mało się nie wylał. Wystraszona spojrzała w górę usiłując umieścić Paula gdzieś pomiędzy sobą a tym bardzo pociągającym mężczyzną.

— Że... staję się odrobinę zazdrosna o ten czas, który spędza ze swoimi komputerami. Ma jeden taki w domu w wolnej sypialni i po codziennej pracy dorabia wieczorami w ramach dodatkowych kontraktów. Programuje na niezależnej bazie zwykle wieczorami i w weekendy. Robi to, ponieważ kupiliśmy dom i mamy teraz wiele wydatków. A do tego postanowił, że umebluje go całkowicie, zanim się wprowadzę. Powinnam więc być wdzięczna za to wszystko. Mam mężczyznę z ambicjami i energią. Jestem egoistką, żądając od niego, by poświęcał mi więcej czasu. Ale niekiedy... — jej spojrzenie zatrzymało się na Paulu i pozostawiła myśl nieskończoną.

— Wolałabyś mieć raczej jego czas, niż pieniądze, które zarabia — dokończył Joseph wychylając się nieco w przód i opierając łokieć na stole. W ten sposób — pokazując plecy całej sali — zasłonił ją przed oczyma jej narzeczonego.

— Tak, ja wiem, że to brzmi dziecinnie śmiesznie, że kobieta może być zazdrosna o... tablicę silikonowych przycisków! Ale... — zmarszczyła brwi, jej usta zadrżały. — Czy ty wiesz, że on nawet tym swoim komputerom nadaje imiona? Swoją nazwał Rita! Na miłość

Boską — Rita! Zastanawiam się, jacy mężczyźni nadają kobiecie imiona stercie złomu i mówiąc o nich używają zaimka ona?! — Jej usta drżały coraz mocniej. — A jakie kobiety są zazdrosne o „nią”? Napotkała poważny wzrok Jo-jo Duggana i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że jej oczy zasły łzami.

— O, jejku... — poczuła się głupio, przyznając się do takich uczuć. Chciała otrzeć łzy, ale nie miała przy sobie chusteczki. — Jest mi strasznie głupio, gdy z powodu takich błahostek ponoszą mnie emocje. Obiecał, że przyjdzie na wesele i będzie przez całą noc ze mną tańczył. Uwielbiam tańczyć. I myślałam, że... że... ponieważ jestem ubrana odświętnie i wszystko... — przerwała świadoma, że jej słowa przypominają bełkot małej dziewczynki.

Przed jej zamglonymi oczyma zamajaczyła dłoń podająca jej chusteczkę.

— Proszę, obetrzyj łzy.

Wzięła ją i wytarła koniuszek nosa. Uniosła twarz i ujrzała Josepha Duggana bardzo blisko siebie. Nie uśmiechał się, ale za to bacznie ją obserwował, wciąż osłaniając przed resztą sali.

— Przepraszam, Joseph. Głupio robię zalewając się łzami, gdy mój narzeczony chce pracować, żeby zarobić na pełne umeblowanie naszego domu.

— Dobrze wiesz, że nie dlatego płaczesz.

— Nie dlatego?

— Nie wygląda na to.

— To w takim razie powiedz mi, dlaczego?

— Ponieważ za trzy miesiące wychodzisz za mąż i nagle odkrywasz rażące różnice w waszych osobowościach. Bardzo głębokie różnice. Ty uwielbiasz tańczyć, a on — rozmawiać z komputerami. Ale czy to rzeczywiście wyraża głębię tego konfliktu?

— Ta... — Niewiele brakowało, a odpowiedziałyby twierdząco. Ale powstrzymała się, by pomyśleć. Po chwili zdecydowała, że lepiej w to nie wnikać. — Chciała

bym się dziś wieczorem dobrze bawić, a ta rozmowa na pewno w tym nie pomoże. Czy moglibyśmy porozmawiać

O czymś innym?

— Ależ oczywiście! Doprowadziłaś się już do porządku? Czy mogę odsłonić cię od tłumu?

Uśmiechnęła się i roześmiała drżącym głosem, wręczając mu chusteczkę i pociągając nosem.

— Tak, ale prawdopodobnie będę musiała poprawić makijaż. Wybaczysz mi, jeśli zniknę na chwilę w foyer i podmałuję nieco oczy?

Natychmiast zerwał się i odsunął jej krzesło. Gdy stała obok niego, przez chwilę trzymał dłoń na jej ramieniu.

— Winn, jeśli to spowoduje, że będziesz czuła się lepiej tego wieczoru, zastąpię starego Hildegarda na parkiecie, choć pewnie nie jestem tak dobry, jak on. Pragniesz tańczyć całą noc? Będziesz więc tańczyć, kochanie, jak długo sobie zażyczysz! — popatrzył lekko zawstydzony na swoje buty, wyprostował się i posłał jej zawadiackie spojrzenie.

Jego wzrok działał jak ożywiający promień słońca.

— Myślę, Josephie Dugganie, że jesteś bardzo miłym mężczyzną, pomijając twoje flirtowanie i droczenie się. Masz swój styl.

Stali przez chwilę bez ruchu wpatrzeni w siebie.

— Winn... — zacisnął dłonie na jej ramieniu. Jego dotyk był zbyt przyjazny, zbyt dobry i podniecający. Zmusiła się, by się odwrócić i odejść.

## *Rozdział IV*

Jest taki stary zwyczaj na polskich ślubach, że drużbowie w pewnym momencie na przyjęciu porywają pannę młodą.

Gdy Joseph Duggan zniknął w godzinę później, Winnie natychmiast odczuła jego brak. Zatańczyłaby z Pauliem, ale przecież poszedł. Snuła się od grupy do grupy rozmawiając ze znajomymi, ale przyjęcie zaczęło tracić dla niej urok. Zabrała swoją kosmetyczkę i poszła na górę do sypialni. Położyła nową warstwę tuszu na oczy i różu na policzki, ale za to wytarła całą szkarłatną szminkę z ust. W zamian pociągnęła je delikatnym różowym odcieniem, który lśnił jak perła. Wzięła do ręki Chanel Nr 5, spryskała szyję i kolana. Zeszła na dół, by dalej snuć się bez celu i słuchać muzyki czteroosobowego zespołu, który grał w głównym hallu.

Wydawało się jej, że minęły wieki, zanim frontowe drzwi otworzyły się i kilku rozbawionych mężczyzn weszło do środka, wnosząc pannę młodą na rękach. Na widok Josepha Duggana wieczór odzyskał urok. Jo-jo też natychmiast dostrzegł Winnie i ruszył w jej kierunku zaraz, gdy postavili pannę młodą na ziemi.

— Przepraszam, że musiałem cię opuścić, ale wzywały mnie obowiązki — ujął ją za rękę i skierował w stronę parkietu. — Niech się dzieje, co chce — dotrzymam swych obietnic! No chodź, płasająca dziewczyno, uczynimy cię znów szczęśliwą!

Chwycił ją w ramiona i odkrył, że jej wspaniały



kapelusz z szerokim rondem za bardzo ich dzieli. Przechyliła się wdzięcznie do tyłu i uśmiechnęła słodko.

— Niecierpliwiłam się bardzo...

Oczarował ją znów swym uroczym wyrazem twarzy.

— Ja również. — Wyciągnął ramiona przed siebie i położywszy dłonie na jej biodrach przyciągnął ją do siebie. Ale szerokie rondo kapelusza wciąż przeszkadzało, łaskocząc go w czoło. Przyjrzał mu się wzrokiem inspektora policji szukającego klucza do rozwiązania zagadki. Przestał tańczyć, uniósł obie dłonie i sięgnął w okolice jej głowy. Wiedział, w którym miejscu znajduje się spinka przytrzymująca intruza; przyglądał się jej przecież, gdy wcześniej zdejmowała nakrycie głowy. Gdy kapelusz zsunął się, Winnie poczuła niewyjaśniony dreszcz emocji, chociaż mężczyzna zdjął jej tylko nakrycie głowy — nie bieliznę! Mimo wszystko podobał się jej sposób, w jaki to uczynił. Bez pytania i zbędnych zabiegów.

Bezceremonialnie przycisnął ją do siebie tak blisko, jak to tylko możliwe, przytulił twarz do jej skroni i spojrzał na kapelusz swobodnie zwisający na jej plecach.

Delikatny odgłos pocierania słomkowego kapelusza o organdynową sukienkę przyprawił Winnie o dreszcz. Wyobraziła sobie jego silną dłoń, która ujmuje tę część garderoby za jej plecami. Przymknęła oczy i rozkoszowała się tą myślą.

Duggan nie mógł się pochwalić gracją Paula w tańcu, ale za to miał wspaniałe wyczucie rytmu i podobnie jak ona był zadowolony z Winnie w ramionach wirując drobnymi kroczkami po całej sali. Czując ciepło jego ciała kobieta zdała sobie sprawę z różnicy między jej partnerem a narzeczoną. Joseph był niższy niż Paul, tym samym jego twarz znajdowała się bliżej jej oczu, prawie dotykając jej czoła. Był lepiej zbudowany, jego mięśnie były prężniejsze, dłonie szersze, grubsze i mocniejsze, a palce zwinne. Spracowane ręce pokrywał twardy naskórek, który doskonale kontrastował z miękkim i ciepłym wnętrzem dłoni. Używał

innych kosmetyków, niż Winnie zwykła była czuć na męskiej szyi. Roztaczały woń ziół zmieszanych z cytryną i czymś przypominającym cedr. Powierzchnia jego twarzy była nierówna i dziewczyna czuła na skroni delikatne drapanie. Wyobraziła sobie, że do końca tego wieczoru jej fryzura z tej strony będzie spłaszczona i rozczochrana. Znów przywołała na myśl jego loki, ale — niestety — nie mogła ich dotknąć, choć tak bardzo pragnęła dyskretnie wtulić palce w te włosy. Zastanawiała się, jakie są w dotyku te dziewczęce kędziorki. Nigdy wcześniej takich nie widziała. Tańczyła w jego objęciach szczęśliwa, że może czuć ciepło i zapach innego mężczyzny. Zdawała sobie jednak sprawę, że oddziałują na nią znacznie silniej, niż powinny na zaręczoną kobietę.

— Nie było cię tak długo...

Odsunął się nieco i spojrzał w jej oczy.

— Długo?

Jej serce załomotało.

— Miałam... Miałam ochotę tańczyć.

— Przecież gdy wychodziłem, on wciąż tu jeszcze był. Nie tańczyliście?

— Tak, ale krótko. Wyszedł w chwilę po tobie.

— Czyżby nie bawiło cię potajemne porwanie narzeczonej, które wam zafundowaliśmy?

— Nie, bawiło... Tyle, że widziałam wszystko. „Winnifred Gardner, teraz ty zaczynasz flirtować!”

Jego dłoń przesunęła się pieszczotliwie po plecach

kobiety, chociaż wzrok nieustannie spoczywał na jej twarzy.

— Miałaś rację, co do niego. Jest wysoki, przystojny, blondyn, gustownie się ubiera. Miałem dość czasu, by przyjrzeć się wam, gdy zaczęły się tańce. Rzeczywiście jest świetnym tancerzem. Oboje jesteście.

— Tak, a teraz ten świetny tancerz stuka w klawiaturę komputera. Na cóż mi więc on?

— Być może w tej chwili nie wydaje ci się przydatny,

ale muszę zauważyć, że powinienem podziękować staremu Hildegardowi za to, że cię opuścił. Jestem niezmiernie szczęśliwy, że mogę go zastąpić. — Znow przytulił ją do siebie, wykonał dwa szaleńcze obroty i śmiejąc się wprost do jej ucha omal nie stracił na chwilę równowagi. Ona również się roześmiała przytuliwszy głowę do jego piersi.

— Szło ci całkiem dobrze, Josephie, zanim nie zacząłeś szaleć. Nie potrzebuję Freda Astaire'a. I bez tego będzie zupełnie okay.

Kilka następnych piosenek utrzymane było w szybkim tempie, a Jo-jo Duggan z rozbawieniem kołysał biodrami i ramionami zdając sobie sprawę, że nie jest najlepszy w tym sporcie. Ale mimo wszystko bawił się wspaniale choćby z tego powodu, że towarzyszyła mu najpiękniejsza na parkiecie kobieta.

— Któż powiedział ci, że jesteś marnym tancerzem? — spytała.

— Czuję to. Nikt nie musi mi tego mówić. Rzuciła okiem na jego brzuch ukryty w cieniu fraka i spuściła oczy nieco niżej.

— Nie rozumiem, co ci się nie podoba? Masz doskonałe wyczucie rytmu!

Uniósł głowę i roześmiał się w sufit. Potem zlustrował ją od stóp do głów.

— Ty również, panno Gardner. Ty również.

Gdy ucichły ostatnie takty skocznej melodii, zdjął swój frak i powiesił go na oparciu krzesła. Tył jego kamizelki był wykonany z miękkiego materiału i łatwo można było wyczuć pod nią mięśnie.

Gdy muzyka zabrzmiała znowu, Winnie wtuliła się na powrót w jego ramiona i objawszy go wyczuła pod palcami łopatki i wgłębienie między nimi. Dłonie mężczyzny spoczęły na biodrach kobiety, która na ten gest przylgnęła do jego ciała. Spuścił głowę tak, że poczuła jego oddech w pobliżu ucha.

— Mmtn...! To, czymkolwiek pachniesz, jest tysiąc

kroć przyjemniejsze o benzynowych perfum, którymi spryskałaś się tamtego wieczoru!  
Roześmiała się. Było to cudowne uczucie: śmiać się w jego ramionach, które uniosły się i dotykały jej ciała.

— To jest Chanel Nr 5 — odpowiedziała wesoło.

— Uwielbiam to! Czy to smakuje równie pięknie, jak pachnie?

— Nie wiem. A jak jest z twoimi kosmetykami? Jego palce poruszyły się sugestywnie po jej plecach.

— Może powinniśmy oboje to stwierdzić, he?

— Hm, hm... — mruknęła tuż przy jego uchu. — Nie mogę tego zrobić. Jestem zaręczona z innym mężczyzną.

— Ach, racja. Stary Silikonowy Klawisz. Facet, który oddał mi ciebie pod opiekę!

— Tylko dlaczego ja wcale nie czuję się bezpieczna pod tą opieką?

— Nie mam pojęcia. Ja tylko zastępuję twojego nieobecnego narzeczonego. I wciąż mam na uwadze twoje ciągle napomnienia, że jesteś mu przyrzeczona i nosisz jego zaręczynowy pierścionek.

Jego lewa ręka z okolicy żeber powędrowała w górę i natknęła się na pionową szczelinę w sukience. Gorąca dłoń wśliznęła się do środka i pomknęła do nagich łopatek. Potem w dół, do czegoś, co zapewne było biustonoszem. Pozostała tam przez dłuższą chwilę.

— Co ty, do licha, masz pod tą sukienką? Zaskoczona tym niecodziennym pytaniem odpowiedziała bez zastanowienia:

— Coś bardzo staromodnego i niespotykanego w dzisiejszych czasach.

— Mam wrażenie, że jesteś ubrana w beczkowe klepki... — przesunął dłonią po jej plecach i boku wzdłuż plastikowych stalek podtrzymujących bieliznę.

— Nazywa się to „wesoła wdówka”.

Nagle podniósł głowę i spojrzał jej w oczy iskrzącym wzrokiem.

— Chciałbym, żebyś nią była...

— Słucham? — zadarła głowę.

— Wesołą wdówką. Chciałbym, żebyś była wesołą wdówką zamiast zaręczoną kobietą.

To stwierdzenie wyrwało ją ze stanu zapomnienia. Wycofała się na bezpieczną odległość, ale bez ciepła jego ciała czuła się opuszczona i samotna.

— Myślę, że powinniśmy porozmawiać o czymś miłszym i bardziej neutralnym.

— Masz całkowitą rację. Smakował ci obiad?

— Smakowało mi wszystko z wyjątkiem szparagów. A tobie?

— Mnie też smakowało wszystko... Włącznie ze szparagami.

Temat był wyczerpany. Chciała znaleźć następny, ale jej myśli wciąż krążyły wokół Josepha. Rozkoszowała się jego bliskością. Wydawało się jej, że mijają wieki, odkąd bawią się razem i uprawiają tę wdzięczną grę słów. Paul był często poważny, a jego myśli krążyły wokół spraw mających niewiele wspólnego z rzeczywistością. Winnifred odpędzała myśl, że nie powinna tak bardzo cieszyć się z towarzystwa innego mężczyzny, ale gdy Pete Schaeffer poprosił ją do tańca i oddał potem w ręce Josepha, poczuła się jak w domu. Wydawał się jej kimś bliskim i oddanym. Zatańczyli jeszcze kilka szybkich tańców i usiedli zdyszani, by odpocząć. Winnie bezskutecznie wachlowała się dłonią. Jej partner rozwiązał krawat i włożył go do kieszeni. Z poczuciem ulgi podwinął rękawy aż do łokci.

— Te tańce wyciskają ze mnie ostatnie poty! — uśmiechnął się.

— Racja!

— Nie jest brzydko na zewnątrz... Czy miałabyś ochotę wyjść na chwilę — przewietrzyć się?

— Tak — i nabawimy się zapalenia płuc!

— Tylko na minutkę. I jeśli zmarzniesz, zaraz wrócimy. O, wezmę dla ciebie moją marynarkę. — Zdjął ją

z krzesła i przeszli wraz z Winnie przez wielkie frontowe drzwi. Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad tym, że będzie z nim sam na sam.

Zbliżała się północ. Księżyc w pełni oświetlał twarze, a cisza wieczoru muskała ich delikatnie... Była jeszcze zbyt wczesna pora roku, by przeszkadzały im koncerty żab i nawoływania innych nocnych stworzeń, które zwykle napęłniają życiem letnie noce.

Stojąc na najwyższym z trzech białych schodów oddychali głęboko. Joseph przewiesił frak przez lewą rękę, przytrzymując go dwoma palcami. Uniósł głowę i spojrzął na usiane gwiazdami niebo.

Winnifred przeciągnęła dłonią po karku, poprawiając nieposłuszne loki, które znów wysunęły się ze starannie ułożonej fryzury. Poczula pod dłonią kropelki potu. Wieczorne powietrze wspaniale chłodziło rozgrzane ciała. Joseph opuścił głowę i przyglądał się zarysowi jej uniesionej twarzy. Ona także spojrzała w dół i przymknęła oczy. Boże, była piękna! Zastanawiał się, czy kiedykolwiek miała jakieś wątpliwości dotyczące planowanego małżeństwa. Czy Hildebrandt nie zdawał sobie sprawy, że naraża ją na niebezpieczeństwo, pozostawiając samą w noc taką, jak ta? I z mężczyzną takim, jak on. — Chodź! — wysunął rękę spomiędzy miękkich fałd jej rękawa i zaplótł palce na jej dłoni. —

Przejdźmy się.

Delikatnie trzymał ją za rękę, tak że Winnie bez trudu mogłaby ją wysunąć. Ale nie chciała. Zeszli ze schodów i deptając wyschniętą trawę zniknęli za rogiem budynku. Dłoń Winnie nadal niewinnie spoczywała zamknięta w pięści Duggana.

Trawiasta ścieżka prowadziła do małego strumyka, za którym rysowała się linia lasu. Pierwotnie na terenach Klubu Wiktorianańskiego miało powstać osiedle, dlatego pomierzone grunty zaznaczono dla potrzeb przyszłych użytkowników. Tu i tam wysokie dęby dźwigały nagie konary ku gwiazdom, a szpaler wiecznie zielonych krzewów tworzył ciemną barierę kontrastującą z rozjaśnionym

niebem. Zeszli do podnóży pagórka. Winnie czuła, jak obcasy jej bucików zatapiały się w trawie, pozbawiając ją równowagi. Gdy tylko zachwiała się, czuła, jak palce Josepha mocniej zaciskają się na jej dłoni.

Tuż przed nimi z mroku wyłoniły się rzeźbione fundamenty parkowej pagody. Jej sześciokątna podstawa i dach zdawały się zapraszać do środka. Winnie znów poczuła dobrze sobie znane uczucie zagubienia się w czasie. *Deja vu* spowodowało, że pagoda, jak wiele podobnych jej budowli, przywoływała wyobrażenie minionej epoki. W wąskiej sukience i klasycznej fryzurze czuła się, jakby należała do wymarłego już pokolenia.

Pod wpływem tego wrażenia jej ciałem wstrząsnął nagły dreszcz.

— Zimno?

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Cienie nocy nie pozwoliły jednak dostrzec, czemu przygląda się mężczyzna. „Cóż takiego podniecającego jest w tym człowieku stojącym z marynarką przewieszoną przez ramię?“, zastanawiała się. Może jego spokój lub ta poza oznajmiająca wszem i wobec, że czuje się przy niej swobodnie? Właśnie w tej chwili wziął marynarkę i otulił nią Winnie. Jego ramiona nie cofnęły się jednak, starając się ogrzać kobietę jeszcze bardziej. Otoczyła ją cytrynowocedrowa woń emanująca z fraka. Zaczynała smakować zakazanego owocu, wiedząc, że stoi na krawędzi czegoś, co dla obojga mogło okazać się zgubne. Nie tańczyli teraz. Jego ramię nie miało więc prawa ją obejmować.

Ale trawiące ich dusze pożądanie okazało się zbyt silne, by mu się przeciwstawić.

Szli coraz wolniej rozkołysanym krokiem sielankowych kochanków. Słuchali chrzęstu trawy pod stopami i łomotu swych własnych serc.

„Do diabła, Duggan, tylko jej nie pocałuj! Jeśli to uczynisz, wpadniesz w piekielne kłopoty!”

„Powiedział ci przecież, że pragnie cię znów pocało-

wać. Pozwolisz mu? Nie wolno ci, Winnifred Gardner. Nie wolno!"

Szerokie schody drewnianej pagody odbijały echem ich drobne, powolne kroki, gdy wstępowali w jej progi. Ponad nimi sześciokątne sklepienie rzucało tysiące tajemniczych cieni. Spojrzała w górę, zadrżała i wtuliła się głębiej w marynarkę. Otaczała ich metrowej wysokości balustrada, na której stały podtrzymujące dach rzeźbione kolumny. Drewniana ławka okrążająca całą pagodę przy kolumnach ustępowała miejsca wysokim kratkom, po których pięły się winorośle. Dziewczyna chciała usiąść, ale powstrzymała ją ciepła dłoń Duggana, która spoczęła na jej szyi.

— Lepiej nie. Tu nie jest zbyt czysto... Pobrudzisz sobie sukienkę.

Czując jego dotyk wstrzymała oddech. Drgnęła mając nadzieję, że potrafi otrząsnąć się z uczucia rozkoszy, jaki sprawiał jej kontakt z Josephem. Ten jednak pogładził palcami jej skórę i miękki jedwab włosów. Szyja Winnie była chłodna, gdyż powiew nocy schładzał pojedyncze krople potu powstałe na parkiecie.

— Joseph, nie... — wyszeptała przerażona, jak bardzo pragnęła, by zignorował to żądanie.

— Czy uważasz, że mężczyzna znieważa kobietę, całując ją, jeśli jest już zaręczona z innym?

— Och... — westchnęła i odchyliła głowę do tyłu, chcąc zrzucić jego rękę. Zamiast tego poczuła jego dłoń we włosach. Przymknęła powieki i zaczęła poruszać głową, poddając się pieścizocie. Jego palce przesuwają się łagodnie w górę i w dół, by w końcu wsunąć się za kołnierz. Wzdrygnęła się. Poczowała przyjemne mrowienie na plecach.

— Joseph, nie powinniśmy byli wychodzić.

— Wiem — zgodził się pospiesznie.

— Wróćmy więc jak najszybciej, zanim nie jest za późno.

— Proszę bardzo... ale ty pierwsza. Pójdę zaraz za tobą. W jej głosie zabrzmiało napięcie, gdy przypomniała  
sobie, gdzie jest.



— Nie grasz fair, Josephie.

— Ja w ogóle nie gram... Jestem poważny jak nigdy w moim życiu. Zwłaszcza teraz, gdy wiem, że coś niezwykłego przydarzyło mi się ostatniego wieczoru, kiedy zobaczyłem cię w przedsionku kościoła.

Odwróciła się i położyła dłoń na jego ustach.

— Nie... — wyrzuciła z siebie drżącym głosem dysząc ciężko. — Proszę, nie!

Cofnął głowę, by uwolnić usta, złapał jej dłoń, przyciskając ją do swego kołującego serca.

— Dlaczego więc tutaj ze mną przyszłaś?

— Byłam zbyt rozpalona...

— Byliśmy więc oboje!

— Nie próbuj tego zrozumieć, że...

— Przyszłaś tutaj z tego samego powodu, co ja. Czujesz to samo. Ale nie rozumiem, dlaczego nagle zaczynasz się bać.

Jego serce próbowało chyba wyrwać się z piersi.

— Masz rację. Popełniłam błąd. Wróćm...!

— Nie, nie teraz. — Złapał za poły okrywającej ją marynarki, szarpnął i uniósł tak, że musiała stanąć na palcach. Ale jego głos zatracił się wśród dźwięków nocy i zmienił się w miękką pieśczętę w chwili, gdy uwolnił Winnie i wziął ją w ramiona.

— Nie teraz, Winnie...! Powiedziałem ci w samochodzie, że zamierzam zrobić to jeszcze. I zrobię. I jeśli naprawdę wiesz, co jest dla nas obojga dobre, radzę ci nie rozpinać tej marynarki!

Założyła za siebie poły fraka i nakrywając piersi ramionami postanowiła nie cofnąć ich za nic w świecie. Nawet, jeśli ręce Josepha Duggana nadal będą pieścić jej plecy i przytulać wciąż mocniej i mocniej.

— Joseph, ja jestem zaręcz...!

Jego gorące usta stłumiły ostatni wyraz i spowodowały, że myśl prysła jak bańka mydlana. Pocałunek był powolny, miły i odkrywczy. Zdawał się mówić: Zobaczmy,

co naprawdę myślimy. Jo-Jo przekrzywił głowę i poruszając nią miarowo zapraszająco lizał jej zamknięte usta, aż nie mogąc przewyciężyć pożądaną rozchyliła je ochoczo. Jego język natychmiast wśliznął się do środka, a kobieta jakby w odpowiedzi przylgnęła do ciała mężczyzny. Jego lewe ramię przyciągnęło ją jeszcze mocniej, prawe pieśczośliwie przesunęło się w górę, aż dłoń dotarła do karku i zaczęła zachęcać Winnie, aby poruszała głową tak, jak on tego pragnął. Gdy dziewczyna oparła się temu, Joseph sam obracał nią tak, że jej usta rozwarły się prowokacyjnie.

Język penetrował wnętrze jej ust, zataczając coraz szersze kręgi, to znów prześlizgiwał się po ustach, by na powrót wsunąć się do środka. Zapomnieli o całym świecie, pozwalając mu iść swoją drogą. Pieścił ją, ucząc się na pamięć każdego skrawka jej ciała. Ona również go poznawała. Wilgotny aksamit jego języka, ostre krawędzie zębów, sprężystą miękkość wnętrza jego ust i twardą powierzchnię podniebienia.

Stali się mistrzami poszukiwań, opanowani przez żądę doświadczania wszystkiego, co mogły im dać ich usta.

Podczas pocałunku do nosa Josepha dotarła kwiatowo-wosłodka woń. Smakował Winnie zaskoczony, jakby jadł cynamon. Przez chwilę zastanawiał się, czy niedawno nie żuła korzennej gumy. Trzymając ją w swych ramionach starał się, by jego pocałunki były jak najśłodsze. Przełykał z upojeniem kolejne oznaki wzrastającej namiętności, która sprawiała, że chciał mrużyć jak kot. Gładka, chłodna powierzchnia jego własnej gabardynowej marynarki na plecach kobiety wywołała w nim chęć zerwania z niej odzieży i dotarcia do jej gorącej skóry. Ale ona na jego własną prośbę trzymała zaciśnięte poły marynarki. „Dzięki Bogu!”

Całował tak samo, jak flirtował: przekonywująco, umiejętnie i rozkosznie. W jego stylu było poruszanie głową i drażnienie języka. Mistrz pieśczoł. Utalentowany

mistrz. Mogła to już łatwo zauważyć, chociaż zajął się dopiero jej językiem i głaskał jedynie ramiona. Była pewna, że nie jest nowicjuszem. Być może właśnie to powodowało, że był tak doskonały. Męska dłoń wędrowała po jej szyi, zbliżając się do miękkiego wgłębienia na środku. Potem gdzieś w okolicach ucha i dekoltu. Następnie przesunęła się w kierunku krtani, powodując uczucie, jakby ktoś zaciskał jej na szyi żyłkę.

Sięgnęła w górę, by odciągnąć jego rękę, gdyż brakło jej tchu. Ale w połowie ruchu zmieniła zdanie i zrobiła coś, czego w innych warunkach w tym momencie na pewno nie uczyniłaby: zarzuciła mu rękę na szyję tak, że zawieszona na jej plecach marynarka spadła na zakurzoną podłogę.

Mężczyzna, zdziwiony, na chwilę podniósł głowę. Zobaczyła jego zamglone oczy i poczuła gorący oddech na twarzy.

— A niech licha tego twojego faceta... — wymamrotał. — Czy on nie wiedział, co robi, gdy porzucał cię w taką noc, jak ta? I to jeszcze wtedy, gdy ja jestem w pobliżu!

Na wspomnienie narzeczonego oprzytomniała nieco, ale nim zdążyła się wycofać, Joseph znów objął ją pochylając głowę i zasypując ją serią krótkich pocałunków. Na koniec czubkiem języka dotknął wgłębienia poniżej jej ust. Jego dłonie wciąż przemierzały plecy Winnie wewnątrz szczeliny w sukience, wzdłuż łopatek i ponownie w dół, do pasa.

Zadrżała i spróbowała znów wyrwać się, ale jego usta podążyły za nią, a język badał tajemniczą dolinkę tuż za górną wargą, drażniąc czułe miejsca i penetrując zakamarki. Tym razem wzdrygnęła się jeszcze mocniej i podniosła się na palcach pragnąc, by wzmocnił uścisk wokół jej talii. Ale on trzymał ją delikatnie, jakby nie ufał sam sobie, że uda mu się zachować wąską przestrzeń między ich biodrami. Poczowała, jak jego dłoń ślizga się po jej plecach,

potem obie wędrują do karku i rozpinają guzik sukienki. Jej dekolt opadł. Ogarnięty nową falą podniecenia mężczyzna wsunął dłonie do jej rękawów zmuszając ją, by zwolniła uścisk wokół szyi, tak aby sukienka mogła swobodnie zsunąć się z jej ramion. Cały czas namiętnie całował jej usta. Gdy ocknąwszy się na chwilę starała się wyrwać, rozkazał jej pozostać przytrzymując głowę i zrzucając z niej sukienkę.

Czuła ciepło jego dłoni, które przesuwwały się wzdłuż szyi i ramion uwalniając ją z więzów kobiecej bielizny, by wreszcie spocząć na jej nagim ciele.

Siłą woli zmusiła się, by odepchnąć mężczyznę i uwolniła usta.

— Joseph, przestań! To szaleństwo.

— Wiem...

Pocałował ją w policzek, po czym zaczął ssać koniuszek jej ucha, by wreszcie szepnąć wprost do niego:

— Bosko pachniesz, Winn. Wybacz, że nie mogę przestać rozkoszować się twym smakiem.

Wilgotny czubek jego języka dotknął skóry tuż za uchem. Dreszcz emocji przeszył jej ciało. Oparła głowę na piersi, by gorące usta i język mężczyzny mogły pieścić jej szyję.

Palce Josepha zręcznie mijając bieliznę muskały jej nagie ramiona. Natrafiły w końcu na zamek błyskawiczny w sukience.

— Joseph, proszę, przestań...! — błagała.

— Za chwilę... ciii.

Głowa kobiety opadła bezsilnie, jakby była zbyt ciężka, by utrzymać się na dawnym miejscu.

Wszystko wokół zdawało się kołysać. Coś zawirowało w okolicach jej łona powodując, że zapragnęła, by ktoś uwolnił ją od ciężaru, który nagle zgromadził się w tym miejscu. Poczowała, że krew pulsuje jej w skroniach, jakby chciała ją ostrzec, kazać odejść, odwrócić się, odmówić sobie przyjemności, której mogła doświadczyć z rąk Duggana.

On jednak przytrzymał jej łokcie, nie pozwalając umknąć.

— Nie jesteś jeszcze jego żoną.

— Ale narzeczoną — tak. I właśnie łamię dane słowo.

— Może nie powinnaś była go dawać?

— Nie próbuj tego usprawiedliwiać w ten sposób, Josephie. To nie w porządku.

— Pragnę cię.

— Wiem, ale... — pozostawiła myśl niedokończoną i chyba bardziej wymowną, niż gdyby ją wypowiedziała. Westchnęła słabo.

— Och, Josephie... proszę, nie...

Była jednak wciąż w stanie ekstazy, nie mogła więc opanować drżenia głosu i kołysania głowy. Jak to możliwe, by jeden palec podniecił ją tak mocno?

Joseph tymczasem wsunął go pod jej „wesołą wdówkę”, gładził nim pod jej pachą i w sercowatym otworze gorsetu w samym jego środku, prawie dotykając sutek.

— Masz cudowną skórę. Mocną i twardą. Uwielbiam ją dotykać. Myślałem, że nie natrafię na niej na nic miękkiego, ale znalazłem jedno takie miejsce.

Palec ponownie przemierzał znaną mu już trasę, ale tym razem zatrzymał się na sutce, po czym odgiął bieliznę muskając intymne miejsce tylko górną powierzchnią dłoni.

— Mmm... powiedziałem to chyba zbyt wcześnie.

Była bardzo podniecona. Nie zważała na chłód wieczoru. To, co robił Joseph Duggan, nie miało prawdopodobnie pomóc w rozwiązaniu jej problemu. Przywołała na pamięć twarz Paula i cofnęła się strącając dłoń Duggana ze swych piersi. Chwyliła go za rękę.

— Ubierz mnie z powrotem w sukienkę. Nie chcę, by przez następne trzy miesiące trawiły mnie wyrzuty sumienia.

— Dlaczego miałabyś mieć wyrzuty sumienia? Zareczyny są po to, by dać młodym czas na zastanowienie się, czy dobrze wybrali. Może właśnie teraz uczysz się czegoś nowego.

— A może ty znów próbujesz się usprawiedliwiać. Jego gorąca dłoń spoczęła na biodrach Winnie.

— Niesamowicie mnie pociągasz, Winn Gardner. Co według ciebie powinien zrobić w takiej chwili mężczyzna? Nie starać się zaspokoić żądzy? Co, jeśli...

— A co, jeśli to tylko... chwilowe pożądanie? Pod wpływem nastroju tej uroczystości? Ludzie czasem zadurzają się w sobie, gdy widzą młodą parę na ślubnym kobiercu. Rodgers i Hart nazywają to zakochaniem się w miłości. A my mieliśmy większe szanse na poddanie się temu, bo szliśmy razem po ślubnym kobiercu tuż za młodą parą.

— Winn, twoje pierwsze wrażenie dotyczące mnie... — Ciii... Pozwól mi skończyć. Dziś wieczorem nie jesteśmy tacy, jak zwykle. Mamy na sobie odświeżone stroje, które przenoszą nas w przeszłość, tak jak uczyniła to podróż twoim samochodem. Chwilami mam dziś wrażenie, że żyję w swym poprzednim życiu, że przeniosła mnie tam reinkarnacja. A to wszystko — spojrzawszy w górę gestykulowała chwilę — ta pagoda, twój haynes i moja fryzura — to fragmenty przeszłości. Dlatego czuję się tak swojsko przebywając tutaj. Ale, Josephie, to nieprawda. Powinniśmy być szczególnie ostrożni w takie dni jak ten. Musimy widzieć rzeczywistość taką, jaką ona naprawdę jest. — Podciągnęła ramiączko stanika. — Wiesz, co mówi się o takich wiosennych zauroczeniach? — Odwróciła twarz spoglądając na niego kątem oka, gdy kładł dłoń na jej biodrach.

— Nie, zapomniałem. A co się mówi?

— Doskonale wiesz co. Ale jeśli chcesz, mogę ci powtórzyć. Wiosną zauroczenie młodych ludzi łatwo przywołuje myśli o miłości.

Przyglądał się, jak ubierała sukienkę opierając brodę na piersiach i unosząc ramiona. Joseph postąpił krok do przodu, odnalazł guzik z tyłu sukienki i zapiał go. W chwili, gdy to robił, jej pachnące włosy połaskotały go po nosie.

Musiał się mieć na baczności, by nie przestać postępować według jej życzeń. Ukłękł, podniósł marynarkę z podłogi i otulił nią Winnie. Zapięła ją i spojrzała na Josepha.

— Dziś wieczorem jestem twoją wiosenną miłością, Josephie Duganie. I zanim którekolwiek z nas pozwoli się ponieść emocjom zbyt daleko, przyznajmy, proszę, że to tylko wynik nastroju i nic więcej. Zastanawiał się nad jej słowami. Być może miała rację. Nigdy jeszcze nie zafascynował się kobietą tak nagle i tak mocno. Miał dwadzieścia siedem lat i kobiety nie były mu obce. Ale ta, która teraz stała przed nim, wywołała w nim seksualną gorączkę o wiele szybciej, niż jakakolwiek kobieta dotąd. Czy to wina okazji? Kapelusza? Fryzury? Sukienki? Samochodu? Nawet jego własny frak, mankiety i błyszczące buty odbiegały bardzo od jego stylu.

Tak, prawdopodobnie miała rację. A jeśli to była prawda, nie miał prawa burzyć harmonii między nią a Hildebrandtem.

Wziął głęboki oddech, wsunął ręce do kieszeni spodni i cofnął się o krok.

— No więc? — powiedział wzdychając. Zapanowała cisza.

— No więc? — powtórzyła jak echo. Wokół nich krążyły fluidy miłości.

— No więc myślę, że nie będziesz już chciała ze mną tańczyć, prawda?

— O, nie! Zawsze chcę tańczyć. Może wrócimy? Dołączmy do gości... Myślę, że będziemy tam wystarczająco bezpieczni. Swoją drogą — zostało nam tylko jakieś pół godziny muzyki. Potem powiemy sobie grzecznie „Do widzenia” i znikniemy ze swego życia na zawsze, jakby dziś wieczorem nic się nie zdarzyło. A tymczasem porozmawiamy sobie na jakieś neutralne tematy, zgoda?

Myślał przez dłuższą chwilę, po czym skrzyżował ramiona i odpowiedział:

— Masz rację. To najrozsądniejsze. Czy powinienem

cię przeprosić za to, co zrobiłem? Nie bardzo mam ochotę...

— Nie Josephie, nie powinieneś przeproszać. — Uśmiechnęła się miękko, choć z cieniem smutku. — Ty również jesteś moją wiosenną miłością. — Odwróciła się. Gdy zbliżała się do schodów, jej wysokie obcasy stukały głośno.

Joseph czuł się nieswojo. Pragnął nie być tak wrażliwy. Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia pierwsza. Miał jedynie dwadzieścia minut, by wymyślić rozsądny powód, żeby zgodziła się zostać z nim choć chwilę dłużej, gdy zamilknie muzyka.



## ***Rozdział V***

Powrócili na parkiet świadomi upływającego czasu. Oboje pragnęli mieć go dla siebie więcej. Gdy zakończyła się pierwsza piosenka, Joseph odwrócił się na chwilę, a Winnie dostrzegła na plecach jego smokingu smugę kurzu.

— Joseph, jesteś brudny!

Natychmiast odwrócił się i patrząc jej w twarz zapytał:

— Jestem co?

— Odwróć się. Pobrudziłeś marynarkę kurzem z pagody.

Na to wezwanie mężczyzna pokazał jej swoje szerokie plecy, a ona strzepała z nich dowód ich nocnych igraszek, zastanawiając się, jak by wyglądały jego nagie ramiona pozbawione marynarki. Wiedziała, jak silne miał mięśnie, jak postawną sylwetkę. Zwłaszcza w dolnej części. Objęła wzrokiem jego ramiona i uśmiechnęła się.

— Przyzwyczaiłbym się do tego, gdybyś tylko na to pozwoliła.

Przestała strzepywać kurz, a jej dłoń zawisła w pół ruchu, gdy odwrócił się, by ponownie spojrzeć jej w twarz. Zerknęła na niego, jakby zastanawiając się, czyja ręka gładziła plecy mężczyzny.

Natychmiast przycisnęła ją do żołądka.

— Miały być bezpieczne tematy, pamiętasz? — przypomniała mu w chwili, gdy rozbrzmiała muzyka.

— Proszę bardzo, wybierz któryś z nich — zaproponował stając w pozycji do walca sześć cali od niej.

Podchwyciła pierwszą myśl, która przemknęła jej przez głowę.

— Dokąd zabraliście pannę młodą?

— Do „Daytony”.

— Masz na myśli klub, oczywiście?

— Tak.

— Czemu wybraliście to miejsce?

— Bo jestem członkiem tego klubu. Poza tym to tylko dwadzieścia minut jazdy stąd, a musieliśmy się zmieścić w godzinie. Weszliśmy tam więc tylko na drinka.

— Jesteś członkiem „Daytony”? — spytała zdziwiona. — Tak.

— A w co grasz?

— W tenisa, golfa, racket-ball... Prawie we wszystko. Lubię być w formie.

Winnie zrobiła wielkie oczy. — A wiesz, że ja też?

— Łatwo zauważyć. Masz piękne, wysportowane ciało.

— Ty również. A co lubisz najbardziej?

— A, to zależy od pory roku. W lecie lubię grać w tenisa. Wymaga więcej ruchu niż golf. Gram też z braćmi w baseball. W zimie trochę biegam i gram z nimi w racket-ball.

— Ja też, ale nie z moimi braćmi, oczywiście. Nie mam rodzeństwa. Ale gramy czasem z Sandy w racket-ball... Albo raczej grałyśmy. Bo obawiam się, że po jej ślubie może się to zmienić... Pewnie będzie grać z Mickiem.

— A stary Hildegard? On z tobą nie gra?

Rzucił jej pełne pożądania spojrzenie. Czyżby tym pytaniem coś insynuował? Jeśli tak, postanowiła to zignorować.

— Od czasu do czasu. Ale jego nie interesują rozrywki fizyczne. Lubi być czysty, schludny i pachnący. A już na pewno nie spocony. On jest mózgowcem, a ja kocham ruch.

Joseph Duggan zbadał wzrokiem jej twarz. Zatrzymał

się nieco dłużej na ustach, delikatnie przytulił ją do siebie i szepnął wprost do ucha:

W takim razie powiedz mi, jakie jeszcze upodobania różnią ciebie i tego komputerowego faceta poza fizyczną aktywnością i cudami silikonowej klawiatury.

Już niewiele. Jedynie pogląd na sposób ubierania się.

— Co? — cofnął się i zatrzymał wzrok w okolicach jej piersi. Znow spozrzał w górę. — A cóż jemu może się nie podobać w twoim ubiorze?

- Bo widzisz — bardzo rzadko ubieram się w te typowo kobiece ciuszki. O to mu głównie chodzi.

Jestem aktywna. Lubię ubrania sportowe, dzinsy, tenisówki i opaski na włosach. A on twierdzi, że szata zdobi mężczyznę... a raczej człowieka w ogóle. Czasem, gdy wychodzimy gdzieś razem, wiem doskonale, że jest rozczarowany, gdy pokazuję się w dzinsach i kowbojskich butach. Staram się przyzwyczajać do elegantszych kobiecych strojów.

— A po co to robisz?

Pytanie zaskoczyło ją. Pierwszy raz spojrziała na problem od innej strony. Zawsze czuła, że jest jej brakiem jako kobiety, że preferuje męskie stroje. Matka nigdy nie przestała jej wyśmiewać, że ubiera się jak chłopak.

— Ale przecież nawet ty powiedziałaś, że podoba ci się mój dzisiejszy strój.

— Owszem, podoba mi się. Ale założę się, że jesteś diabelnie seksowna w dresie i sportowych butach, z nagimi kostkami i rozwianymi włosami. — Spozrzał przelotnie na jej fryzurę.

— Gdy mówisz takie rzeczy, mam ochotę wskoczyć w swój dres i zrobić sobie rundkę sprintem po jezdni. I to jestem właśnie prawdziwa ja. Nie ta w eleganckiej fryzurze i „wesołej wdówce”.

— W takim razie zróbmy to.

— Co?

Odsunął rękaw i spojrział na zegarek.

— Jest dopiero za pięć pierwsza. Wcześniej. Myślę, że

znajdzie się w mieście jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli pobiegać. Trasa, przy której palą się latarnie... Wykorzystajmy je. Co ty na to?

— Mówisz poważnie?

— Zupełnie. Od dłuższego czasu wysilam swój mózg próbując wymyślić jakąś genialną propozycję zrobienia czegoś razem, którą byś przyjęła. Wprawdzie jest już noc, ale ty mi się jeszcze nie znudziłaś... Chcę być z tobą dłużej. Czy potrafisz wymyślić jakąś bezpieczniejszą wspólną rozrywkę niż bieganie?

Nie potrafiła. Uśmiech zagościł na jej twarzy. Rozjaśniły się jej oczy, a on pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszej kobiety. Z jej prawej skroni spływał rozwichrzony pukiel włosów. Szminka na ustach starła się już dawno, ale mimo to posiadała ukrytą urodę przewyższającą powierzchowność. Zastanawiał się, jak wygląda po wyjściu spod prysznic, gdy z twarzy znikają wszystkie sztuczności.

— Będziesz musiał chwilę poczekać. Skoczę do domu zabrać sportowy strój.

— A potem zatrzymamy się u mnie i ja też wezmę swoje.

Noc nagle błysnęła przygodą. Nie będzie musiała powiedzieć mu jeszcze „Do widzenia”.

— Chodźmy więc! — powiedziała z miną rozbawionego dziecka.

— Pani pierwsza! — Złapał ją za rękę i skierował w stronę stołu, by zabrać jej kapelusz, kwiaty i kosmetyczkę. Dwie minuty później wyjeżdżali z parkingu sportowym wozem '23 haynes. Oparła lewą kostkę na prawym kolanie, zdjęła buta i pomasaowała stopę.

— Wybacz mi, ale nie masz pojęcia, jak niewygodne są takie wieczorowe pantofle. Zwłaszcza, gdy kupione są tylko na ślub i nie miało się wcześniej okazji ich rozchodzić. Nie można przecież, bo każda najmniejsza plamka zostaje na nich na zawsze.

— To znaczy, że przez cały czas bolały cię stopy i mimo to tańczyłaś bez odpoczynku?

— Bo ja naprawdę lubię tańczyć. — Posłała mu przelotny uśmiech. — A poza tym w staroświeckich butach jest zabawniej.

— W takim razie natychmiast je zdejmuj. Skończmy już z tymi formalnościami.

Wyzwolila się z drugiego buta i z ulgą ruszała palcami stóp. Wyciągnęła nogi daleko, jak tylko pozwoliło jej miejsce w starym samochodzie.

— Och, wspaniale..!

— Daj mi stopę! — rozkazał. Jedną ręką trzymał kierownicę, oczami wciąż śledził pustą o tej porze, ciemną ulicę. — Teraz mi powiedz, jak dojechać do twojego domu.

— Jedź Brooklyn Boulevard do Shingle Creek Parkway i skreć w prawo. Mieszkam w domu na rogu. Przednie siedzenie w samochodzie było bardzo wąskie. Oparła się o drzwi, usiadła na piętach i wsunęła sukienkę pomiędzy podgięte kolana. Joseph ujął jej lewą stopę i zaczął masować. Tarł dłonią nylonowe pończochy, co powodowało u Winnie przyjemny dreszcz, który rozchodził się po całych udach.

— Nie opieraj się o drzwi. Te stare samochody nie są zbyt bezpieczne.

Skuliła się, położyła głowę na kolanach i skupiła uwagę na przyjemnym uczuciu wywoływanym przez kciuk Dug-gana uciskający regularnie łuk jej stopy.

— Mmm... Jesteś w tym doskonały. Możesz mi wierzyć — jestem fizykoterapeutką. — Jej przytłumiony głos dobiegał gdzieś spomiędzy jej kolan.

— Rzeczywiście... Zapomniałem o tym! Może więc po biegu zafundujesz mi coś w rodzaju szkolenia? Podniosła głowę i oparła brodę na skrzyżowanych ramionach, które wciąż jeszcze spoczywały na kolanach.

— Powiedziałam, że jestem terapeutką, nie trenerem.

Roześmiał się i przycisnął jej stopę do swego uda, po czym nakrył ją gorącą dłonią.

W pięć minut dojechali do domu Winnie. Przez chwilę dziewczyna szukała na podłodze samochodu wszystkiego, co mogła dziś tam zgubić. Nie było niestety światła wewnątrz starego weterana szos. Ale i tak zebrała spory stosik swoich drobiazgów.

— Czy mogę ci pomóc? — zaproponował.

— Tak. Weź, proszę, plastikową torbę, w której jest tamta sukienka. — Podniosła ją z podłogi i podając mu dotknęła palcami jego dłoni. Przez krótką chwilę stali nieruchomo. Wtedy ona zabrała swój bagaż i pośpiesznie otworzyła drzwi.

— Wejdz do środka zobaczyć, jak mieszkam.

Na podwórku stał znak informujący, że dom jest na sprzedaż. Zobaczył go w chwili, gdy Winnie siłowała się z zamkiem.

— Rozumiem, że to twój dom jest na sprzedaż?

— Oczywiście. A co według ciebie robilibyśmy z Paulem z dwoma domami, kiedy on stara się zarobić pieniądze na umeblowanie jednego?

— Nie ma jeszcze chętnych?

— Nie, pośrednicy handlowi mówią, że jest zastój na rynku. Ale mam nadzieję, że teraz będzie więcej zainteresowanych, bo zbliża się wiosna.

Gdy weszli do środka, Winnie zapaliła światło i znaleźli się w zwyczajnym pokoju gościnnym urządzonego na żółto-biało. Meble też nie przedstawiały specjalnej wartości: pasiasta sofa w odcieniach brązu, dwa dyrektorskie krzesła z żółtego płótna i ogromny, drewniany stół przypominający szpulę, na którą nawija się kable. W kącie na podłodze stał dymion z winem. Obok w przerażającej czerwonoróżowej doniczce rosły suche, obwisłe rośliny przypominające białe chwasty. Zobaczyła, że obserwuje ten brzydki element i powiedziała:

— Jeden z moich małych pacjentów podarował mi to

w zeszłym roku. I nie miałam serca tego wyrzucić. Wiem, że są straszne, ale mimo to je kocham. — Odwróciła się, a Joseph obserwował rozcięcie w jej bluzce biegnące wzdłuż kręgosłupa, kiedy powoli schodziła do hallu. Zanim jeszcze weszła do czegoś, co okazało się być jej sypialnią, odniosła obie ręce i odpięła guzik na karku. Zamykane drzwi stuknęły cicho. Pośród ciszy rozległo się długie westchnięcie Josepha, kiedy przejechał dłonią po swoich włosach. Starał się nie myśleć o tym, co ta kobieta robi w swej sypialni. Krążył po pokoju gościnnym, potem po sąsiadującej z nim kuchni, wodząc wzrokiem po leżących tam produktach, przyprawach, kartonie mleka, ołówkach wystających z pudełka, na którym ktoś napisał „Zabójca”, po deseczce z literami układającymi się w napis „Kup dezodorant”. Uśmiechnął się na widok szklanych drzwi znajdujących się nieco powyżej podłogi. Otworzył je jednym pchnięciem i wyszedł na werandę. Oparłszy ręce na barierce słuchał nocnych dźwięków dobiegających z ulicy Shingle Creek.

Winnifred była kobietą, na którą czekał przez wiele lat. Przynajmniej tak mu się wydawało. Tylko on mógł mieć takie szczęście, by spotkać kobietę swego życia i dowiedzieć się, że jest zaręczona. Miał nadzieję, że Hildebrandt miał w majtkach coś więcej, niż silikonowy klawisz. Wiedział, że Winnie jest kobietą, która potrzebuje prawdziwego mężczyzny: wymagającego i troskliwego. Podobała mu się: jej ruchy, chód i taniec. Kipiała energią. Miała ciało sportsmenki. W seksie musiała wnosić powiew świeżości.

Wszedł z powrotem do środka i zamknął za sobą zasuwane drzwi.

— Jesteś już ubrana?

— Tak.

— Mogę wejść?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, po czym dobiegł go głos:

— Tak, proszę!

Zgrzytnęła klamka, drzwi uchylły się i Joseph oparł się o framugę. Przeniósł ciężar ciała na jedną nogę i wsunął ręce do kieszeni. Jego wzrok przebiegł po szarym dresie kobiety i jej bluzie z kapuzą. Potem zwrócił się w stronę łóżka, gdzie leżała „wesola wdówka” rzucona jak kawałek gipsu zdjęty z przedniej części jej ciała. Podniosła ją i wrzuciła do szuflady.

— Dlaczego nie mieszkasz z tym komputerowym facecikiem? Czy to nie byłoby tańsze?

— Kupiłam ten dom dwa lata temu, ponieważ była to najmądrzejsza rzecz, jaką mogłam zrobić w tym czasie. Inwestycja — rozumiesz? Potem, gdy zaręczyliśmy się, Paul zaczął szukać domu odpowiedniego dla nas obojga i gdy tylko znaleźliśmy go, wystawiłam ten na sprzedaż. Niestety, nikt się o niego jeszcze nie pokusił i muszę tu siedzieć, dopóki nie znajdzie się nabywca.

— To znaczy, że mieszkałybyś z nim?

Nachyliła się i zaczęła ubierać sportowe getry i parę adidasów.

— Jesteś bardzo dociekliwy, jeśli zadajesz takie pytania — powiedziała, nie podnosząc wzroku.

— Przepraszam — odpowiedział bez najmniejszej nutki poczucia winy w głosie. Jego oczy wędrowały od szczegółu do szczegółu w pokoju: nie sprzątnięte łóżko z narzuconą niedbale kapą na wpół przykrywającą poduszki, jej bielizna, jeden porzucony pantofel wieczorowy leżący na boku z wciśniętą w dywan perełka, wetknięte w staromodną ramę lustra w toalecie fotografie, zwitek bandażu po lewej stronie przy czarnej butelce z perfumami, białe, okrągłe pudełko pudru, garść monet, dwa bilety do teatru, paczka gumy do żucia „Big Red” i małe plastikowe pudełko z przegródkami ponumerowanymi jak dni w miesiącu.

Duggan nonszalancko opuścił ręce i podszedł do toaletki. Wybrał czarną flaszeczkę, otworzył ją i powąchał. Przyglądał się, jak ubiera buta i delektując się wonią



perfum podziwiał łuk jej pleców, gdy schylała się siedząc na materacu. Bez słowa odłożył Chanel Nr 5 na miejsce i myszkując wokół siebie dotykał rozmaitych rzeczy leżących na toaletce. Dostrzegł na wpół zużytą fiolkę pigułek antykoncepcyjnych i przeniósł uwagę na stół z ubraniami.

Wiedział doskonale, że Winnie obserwuje go, gdy oglądał te wszystkie przedmioty. Szczególnie pigułki. Ona też wiedziała, że on wie. Podziwiał ją, że nie skoczyła i nie zrobiła mu o to awantury.

— Czy to ty?

Podniosła wzrok, by ujrzeć jego dłonie wsparte na krawędzi stołu. Głową wskazywał zdjęcie wsunięte między lustro a jego ramię.

— Jasne — odpowiedziała, sięgając po następnego buta. Spojrzał przez ramię wciąż opierając się o stół i czarujący uśmiech wykwitł na jego twarzy.

— Było ci ładnie w tych mysich ogonkach. Tylko co stało się z tymi słodkimi piegami?

— Na szczęście z nich wyrosłam.

— Mmm, szkoda — mruknął, zwracając uwagę na pozostałe osoby z fotografii.

— Grałaś w szkole w tenisa?

— Uhm...

— Ja grałem w koszykówkę. I biegałem. Zawiązała buty i rzuciła mu krytyczne spojrzenie.

— Nie masz wzrostu koszykarza. — Wstała, obciągnęła bluzę i sięgnęła za niego, by wziąć szczotkę z toaletki. Nie poruszył się, odchylił tylko nieco głowę, by przyjrzeć się jej ramionom i piersiom, które właśnie przyłgnęły do jego ręki.

— Byłem jednym z tych szybkich facetów. Czego brakowało mi we wrocławiu, nadrabiałem w prędkości.

— Założę się, że tak właśnie było! — uśmiechnęła się. Duggan wyprostował plecy i wysunął małe buduarowe

krzesło spod toaletki. Uniósł nogę i usiadł przodem do niej, jakby dosiadał mustanga.

— Wyczuwam nutkę przekąsu w twoich słowach! — wychylił się, opierając oba łokcie na blacie za sobą. Dwa górne guziki jego koszuli były rozpięte i odsłaniały skrawek brązowo owłosionego torsu. Spod rozchylonej marynarki wysunęły się śnieżnobiałe mankiety i żabot wystający spod kamizelki. Siedział w typowo męskiej i niewątpliwie seksownej pozycji. Winn pomyślała o nim po prostu: żywiół. Siedząc tak z oparciem krzesła między nogami wyglądał bardziej męsko i pociągająco niż kiedykolwiek. Czarny materiał spodni opinał mocno jego pachwinę.

Podniosła oczy, by spotkać wzrok, który podążał w miejsce, gdzie spoglądała przed chwilą.

Wymyśliła komentarz, by usadzić go na miejscu, gdyż ona sama poczuła się zbита z tropu tym, co przed chwilą zobaczyła.

— Niski i szybki — te dwa przymiotniki doskonale cię opisują.

— Jestem wystarczająco wysoki, by położyć cię tam, gdzie należy, a mogę być na tyle powolny, by zaczekać, aż zechcesz zmienić partnera.

— Rozmawiamy o koszykówce, prawda, panie Duggan?

— Taaak?

Winnie właśnie wypinała z włosów ostatnie wsuwki, gdy Jo-jo odpowiedział na pytanie. Jej ręka zawisała w pół drogi, a oko mrugnęło w znany już Dugganowi sposób, który tak go fascynował. Lewe oko. Powoli. Był pewien, że nie jest świadoma tego niecodziennego tik, albo że pojawia się on w chwilach szczególnego napięcia.

Nagle zdała sobie sprawę, że bez ruchu wpatruje się w niego i znów poczęła szukać we włosach wsuwki. Po chwili cofnęła rękę. Mężczyzna obserwował każdy jej ruch, po czym wyciągnął przed siebie dłoń, na której położyła spinki. Zrobiła parę kroków w tył, odsuwając się na bezpieczną odległość i nie speszona badawczym wzrokiem Duggana zaczęła starannie szczotkować włosy.

— Masz najwspanialszy nerwowy tik i założę się, że nie wiesz o nim! — Szczotka nadal gładziła włosy Winnie,

która nie odezwała się ani słowem. — Czy wiesz, że czasem mrugasz tylko lewym okiem, i to niesamowicie powoli?

— Naprawdę? — szczotka zatrzymała się.

— Tak. I przez to mam ochotę na rzeczy, o których nie mam prawa nawet myśleć.

Nagle jakby ze złością pochylił się do przodu, przerzucił nogę nad oparciem krzesła, schylił się aż do swoich stóp i pokazał jej plecy. Panującą przez dłuższą chwilę ciszę przerwało jego nagłe spojrzenie przez ramię i pospieszne polecenie:

— Czesz się, na miłość Boską, i wyjdźmy stąd wreszcie! Nie mogła powstrzymać uśmiechu patrząc na jego

gładkie, czarne ramiona. Zastanawiała się, czy rzeczywistą przyczyną jego manewru było to, o czym myślała w tej chwili. Gdyby tego nie zrobił, za moment na pewno wszystko wyszłoby na jaw.

— Jestem gotowa. Potrzebuję jeszcze tylko opaski na włosy. Przepraszam cię na moment.

Obejrzał się i zszedł jej z drogi, gdy zorientował się, że stoi blisko za nim, by dostać się do szuflady w toalecie. Wyciągnęła szyję, by przejrzeć się w lustrze, układając włosy pod czerwoną, złożoną opaską.

— Ale wyglądam...! Ale to nieważne. Idę przecież tylko pobiegać.

„Może nie tylko?“, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie, akceptując swój niezbyt chwalebny wygląd.

Jemu jednak bardziej podobała się w luźnym dresie, niż w różowej sukni po kostki. Wyglądała bardziej przystępnie, naturalnie i jakże kobieco.

U niego w domu musieli się niemal skradać.

— Ćśśś! — szepnął. — Moi bracia śpią.

Zapalili przyciemnione światki tuż przy dawnym tylnym wyjściu. Przed nimi widniały schody do piwnicy, a po lewej stronie, jeden stopień wyżej, znajdowała się kuchnia. Dom był tak stary jak samochód. Zbudowany prawdopodobnie w latach czterdziestych. Klasyczny, jak za

pinane na cztery klamry śniegowce. Joseph powiedział, że ten dom należał do jego dziadków. I rzeczywiście: tu i ówdzie można było dostrzec ślady działalności jego babki: bluszcz w garnku z ciężkiego brązu wiszący nad kuchennym zlewem, stary, czarny, żeliwny piekarnik z pokrywą stojący na strasznie brudnym piecu, kuchenny zegar w kształcie czerwonego, plastikowego czajnika do herbaty. Podłogę pokrywał nie winyl ale linoleum — niewielkie czerwone i szare kwadraty pamiętające jeszcze lata pięćdziesiąte. Tuż przy piecu linoleum było tak zużyte, że wyglądała spod niego czarna podłoga. — Wielkie nieba! Linoleum!

Opuścił ją na chwilę, by wejść na górę. Wrodzona ciekawość zmusiła ją do wetknięcia głowy do ciemnego pokoju gościnnego. Usłyszała nad głową skrzypnięcia podłogi. Joseph pewnie szukał swojego sportowego ubrania. Jakiś basowy głos wyszeptał parę słów, a Joseph odpowiedział — prawdopodobnie zbudził się jeden z jego braci. Winnie usłyszała dźwięk wydawany zapewne przez wysuwaną starą szufladę w garderobie, skrzypiącą, jakby buntowała się przeciw właścicielowi. Nastąpiły dwa uderzenia, jakby sportowe buty Duggana spadły na podłogę. Zaświeciła lampkę w pokoju gościnnym i rozejrzała się ciekawie. Pełno tu było pozostałości po babce Duggana. Zbyt mocno wypchana sofa z krzesłem do kompletu, taboret z miską pełną łupin orzechów ziemnych, czasopismo „NFL” sprzed sześciu miesięcy i stos innych, wcale nie nowszych gazet, wzorzysta serwetka domagająca się uprania i wykrochmalenia, a jeszcze lepiej — wyrzucenia, czerwono-czarna wełniana koszula i marnie wyglądająca para roboczych butów ze skórzanymi paskami i zabawnie podkreconymi noskami. Wiekowa koronkowa zasłona koronka?! — i tynkowane ściany, na których dostrzegła pierwszy ślad obecności Josepha: ogromne kolorowe zdjęcia starych samochodów oprawione w nierdzewną stal i przykryte szkłem. W pokoju było ich pięć — jeden model

bardziej klasyczny od drugiego. Właśnie przyglądała się największemu z nich, gdy usłyszała tuż nad swym ramieniem głos Duggana.

— To jest moje marzenie: posiadać kiedyś jedno z tych cacek!

Pochyliła się naprzód i przyjrzała się zabawnemu, okrągłemu, angielskiemu podpisowi w rogu obrazka. „1932 Duesenberg Kodol SJ.” Odwróciła głowę, by przyjrzeć się jego profilowi, gdy z pasją studiował obrazek. Nagle zabłysnęła jej w głowie szalona myśl.

— Czy zabierzesz mnie na przejażdżkę, gdy będziesz miał jeden z nich?

Szeroka dłoń pogładziła jej plecy i lekko zacisnęła się na karku.

— Kochanie, czy wiesz, że proponujesz mi randkę? Znajdę cię na końcu świata!

Nagle posmutniała myśląc, że jeśli nawet przyjdzie kiedyś taki dzień, nie będzie mogła się z nim wybrać. Pamiętała, jak całował ją w samochodzie hynes tego wieczoru, jak nurkował pod rondo jej kapelusza i jak musiał się spod niego wycofywać. Pomyślała o wydarzeniach, jakie rozegrały się w pagodzie. I nagle zapragnęła, by wziął ją w ramiona i pocałował. Taką bez kapelusza, fryzury, na którą trzeba uważać, ubraną tylko w miękki dres oddzielający ich spragnione rozkoszy ciała. Ale on tylko wzmocnił uścisk na jej karku i wciąż opowiadał o samochodach.

— Mówi się, że powstało ich mniej, niż czterdzieści, ale były za to najbardziej prestiżowymi samochodami produkowanymi na świecie. W tamtych czasach posiadały reputację degradującą nawet rolls-royce'a. Miały trzysta koni mechanicznych i zachowywały się jak żadna maszyna wcześniej... ani później. SJ mógł pędzić z prędkością stu mil na godzinę na drugim biegu! Osiągał ją w siedemnaście sekund. A powiedzcie ci coś smutnego?

Nie chciała. Ale kontynuował, wciąż wpatrując się w obrazek.

— Człowiek, którego imieniem maszyna została nazwana, zginął w wypadku w 1932 roku jadąc właśnie jednym z takich aut.

Podniosła twarz i odwróciła się lekko, by móc spojrzeć mu w oczy.

— W pewnym sensie nie jest to tak smutne, jak mogłoby być. Zginął robiąc to, co pewnie najbardziej w świecie kochał...

Ich oczy spotkały się.

— Masz rację, Winn. Nigdy nie patrzyłem na to z tej strony. Zostawił po sobie wiele przyszłym pokoleniom, a jego brat zajął się doskonaleniem modelu indy 500, doprowadzając go aż do dzisiejszego wyglądu.

— To znaczy, że Duessengerg jest amerykańskim samochodem?

— Z całą pewnością.

— Nazwa brzmi jakby z niemiecka...

— Bracia Dussenbergowie byli imigrantami.

Joseph i Winnie postali jeszcze chwilę w przyciemnionym świetle w pokoju urządzonego w stylu wiejskiego domu, wśród łupin orzechów ziemnych i roboczych butów, dziwnie kontrastujących z duessenbergiem z 1932 roku.

— W takim razie powodzenia, Josephie Dugganie — szepnęła, wpatrując się w obiekt jego marzeń.

Jo-jo otrząsnął się z rozmarzenia i delikatnie popychając ją w stronę wyjścia powiedział:

— Chodźmy pobiegać. Mam na oku niezłe miejsce... Przebiegli około ćwierci mili, aż do Osseo Senior High

School, znajdującej się zaledwie kilka kroków od jego domu. Wsiadli do haynesa i zatrzymali się dopiero na środku opuszczonego parkingu. Bez słowa przeszli przez asfaltową ulicę, przeskoczyli łańcuchowe ogrodzenie otaczające ledwo widoczne nocą boisko do piłki nożnej i bieżnię.

Biegli obok siebie dysząc ciężko, ale kontrolując od-

dechy, których dźwięk wraz z miarowym odgłosem stąpień po bieżni były jedynym odgłosami zakłócającymi ciszę.

„Jak cudownie jest biec obok mężczyzny, który bawi się tym tak samo świetnie, jak ja!”

„Co za głupiec z tego starego Hildegarda! Jak można nie dzielić z nią sportowych zainteresowań?”

„Ciekawe, jak wyglądają napinające się i rozkurczające mięśnie Duggana pod tym granatowym dressem.”

Jo-jo wyobraził sobie wspaniałe plecy dziewczyny, jej talię i uda poruszające się rytmicznie w biegu.

„Ciekawe, jak by wyglądały nago?”

„Ciekawe, czy kiedyś zdobędzie tego swojego duessen-berga.”

„Czy ona naprawdę wyjdzie za tego Silikonowego Klawisza?”

„Czy on robił to już z tą naleśnikową hostessą?” „A kto będzie to z nią robił, jeśli wyjdzie za niewłaściwego człowieka?”

„Mogłabym tak biegać obok niego wiecznie!” Zastanawiał się, czy ją zapytać...

Gdy okrążyli boisko osiem razy i dobiegli do miejsca, skąd startowali, Joseph spytał nie zatrzymując się:

— Robimy jeszcze jedną rundkę?

— Nie. Ja już mam dość.

Zbiegli, z trasy dysząc ciężko, ale nie byli jeszcze skonani. Z prawej strony zobaczyli metalowe trybuny oświetlone światłem księżycy wznoszącego się nad południowo-zachodnim horyzontem.

Biegli truchtem, wreszcie zaczęli iść, rozluźniając mięśnie nóg. Weszli na nietkniętą najmniejszym podmuchem wiatru murawę boiska, kierując się w stronę przejścia przez ogrodzenie.

Miasto o godzinie trzeciej nad ranem wionęło pustką. Panowała zupełna cisza. Jedyne dźwięki, jakie dał się słyszeć, pochodził z silnika ciężarówki sunącej w dół autostrady daleko, po przeciwnej stronie stadionu. Poza tym wszystko było tak ciche, jakby ktoś chciał usłyszeć ich oddechy.

Zatrzymali się na czarnej drodze. Teraz ich oczy przyzwyczyły się do ciemności i mogli łatwo dostrzec białe wstęgi Unii malujące się na ciemnym de.

Zrobiła głęboki skłon obejmując dłońmi kostki i zastygła na chwilę w tej pozycji. Joseph oparł ręce na biodrach i wychylił się w tył. Przymrużywszy oczy obserwował gwiazdy. Oboje wyprostowali się w jednym momencie. Spojrzeli sobie w oczy przeszywając wzrokiem dzielącą ich przestrzeń.

Ujrzał jej podniesioną twarz skapaną w świetle gwiazd i włosy opadające na skronie — luźne kosmyki przyklejające się poniżej otaczającej jej czoło opaski. Jej piersi unosiły się i opadały rytmicznie.

Wyczuwał woń perfum Channel Nr 5 parujących z rozgrzanego ciała.

— Wybacz, Winnie, że to zrobię, ale nie mogę się powstrzymać. Ja wiem, że...

Lewym ramieniem otoczył jej twarz, prawym dotknął przeciwległego biodra. Przyciągnął jej ciało do swego — wyzwalającego wilgoć i żar. Pochłonął jej usta w pocałunku jakże innym niż te, którymi obsypał ją na przednim siedzeniu swego hynesa, czy nawet te, którymi rozkoszowali się w pagodzie. Ten był żywiołowy, silny, jakby dwie planety krążące w przestrzeni poza swoimi orbitami w końcu zderzyły się, rozsypując wokół miliony meteorytów.

Jego otwarte usta były wilgotne i gorące. Język nurkował w ustach kobiety, żądając odpowiedzi, a ona dała mu ją, zaspokajając swoje własne pragnienie tego mężczyzny, wmawiając sobie równocześnie, że nie zrobi tego już nigdy, że to w zupełności wystarczy. Omal nie zarzuciła mu rąk na szyję, gdy uświadomiła sobie swój błąd. To z pewnością nie wystarczy. Nie z tym mężczyzną!

Dresy były wilgotne i przyklejające się do doskonale zbudowanych, zdrowych ciał uwypuklały ich kształty. Trzymając ją tak i całując z szaleńczą grą języków wsunął jej rękę pod bluzę odnajdując wilgotne i zapraszające ciało. Jego ręka sunęła coraz wyżej i wyżej zbierając kropelki



potu z jędrnych pleców Winnie, aż zatrzymała się nieco poniżej łopatek. Masował je w obie strony wzdłuż opinającej gibkie mięśnie tylnej części biustonosza.

Ona również wsunęła dłoń pod jego koszulę, gdzie gorące, wilgotne, stalowe mięśnie ochoczo powitały tę pieśczętę. Równomierny, przystosowany do rytmu biegu oddech stał się teraz nieregularny, jakby torpedowany przez emocje i pożądanie, które przywiodło ich ciała do stanu nieposkromionego łaknienia.

Czuł się przewspaniale. Coraz silniejszy przy każdym dotknięciu jej dłoni. Miękką bawełną jej bielizny ulegała jego dotknięciom, stanowiąc niewielką barierę dla pożądania wstrząsającego ich ciałami. Postąpił krok naprzód wsuwając udo pomiędzy jej nogi tak, że dwa ciała pasowały do siebie, jak sąsiednie elementy mozaiki. Poszła za jego przykładem, rozluźniając mięśnie. Pozwoliła, by prężne udo mężczyzny posuwało się w górę, dotykając prawie jej krocza. Podnosząc kolano oparte dotychczas na jego udzie odpowiedziała podobnym zachowaniem na ową propozycję zawarcia jeszcze bliższej znajomości. Wyczuwszy poniżej żeber dziewczyny miękkie, łukowate wgłębienie, dał upust wciąż narastającej żądzy poruszając biodrami w jej stronę. Natychmiast doczekał się podobnej odpowiedzi.

Pod bluzką dziewczyny dłoń mężczyzny posuwała się delikatnie aż do szyi, zataczając na niej koła i wplatając palce w ociekające potem, rozgrzane włosy. Dobiegł go zapach jej lakieru do włosów, który w połączeniu z wonią jej ciała zdawał się być teraz o wiele przyjemniejszy.

Być może to właśnie zapach wywołał ich pełne podniecenia zachowanie. A może to tylko wysiłek podczas biegu zmusił ich do poszukiwania fizycznych przyjemności? A z pewnością wpłynęło na to wspomnienie romantycznej atmosfery zaślubin, dzięki której każde z nich czuło nieodpartą chęć poznawania drugiego. Po tym jak miliony razy ich oczy spotkały się, ich słowa pełne podtekstów

dawały do myślenia, a pełne magnetyzmu spojrzenia intrygowały.

Oderwał się wreszcie, kończąc pocałunek jedynie ustami, które ochoczo posuwały się w dół jej ciała.

Wtedy Winnie usłyszała blisko swego ucha drżący głos:

— Wiedziałem, o Boże, wiedziałem!

— Co? — spytała szybko zaskoczonym głosem wydobywającym się gdzieś z dna gardła. Jej serce zaczęło łomotać, jakby wciąż pędziła po bieżni.

— Bo wreszcie pocałowałem cię i trzymałem w ramionach tak, jak sobie wymarzyłem!

Nagle schował twarz w dłoniach i zmusił ją, by się pochyliła.

— Tutaj, słyszysz?

Przyłożyła ucho i policzek do jego klatki piersiowej, która wznosiła się i opadała z zadziwiającą prędkością. Wewnątrz wibrująca siła jego serca torowała sobie drogę, by wyrwać się do niej. Duggan podparł palcami jej brodę i delikatnie uniósł jej twarz. Nie zwolnił uchwytu, nawet gdy pocałował jej usta mocno i pewnie.

— No i co ty mi robisz? To trwa przez cały dzień... Albo nawet już od wczoraj — w chwilach, gdy spoglądam na ciebie i pozwalam sobie na trochę fantazji.

Nieważne, co czuła teraz, jutro z pewnością poczucie winy weźmie górę nad satysfakcją. Jeśli tylko pozwoli mu kontynuować tę miłosną grę. Odsunęła jego dłoń ze swej brody i cofnęła się.

— Nie mogę tego zrobić Paulowi.

— Nigdy go nie oszukiwałaś?

— Nigdy. I nie zamierzam zacząć teraz. Przyjrzał się jej uważnie podejrzliwym wzrokiem. Potem zrobił minę, jakby podjął jakąś decyzję.

— Dobrze, w porządku. Wobec tego mogę nie podziwiać cię tak bardzo...

Przeczesała palcami włosy, odchyliła głowę, jakby w bólu, i odwróciła się od niego.

— Nie opowiadaj takich rzeczy.

— Co? A cóż jak powiedziałem?

— Wiesz dobrze, co powiedziałaś. W jednej chwili lojalny, w drugiej nieszczerzy. Zaczynam się gubić.

— Winn! — Sięgnął po jej rękę i zmusił, by stanęła twarzą do niego. — Powiedz mi, jak naprawdę mają się sprawy między wami. Jeśli zaczynasz się gubić, to nie dlatego, że spotkałaś mnie i dałaś się pocałować. Wydaje mi się, że problem jest o wiele poważniejszy!

— Nie próbuj sondować! Nic lubię tego! A co więcej, nie jest to zbyt stosowne tuż przed ślubem.

— Czy wolałabyś, by zdarzyło się to dwa lata po? Albo cztery lata, gdy może będziecie mieć już dwoje dzieci?

Zrobiła głęboki wdech i spoważniała.

— Muszę już iść. Jestem skonana. — Zwróciła się w stronę samochodu. Mężczyzna obserwował zarys jej luźnego, znikającego w ciemności dresu. Zaczął zastanawiać się nad komplikacjami, jakie mogą spowodować wydarzenia tej nocy. Już się zaczęły. Właśnie odeszła ze spuszczoną głową i dłońmi wsuniętymi w kieszeń na brzuchu. Była przygnębiona. Otworzyła drzwi hynesa i leniwie wsunęła się na siedzenie. Trzasnęła drzwiami.

Joseph spojrzął w gwiazdy, na asfalt, na samochód i rozważył możliwości wyboru. Wydawało mu się, że istnieje tylko jedna. Gdy usiadł na podwyższonym siedzeniu obok dziewczyny, luźno wsparł dłonie na kierownicy i wpatrywał się w dwuczęściowe wiatrochrony.

— Przepraszam. Wtrącałem się w sprawy między tobą a Paulem. Nie miałem prawa. Jestem przecież dla ciebie zupełnie obcą osobą, a wyciągam wnioski i próbuję osądzać was, odkąd cię spotkałem.

Chcę tylko, żebyś wiedziała, że gdybyś nie była... zaangażowana, starałbym się o ciebie ze wszystkich sił. — Odwrócił się i zobaczył, że ze smutkiem wpatruje się w szczelinę między wiatro-chronami. —

Jesteś kobietą-dynamitem, Winn Gardner. Mam nadzieję, że on to wie.

Zwróciła się w jego stronę i dostrzegła osuwające się na usta włosy mężczyzny. Potem spojrzała mu przeciągle w oczy i powiedziała miękkim głosem:

— Proszę, nie zrozum mnie źle! Jest coś, co chciałam zrobić, odkąd cię spotkałam. Chciałam to zrobić raz i zorientować się, co będę czuła — podniosła dłoń do jego głowy, delikatnie dotykając kędziorków ponad lewym uchem. — O, Boże, jakie miękkie! — krzyknęła czarującym głosem.

— A czego się spodziewałaś?

— Nie wiem. Nigdy wcześniej nie spotkałam mężczyzny z naturalnie kręconymi włosami.

Joseph zmusił się, by nie unieść rąk z kierownicy. Zaciśnął na niej palce i już nie rozluźnił. Jej dotknięcie było krótkie, niewinne, ale niesamowicie zmysłowe. Pomyślał, że jeśli za moment nie weźmie ręki, położy ją przed samochodem na asfalcie parkingu i sprawdzi, czy nie jest w stanie zmienić jej zdania na temat oszukiwania Starego Silikonowego Klawisza.

— Nie! — odskoczył, ale niezbyt energicznie. Po prostu wycofał się i Winnie zrozumiała: to, co robiła, podgrzewało jego krew w takim samym stopniu, w jakim odczuwała to i ona sama. Wtuliła dłonie między kolana i powiedziała:

— Przepraszam. Jedźmy już.

Drogę do domu spędzili w ciszy, przeżywając swoją samotność. Gdy Duggan nie wyłączając silnika zatrzymał samochód na jej ulicy, wysiadła spoglądając mu w oczy. Żadne z nich nie chciało, by wspólnie spędzone chwile skończyły się definitywnie.

— Zafundujesz mi śniadanie? — spytała, czując się przy tym nieswojo, jakby podsuwała mu bodziec do działania. Wydawało się jej, że nie jest zdolna wymierzyć sobie żadnej kary.

— Zrobię dla ciebie wszystko!

— W takim razie zaproś mnie na śniadanie, a potem

powiedz mi rozsądnie „Do widzenia” i nie odprowadzaj mnie do drzwi. Jeśli spotkamy się jutro przy otwieraniu prezentów, nie mów do mnie więcej, niż „Cześć”.

— Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

— Nie. Jestem pewna, że tak musi być. — Zjedli szarlotkę w „Pannekoeken Huis”, które znajdowało się o parę kroków od jej domu. Gdy wyszli z restauracji, pierwsze promienie słońca oświetlały już niebo na wschodzie, a ich pomarańczowa łuna rosła z każdą chwilą, rozszerzała się i zabarwiała kres świata tysiącami odcieni purpury, heliotropu i cytryny.

Joseph Duggan zatrzymał samochód. Winnie sama otworzyła sobie drzwi. Nie spojrział na nią, gdy wysiadała. Stała na ulicy i trzymała w ręku klamkę samochodu, wciąż na coś czekając.

— Do widzenia, Josephie Duggan!

— Do widzenia, Winn Gardner!

Obydwoje poczuli się fatalnie, gdy odjechał. Przezornie powstrzymywał się od spoglądania we wsteczne lustro tak długo, jak tylko mógł to wytrzymać. Ale w końcu podniósł wzrok, aby zobaczyć, czy stoi jeszcze na ulicy

i spogląda za nim. I wtedy przypomniał sobie. Hynes został zbudowany, zanim wymyślono wsteczne lustro.

## ***Rozdział VI***

Winnie obudziła się w południe z potwornym bólem głowy. „Otwieranie prezentów, pomyślała. Nie mogę tam pójść.” Zwinęła się w kłębek, zamknęła oczy i przywołała na myśl wydarzenia dnia wczorajszego. Czuła się winna wobec Paula.

Zadzwoniła do niego pięć minut później i jak nigdy prawie błagała go, by poszedł z nią na uroczystość. Usłyszała, że przecież Mick i Sandy są tak naprawdę jej przyjaciółmi, a on woli zostać w domu i dokończyć pracę, którą zaczął wczoraj. I dodał:

— Ale baw się dobrze, kochanie.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Ann Schaeffer i powiedzieć, że nie może przyjść. A potem biegać, biegać, aż do utraty tchu, by za sobą pozostawić frustrację... Ale równocześnie wiedziała, że jako pierwsza drużyna bezwzględnie powinna zjawić się u Sandy. Ubrała bladoniebieskie dzinsy i białą bawełnianą koszulę. Najzwyklejsze rzeczy, jakie mogła znaleźć w swojej szafie. Zmyła z włosów lakier i wysuszyła je suszarką, pozostawiając je bez kręcenia. Zdecydowała się nie robić żadnego makijażu, poza delikatnym pociągnięciem ust błyszczkiem. Głównie dlatego, że były podrapane zarostem Josepha, a lanolina nieco je ożywiła.

Była spóźniona piętnaście minut i spodziewała się, że wpadnie na Josepha, gdy będzie schodzić po stopniach do obniżonego pokoju gościnnego Schaefferów. Ku jej uldze

nie było go tam jednak. Na krzesłach siedziało z pewnością więcej niż dwadzieścia osób, musiała więc usiąść na podłodze blisko Sandy. Nowożeńcy właśnie mieli zamiar zacząć otwieranie prezentów.

Winnie więc powierzono zadanie robienia spisu podarunków w pamiątkowej księdze.

Wpisywała właśnie ósme nazwisko a obok niego — prezent, gdy podniosła wzrok i dostrzegła w drzwiach postać Duggana. Usta jej zwilgotniały, a serce zabiło szybciej. Ubrany był podobnie, jak w dniu próby: w wyblakłe levisy, nowe buty sportowe i marynarkę w kolorze kości słoniowej. Stał przez chwilę z kciukami włożonymi w tylne kieszenie spodni, po czym przywitał wszystkich i uśmiechnął się, przebiegając wzrokiem po wszystkich twarzach. Gdy spojrzał na nią, jego oczy na moment znieruchomiały, a głowa bez słowa skinęła. Przecisnął się między stłoczonymi gośćmi i usiadł na podłodze w kącie naprzeciw Winnie.

Bezwzględnie przestrzegał zaleceń, które dała mu wieczorem. Nie rzucał jej ukradkowych spojrzeń i nie odzywał się. Cały czas zabawiał piękną, młodą kobietę o imieniu Connie, obok której siedział.

Chwilami Winnie wydawało się, że czuje na sobie jego wzrok, zwłaszcza wtedy, gdy zajęta była pisaniem. Ale gdy dwukrotnie spojrzała przelotnie w tamtą stronę, wciąż rozmawiał i śmiał się z Connie, która z każdą chwilą zdawała się być nim coraz bardziej oczarowana.

Razem też wyszli z domu. Winnie szła za nimi dziwiąc się, jak bardzo czuje się opuszczona, widząc Josepha obok innej kobiety. Świetnie się bawił. A jej serce ścisnął niepohamowany żal. Czuła pustkę i gorzki smak samotności. Zastanawiała się, cóż ta kobieta mogła rzec, że aż tak rozbawiło to Duggana. Para zatrzymała się na ulicy obok dziwnego wehikułu. Kiedy ręka Josepha spoczęła na klamce drzwi, ten rzucił przez ramię swej towarzyszkę ulotne spojrzenie i ujrzał Winnie podążającą w stronę swojego samochodu.

— Winn! — zawołał. Podeszła kilka kroków czując, jak serce rozpira jej nadzieja. Tyle tylko, że nie miała czasu zapytać samej siebie, czego się spodziewa. — Znalazłem coś twojego w hynesie.

Poczekaj chwilę... — otworzył drzwi pojazdu i zanurkował w jego wnętrzu. Po chwili odwrócił się trzymając w dłoni jeden z jej różowych pantofelków na wysokich obcasach. Przyczepiona do niego perełka błysnęła jeszcze odchodzącym w przeszłość wspomnieniem niedzielnego popołudnia. Uniósł buta nad głowę i wymachiwał nim zbliżając się do niej. Spotkali się na środku ulicy. Connie stała w miejscu, gdzie ją pozostawił, cierpliwie czekając na niego.

Gdy zbliżył się, Winnie poczuła, że Duggan pachnie tak wspaniale, jak wygląda. Ale on tylko wręczył jej buta i powiedział:

— Jeden nie przyda ci się tak jak para, prawda?

— Dziękuję.

Już odwracając się odrzekł:

— Nie ma sprawy. — I niedbale pomachał jej ręką. Wrócił do Connie i pozostał przy niej aż do chwili, gdy

Winnie odjechała. Gdy znalazła się w domu, przebrała się w sportowy strój i biegała aż do kresu sił.

W ciągu następnych kilku tygodni jej życie wróciło do normy. Przynajmniej stało się na tyle normalne, na ile może być w niecałe trzy miesiące przed ślubem. Zrobiła listę rzeczy, które wymagały sprawdzenia, zamówienia lub wykonania i wykreślała jedną po drugiej: kwiaciarnia, organista, śpiewak, poduszeczka pod obrączki.

Z Paulem widywała się zaledwie kilka razy w tygodniu, zwykle u niego. Co tydzień musiała odwiedzać matkę, by załatwić różne drobiazgi. Od czasu do czasu odrywała ją od rzeczywistości myśl o Josephie Dugganie. Wkładała wtedy dres i próbowała „wybiegać” go ze swego życia.

Ale nigdy jej się to nie udało.

Jedynym miejscem, w które nigdy nie ingerował, był szpital. Kochała swą pracę, współpracowników i pac-



jentów. Każdy z nich stanowił dla niej oddzielne wyzwanie.

Oddział Rehabilitacji i Fizykoterapii Północnego Centrum Medycznego składał się z czterech systemów: fizykoterapii, rehabilitacji zawodowej, kardioterapii i medycyny sportowej, która była stosunkowo nową i wyspecjalizowaną dziedziną fizykoterapii. Mieściła się w oddzielnym budynku. Ale Winnie pracowała w głównym szpitalu, w którym mieściły się pozostałe trzy systemy. Spędzała dni zdobywając zaufanie pacjentów, którzy zostali oddani jej pod opiekę", zachęcając ich do pracy nad sobą znanym hasłem „MOŻESZ” i upewniając się, że nie zlekceważyli wyznaczonych im na dany dzień zadań. Z reguły było to podnoszenie nogi o cal wyżej niż poprzedniego dnia albo dotykanie uchem do ramienia. Właśnie to kochała najbardziej w swoim zawodzie: rzucane nieustannie wyzwanie możliwościom każdego pacjenta i zapewnianie, iż nigdy nie spodziewała się, że ich ciała są zdolne do takiego postępu.

Pracowała z pacjentami leżącymi stale w szpitalu i z dochodzącymi, widując ich raz-dwa razy dziennie aż do chwili, gdy zostawali zwolnieni lub odzyskiwali sprawność fizyczną. Ponieważ poznawała każdego z nich osobiście — temperament, przeszłość, cele i obawy — zawsze towarzyszyło jej pracy niebezpieczeństwo emocjonalnego zaangażowania się... Współczucie jest pożądane i nieodzowne, ale gdy stanie się zbyt przejmujące, może wpłynąć na samego terapeutę, dlatego każdego z nich ostrzega się od samego początku przed jego zgubnymi skutkami.

Pewnego pięknego kwietniowego dnia Winnie dostała pod opiekę nowego pacjenta.

Poznała Meredith Emery przed południem i od pierwszej chwili serce Winnie zadrżało na widok poparzonej dziesięcioletniej dziewczynki.

Dziecko stało obok swego ojca, gdy ten próbował zapalić kuchenkę gazową. Pierwsza zapalka nie zaiskrzyła.

Wtedy poszedł po inne i zapomniał zakręcić gaz. Eksplozja poparzyła ich oboje, ale dziecko ucierpiało bardziej — było mniejsze i płomień objął jej klatkę piersiową i szyję, raniąc również twarz. To właśnie te przerażone, pozbawione rzęs i brwi oczy zagrały na strunach serca Winnie w momencie, gdy spojrzała w nie po raz pierwszy. Przed wypadkiem musiały być piękne — ogromne, głębokie, z wielkimi, brązowymi źrenicami i szeroko rozwartymi powiekami. Urocze oczy.

Pielęgniarka przywiozła Meredith Emery na oddział fizykoterapii na wózku pokrytym płótnem rozpiętym na aluminiowych ramach. Winniefred spotkała ją przy wejściu do pokoju ze zbiornikiem i natychmiast powiedziała pielęgniarce, by ją stąd zabrała.

Dziecko było pod działaniem środków uspokajających, ale i tak widok następnej twarzy, następnego stalowego urządzenia, napawał je przerażeniem kolejnych tortur zadawanych kruchemu, zniekształconemu ciału.

— Cześć, Meredith. Mam na imię Winniefred. Będziemy spotykać się dwa razy dziennie, dopóki tu będziesz. Będziemy razem pracować nad twoimi rękami, nogami i palcami, nad całym twoim ciałem, aż będziesz mogła się poruszać tak, jak przed wypadkiem, aż będziesz mogła biegać, bawić się i iść do szkoły. Jak ci się podoba ten pomysł?

Odpowiedziały jej tylko wpatrzone w nią pełne wątpliwości oczy.

— Meredith — powiedziała Winnie. — To bardzo poważne imię jak dla małej dziewczynki. —

Winnifred spojrzała w akta choroby. — Dziesięć? Masz dziesięć lat. — Zniżyła głowę do poziomu dziecka.

Meredith odpowiedziała prawie niezauważalnym skinieniem.

— A jak nazywają cię koleżanki?

— Merry... — Zniekształcone i naciągnięte wargi wypowiadając to słowo zmieniły się w parodię ust dziecka.

Winnie siłą zmusiła się, by nie okazać wstrząsu, jakiego doznała.

— Czy mogę mówić do ciebie Merry? Moje imię jest podobne do twojego. Dla niektórych równie zabawne. Cieszyłabym się więc, gdybyś nazywała mnie Winn. — Skąd to się wzięło? To zdrobnienie używane tylko przez Josepha Duggana. Nigdy wcześniej nie zachęcała znajomych, by nazywali ją Winn. A teraz to imię zdawało się ją pieścić, gdy patrzyła na nieszczęśliwe dziecko.

Winn wyjaśniła Merry, że ponieważ na jej ciało nakładano krem lanolinowy, musi być teraz zmyte, by zapobiec infekcji. Starła się słownie przygotować dziewczynkę na widok, który z reguły przeraża młodych pacjentów: zbiornik Hubbarda. Było to monstrum z nierdzewnej stali w kształcie czterolistnej koniczyny i długości dziewięciu stóp, wyposażone w wirnik. Powiedziała Merry, że może leżeć, a one z pielęgniarką zaczepią cztery haki do rogów wózka i włożą ją razem z nim do basenu tak, jak ładuje się towary na statek.

Ale gdy zaczepiły haki i włączyły silnik, mała zaczęła krzyczeć i błagalnie sięgnęła po dłoń Winnie.  
— Nie, nie!

— Zatrzymaj! — rozkazała natychmiast Winn. Jej serce ścisnęło się i ujęła małą dłoń, wydając polecenie, by wystartować jeszcze raz. Szczupła dłoń zacisnęła się, pozbawione rzęs oczy płakały. Winn miała ochotę paść na kolana i rozpłakać się także. Chciała uspokoić dziecko i sprawdziwszy jeszcze raz akta choroby, szybko podjęła decyzję.

— Czy mogłaś już siadać, Merry?

— Nie pozwoliliby mi!

— Poczekaj chwilę. Mam pomysł, który na pewno bardziej ci się spodoba. Zaraz wrócę.

W kilka minut później, po otrzymaniu zgody lekarza, Winn włożyła ją do znacznie mniejszego i na pewno nie tak przerażającego urządzenia, w którym dziecko mogło się-

dzieć, zamiast leżeć. Merry została przypięta pasami do obrotowego krzesła w urządzeniu nazywanym windą wieku i w nim podniesiona ponad krawędź zbiornika z nierdzewnej stali i spuszczonej do środka.

Gdy woda o temperaturze dwudziestu ośmiu stopni dotknęła skóry i wąłego, poparzonego ciała dziewczynki, ta zaczęła drżeć. Krzyczała i rozplakała się błagając, by ją wyjęto ze zbiornika. Niestety — koniecznością było zanurzanie jej dla odkażenia na całe pięć minut.

To było pięć najdłuższych minut w życiu Winnifred Gardner. Gdy wreszcie skończyły się, dziecko owinięto suchymi kocami i położono na wózku, by zawieźć do pokoju. Ale gdy ją odwożono, wzrokiem pełnym trwogi spojrziała w oczy Winn tak, że ta chciała pochylić się i pogłodzić ją po włosach. Ale Merry nie miała włosów. One również spłonęły w wyniku eksplozji.

Gdy wózek odjechał, Winn stała milcząco w hallu wpatrzona w drzwi, za którymi zniknął. Westchnęła głęboko, ukryła twarz w dłoniach i przetrła palcami oczy. Były pełne łez. „Właśnie przed tym nas przestrzegali. Nie wolno mi angażować się emocjonalnie. Nie wolno!” Ale jak mogła nie czuć złości i żalu widząc takie dziecko jak Meredith Emery. Dziesięciolatka doświadczająca większej tragedii i cierpienia, niż ktokolwiek z nas przez całe życie.

W tym momencie pani Christianson, koordynatorka fizykoterapii, wyszła ze swego biura i zatrzymała się w drzwiach.

— Winnifred?

Winn odwróciła się. Na jej twarzy malował się wyraz cierpienia.

— Chodzi o dziecko, prawda? Winn wplotła dłońe we włosy.

— Tak, o dziecko. Nie jestem pewna, czy dam sobie radę z tym przypadkiem, Sylvio.

— Oczywiście, że tak! Wszyscy możemy sobie dać radę,

gdy tylko musimy. Ale czasem dobrze jest porozmawiać o jakimś przypadku. Możemy razem wybrać się na lunch.

— Nie dzisiaj, jeśli się nie obrazisz. Potrzebuję czegoś więcej niż posiłku.

Następną godzinę Winn spędziła w opuszczonym pomieszczeniu rehabilitacyjnym jeżdżąc na rowerze lekarskim, aż zaboląły ją łydki. Potem przypięła sobie ciężarki do kostek i leżąc ćwiczyła mięśnie brzucha, aż do kresu wytrzymałości. W końcu przypięła ciężarki do nadgarstków i trzymała je wysunięte w obie strony do chwili, gdy jej mięśnie twarzy zaczęły drżeć i mięśnie klatki piersiowej straciły siłę.

— Co robisz, Gardner?

Winn opuściła ramiona i skłoniła się do kolan. Była zbyt zdyszana, by odpowiedzieć.

Pani Christianson weszła do sali gimnastycznej i zatrzymała się przed przykucniętą postacią.

— Nieważne jak zawzięcie będziesz ćwiczyć, nie dasz rady w ten sposób tego z siebie wyrzucić — powiedziała sympatycznym, choć'strofującym głosem. Winn potrząsnęła głową, wciąż nie mogąc nabrać tchu. Jej rozwiane włosy przyklejały się do czoła i policzków. Złapała się za kolana próbując zrozumieć takie bezsensowne cierpienie, jakie spotyka Meredith Emery. — Jediną rzeczą, jaką mogę zrobić, jest powierzenie tego przypadku komuś innemu, jeśli ty się nim tak zajmujesz. Tylko czy pozwolisz mi zorientować się, jak bardzo się w niego zaangażowałaś?

Winn beznamietnie skinęła głową. Ale wspomnienie szczupłej dłoni Merry unoszącej się, by uzyskać jej pomoc, wciąż stało jej przed oczyma. Zwalczyła to. To była najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić dla dziecka.

Gdy tego popołudnia Merry ponownie została przywieziona na oddział fizykoterapii, Winn zaczęła program ćwiczeń, w efekcie których dziecko winno odzyskać zdolność poruszania się. Ruchy brody, krążenie głowy, podnoszenie ramion, by ochronić skórę przed zwiotczeniem

i utratą elastyczności. Wszelkimi siłami starała się wpoić w Merry optymizm i wiarę w siebie. Choć po raz pierwszy w swojej karierze sama zaczynała je tracić. Dziesięcioletnia ofiara poparzenia musiała nie tylko podjąć ogromny wysiłek, by przejść przez okres rehabilitacji fizycznej, równoznaczny ze stałym cierpieniem, ale również zaakceptować straszliwy fakt, że już nigdy nie będzie wyglądać tak, jak przed wypadkiem, że będzie musiała j/krótce zacząć pracować nad czymś znacznie trudniejszym — nad próbami zbliżenia się do dawnej powierzchowności.

Przy końcu zabiegu Winn czuła się wyczerpana i załamana. Jak można oczekiwać od dziesięcioletniego dziecka, że to wszystko wytrzyma?

Po raz pierwszy w życiu Winn zapragnęła zmienić profesję. Gdy wróciła do domu, natychmiast zadzwoniła do Paula. Potrzebowała go tak bardzo, jak Meredith Emery fizykoterapeutki. A może nawet bardziej.

— Paul, czy mógłbyś wyrwać się na chwilę ze mną do kina lub gdziekolwiek dziś wieczorem?

— Ach, kochanie! Chciałbym móc, ale przyniosłem Arv z biura do domu, bo prawdopodobnie znów znajdę dodatkową pracę, tylko muszę spróbować, czy Rita jest w stanie się jej podjąć i w ogóle muszę zapytać, co o tym myśli.

Znów Rita. Czy to jest wszystko, o czym potrafi myśleć ten człowiek? Umysł Winn nagle przepełniły złość i zazdrość. Ale zaniechała oskarżeń i spytała tak miło, jak tylko potrafiła:

— Czy mógłbyś to skończyć dziś wcześniej i potem do mnie przyjechać?

— Czy coś się stało, Winnie?

— ... I tak, i nie.

— O co chodzi, kochanie? — Na szczęście w głosie zabrzmiała nuta przejęcia.

— Chodzi o pacjentkę w pracy... Nastąpiła długa przerwa.

— Och... — usłyszała wahanie i zrozumiała. Nigdy nie

wiedział, co powiedzieć, gdy opowiadała mu o nieszczęśliwych ofiarach wypadków, bez względu na to, czy były to dzieci, czy ludzie starsi. Dla Paula było to godne pożałowania w jakiś dziwny, nieokreślony sposób. Ludzie ci nie byli doskonali, a on nie potrafił określić w żaden sposób swojego stosunku do niedoskonałości. Paul Hildebrandt najlepiej czuł się pracując w czystej sferze. — Poczekać chwilę, spytam Arv. — I znów nastąpiła cisza, po której odezwał się jego głos. — Słuchaj, kochanie! Przebrnę przez to w kilka godzin, dobrze?

Winnie poczuła jeszcze głębsze rozczarowanie.

— Dobrze — powiedziała z rezygnacją. — Zobaczymy się więc później.

— I Winnie... — przerwał i dodał: — Kocham cię.

— Ja też cię kocham. Zobaczymy się więc, gdy tylko skończysz.

Przez najbliższe dwie godziny Winn czuła się we własnym domu jak w pułapce. Po prostu nie chciała być teraz sama. Pomyślała o odwiedzeniu matki, ale natychmiast odrzuciła ten pomysł. Matka częściej potrafiła ją rozdrażnić, niż ukoić. Zadzwoiła do Sandy, ale od razu wyczuła zniecierpliwienie przyjaciółki oderwanej od jakiegoś zajęcia. Winn zaproponowała, aby spotkały się któregoś dnia, by pograć w racket-ball, ale Sandy mruknęła tylko:

— Tak, jasne... Może w ten weekend. — Słyszac brak zainteresowania w głosie Sandy Winn zastanawiała się, czy przypadkiem Mick nie czeka w łóżku, aż jego żona dokończy rozmowę. Poczowała złość i odtrącenie, sama nie wiedząc, przez kogo. Być może przez ludzi należących do magicznego kręgu tych, którzy spędzają część każdego dnia z wybraną osobą przeciwnej płci. Gdyby tylko Paul był przy niej! Teraz najbardziej pragnęła, by ktoś wziął ją w ramiona, przytulił i może nawe\* kochał się z nią... Powoli i z namysłem.

Stała jej przed oczyma twarz Josepha Duggana i poczuła niewyjaśniony przyływ tęsknoty, który natych-

miast dołał do czary goryczy napełnionej już przez spotkanie Meredith Emery. Ciekawe, czy on w ogóle myśli

O mnie. I co go jeszcze łączy z naleśnikową hostessą? Czy, gdyby tamta go potrzebowała, przyszedłby na jej skinienie albo wezwanie? A może kocha się z nią powoli i z namysłem, tuli ją do swej piersi i pozwala jej wypowiedzieć swą radość, gdy leży w jego ramionach?

Winn ubrała dres i poszła pobiegać. Wróciła skonana. Pracowała przecież ciężko w południe i przez cały dzień towarzyszył jej stres. To wyczerpało ją do granic.

Paul nie przyszedł. Zadzwoił o wpół do dziesiątej

1 przeprasza ją i powiedział, że Arv zajęło to więcej czasu, niż sądził, i czy Winnie nie chciałaby porozmawiać z nim teraz, przez telefon.

Nie. Winn zupełnie nie chciała rozmawiać z nim o tym przez telefon. A poza tym bieg, wyczerpanie i czteroipółgodzinna przerwa między telefonami pomogły jej przewyciężyć przytłaczającą potrzebę towarzystwa, którą przyniosła do domu ze szpitala.

Uczucie przygnębienia powracało jednak w następny dzień. I przez cały tydzień podczas dwóch dziennie sesji terapeutycznych z małą Merry. Dziecko było bardzo inteligentne i nietrudno było zgadnąć, jak szczęśliwe życie wiodło przed wypadkiem. Opowiadała o szkole baletowej, gimnastyce, o rowerze z przerzutkami, o wszystkim, czego będzie musiała wyrzec się na długo. Pewnego dnia powiedziała:

— W przyszłym roku pojedziemy do Disneylandu!

Ale następnego dnia oglądając kartę choroby dziecka Winn stwierdziła, że dziewczynka miała bardzo złą noc. O drugiej zaczęły się kłopoty z oddychaniem i musiano podawać jej tlen.

Stojąc z dokumentacją choroby w dłoni Winn poczuła, że robi się jej niedobrze. Przeczytała zawarte w niej informacje i złe przeczucia opadły na nią jak stado kruków.

„Ona umrze!”



Tej nocy, gdy zadzwoniła do Paula, nie prosiła go, lecz oznajmiła, że zaraz zjawi się u niego, gdyż musi z nim porozmawiać. Gdy opowiedziała o Merry, usłyszała odpowiedź sugerującą, aby nie sprowadzała zawodowych kłopotów do domu. „Najlepiej byłoby, gdybyś pozostawiła pacjentów w szpitalu, kochanie”. Ale gdy zjawiła się u narzeczonego, jeszcze raz oderwała go od Rity. Przymknęła oczy, wtuliła się w ramiona mężczyzny splatając dłonie za jego plecami, zastanawiając się, czy w ogóle jest w stanie poruszyć go czyjekolwiek nieszczęście. Albo czy w ogóle go doświadczył. A może właśnie dlatego nie potrafiło dotrzeć to do jego analitycznego mózgu? Nie można go przecież zamienić w porcję danych, nie może być rozłożony na czynniki pierwsze i przeanalizowany na ekranie. Być może właśnie dlatego zrozumienie tego zagadnienia było mu niedostępne.

Spytał ją, czy zostanie na noc. Odmówiła, wymyślając na poczekaniu wymówkę, że ktoś w pracy ma urodziny i ona piecze ciasto, które musi zostać ochłodzone, zanim Winn pójdzie spać.

Wróciwszy do domu przysiadła na skraju łóżka i wpatrując się w sufit opadła na pościel. Po raz pierwszy w pełni zrozumiała, dlaczego wszyscy instruktorzy z college'u medycznego tak zawzięcie ostrzegali swoich studentów przed przykrymi konsekwencjami emocjonalnego zaangażowania w tragedię pacjentów.

„Przykra dla was będzie nie tylko ich śmierć, ale i jeśli przeżyją, musicie mieć pewność, że w przyszłości uniezależnią się od was całkowicie. Dobry terapeuta wie, kiedy wycofać wsparcie i pozostawić pacjenta własnemu losowi.”

Kłuło ją serce, bolał kark. Zapragnęła być teraz w pracy i wyciągnąć się na jednym ze stołów. I niechby pomasaował ją któryś z kolegów po fachu. Pożałowała, że odrzuciła propozycję Paula. Ale równocześnie czuła zadziwiającą niechęć do położenia się obok niego po tym, jak zignorował jej potrzebę zwierzenia się i znalezienia współczującego serca.

Przypomniała sobie: Silikonowy Klawisz.

Czy Joseph Duggan miał rację? Czy silikonowe klawisze to rzeczywiście wszystko, co Paul miał zamiast uczuć?

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Josepha i nie powiedzieć, że go potrzebuje. Co by odpowiedział? Podświadomie wyczuwała, że okazałby owo współczucie, którego tak brakowało jej narzeczonemu.

Przewróciła się na bok i zwinęła w kłębek, porzucając kuszącą myśl o Jo-jo Dugganie.

Następnego dnia okazało się, że Merry przeżyła kolejną ciężką noc. Podczas zabiegu hydroterapii znów miała atak. Jeszcze cięższy od poprzedniego. Gdy odwieziono ją do pokoju, Winn odszukała Dr. Eldrida Childsa, lekarza prowadzącego przypadek Merry. Znalazła go na czwartym piętrze w czasie obchodu.

— Chodzi o Meredith Emery, doktorze — wyjaśniła.

— Pani jest jej terapeutką, prawda? — Winn poczuła na sobie jego inteligentny wzrok.

Skinęła i spytała uprzejmie:

— Ona umrze, prawda?

Lekarz przyjrzał się jej w milczeniu, zaplótł dłonie i wzięwszy ją pod ramię poprowadził w głąb hallu.

— Na to wygląda. Dziś rano to było więcej, niż płuco. Zawiodły nerki.

Bardzo często zdarza się, że oparzenia ofiar eksplozji nie są najbardziej niebezpiecznymi obrażeniami.

Po jakimś czasie objawiają się uszkodzenia narządów wewnętrznych. Bywa, że to one decydują o śmierci pacjenta.

Winn zamknęła oczy i siłą powstrzymała łzy. „W przyszłym roku pojedziemy do Disneylandu!”

Starła się prz: .ilknać węzeł zawiązany na jej krtani. Ale nie potrafiła.

— Przejmujesz się tym przypadkiem, co? Skinęła, wciąż nie otwierając oczu. Stanęli.

— Czasem mylimy się, Gardner. Czasem coś nas zwiedzie. Otworzyła oczy. Lekarz zdawał się stać za ścianą gęstej mgły.

— Tak... — mruknęła niedbale. — Tak, oczywiście.

O trzeciej po południu skończyła swoją zmianę. Pojechała do pustego domu z sercem ściśniętym żalem, jakiego jeszcze nie doświadczyła. Wydawało się jej, że oczy dziecka spoglądają na nią spomiędzy stojących na oknie kwiatów, które dostała kiedyś od innego dziecka. Ale tamto wyzdrowiało.

Zadzwoiła do Sandy, choć dobrze wiedziała, że jej przyjaciółka jest w pracy. Po prostu liczyła na szczęście. Może została dziś w domu? Mogłyby zagrać w racket-ball.

Boże, jak pragnęła się wyżyć! Uderzyć w coś, zniszczyć — by odzyskać równowagę!

W domu straszło. Na zewnątrz wiosna budziła się z zimowego snu. Ptaki budowały gniazda, małe ziemne stworzenia wychodziły na powierzchnię, mrówki stawiały nowe domy z piasku. Majowe drzewa obsypały się kwieciami.

Winn pragnęła opuścić to miejsce, wyjść tam, gdzie świeże powietrze wionęło obietnicą lata. Wsiadła do samochodu i odjechała. Nieświadomie. Nie zwracając uwagi na cel, na to, że wstrzymuje za sobą niecierpliwych kierowców. Wypełniała ją gorycz, tylko chwilowo ukryta na dnie serca.

Opuściła Brooklyn Park i skierowała się w stronę wioski farmerów na północ od przedmieścia.

Gospodarze uprawiali tam swoje ogromne pola ziemniaczane, a dzieci jeździły na rowerach w spokojne popołudnie. Skręciła na zachód z Douglas Drive i pojechała w stronę strzelającej w niebo zabytkowej wieży wodnej. Kilka minut później była już na jednej z najmniej uczęszczanych ulic cichego miasteczka Osseo zamieszkiwanego przez 2906 mieszkańców. Winn pozwoliła prowadzić się swojemu instynktowi. Skręciła w jedną uliczkę, potem w drugą, szukając jakiegoś znaku, który mogłaby rozpoznać. Nie wiedziała przecież, gdzie to jest, ani czy firma w ogóle posiada jakiś znak. Znalazła go na Second Avenue, dwie przecznice od głównej ulicy miasta, obok zarośniętej trawą zwirowej uliczki. Był to kwadratowy, ceglany budynek ze staromod-

nymi, podwójnymi drzwiami z drewna. Obok widniało pozbawione szyb wejście do warsztatu i znak: „Duggan's Body Shop”.

Weszła do środka i znalazła się w czymś w rodzaju hallu, jeśli w ogóle można to tak nazwać. Stało tam dębowe biurko o wiele starsze, niż jego haynes, dwa niczym nie wyróżniające się drewniane krzesła, sekretarzyk na akta, telefon, lodówka, równie stara, z klasycznie zaokrąglonymi rogami. W odległym kącie pomieszczenia otwarty korytarz prowadził do warsztatu poniżej. Właśnie stamtąd dobiegał dźwięk rozbijającego się o metal piasku wyrzucanego ze specjalnego urządzenia pod ciśnieniem. Ktoś pogwizdywał podczas pracy wtórując piosence Waylona Jenningsa. Weszła w otwarty korytarz. W warsztacie ujrzała rzeźbiony sufit, masywną, ubrudzoną smarem podłogę i jeden rząd okien osiem stóp ponad podłogą, a drugi na wysokości oczu.

Pochylający się mężczyzna czyścił piaskiem błotnik samochodu w kolorze pomarańczy. Dwaj inni zgięci nad następnym pozbawionym dachu samochodem oglądali jego silnik. Nad nimi wisiała wiązka ogromnych łańcuchów z hakami na końcu, przyczepiona do ramienia jakiegoś potwora, który — zdawało jej się — mógł w każdej chwili runąć na ich głowy. Mężczyzna z lewej podniósł głowę, zauważył Winn i natychmiast podszedł, wycierając dłonie w pobrudzoną niebieską szmatę.

— Cześć! — Uśmiech miał Josepha, ale nie tak urzekające oczy. — Czym mogę służyć? — Mężczyzna, który do połowy ukryty był w rozmontowanym samochodzie, zdawał się jej być Josephem.

— Czy zastałam Josepha?

— Jasne! — odwrócił się i zawołał przez ramię: — Hej, Jo-jo! Ktoś chce się z tobą widzieć! Ale brat Josepha nie mógł przekrzyczeć piosenki Waylona. Do tego wciąż syczała piaskarka. Duggan-brat podszedł do pochylonej postaci w wytartych niebieskich dżinsach i zawołał:

— Hej, Jo-jo! Jakaś pani chce się z tobą widzieć! Joseph wyprostował się do połowy i spojrzał przez ramię. Serce Winn zadrżało, a niewidzialna klamra ścisnęła jej piersi. Znanym jej ruchem mężczyzna powoli wyprostował plecy i nie spuszczać wzroku z Winn sięgnął po omacku po szmatę. Gdy kroczył po brudnej posadzce, jego uśmiech stawał się coraz szerszy. Zatrzymał się tuż przed nią i wycierając dłonie przywitał się:

— O... Cześć!

Zapomniała już, jak magnetyzujący jest jego uśmiech.

— Cześć, Joseph! — Jej serce dziko załomotało. Mimo chęci nie udało jej się odzyskać zwykłego tonu głosu.

— Jakie wiatry przygnały cię do tej tętniącej życiem metropolii Osseo?

— Czy przeszkadzam ci może w czymś ważnym?

— Nie... Próbowaliśmy uruchomić silnik. Jest taki, jak wszystkie inne: może poczekać. — Wzruszył ramionami i odrzucił na bok szmatę. Usmolone niebieskie džinsy i poplamiona koszula tego samego koloru. Para butów, może ta, którą widziała w pokoju gościnnym. Miał czarne ręce i smar na paznokciach. Mimo to w każdym calu wyglądał tak zachęcająco, jak we fraku i żabocie.

— Powinam była zadzwonić, ale nie planowałam tutaj wstępować. Po prostu wyjechałam na chwilę i... — Stała się nagle bardzo pewna siebie. Mówiąc gestykulowała lekko jedną ręką.

Mężczyzna spojrzał przez podwójne drzwi w kierunku okna.

— Jakież kłopoty z samochodem?

— Nie, po prostu chciałam z tobą porozmawiać. Pomyślałam, że może mógłbyś zagrać ze mną w racket-ball, wybrać się na filiżankę kawy lub cokolwiek... — zakończyła nieśmiało.

Sięgnął dłonią po jej łokieć, ale spojrzawszy na swoje brudne palce pomyślał, że lepiej tego nie robić. Skinieniem głowy poprosił, aby szła za nim.

— Hej, John! Powiedz Tommy'emu, żeby wyłączył piaskarkę! Chciałbym cię komuś przedstawić. Zawahała się. Ale Joseph odwróciwszy się wysunął dłoń, jakby chciał ująć ją pod rękę. Ale nie zrobił tego. Bracia zbliżyli się i Winn ujrzała znów uderzające podobieństwo uśmiechów Tommy'ego i Josepha. Podobnie zaraźliwie uśmiechał się John.

— To jest kobieta, o której ci opowiadałem. Ta, z którą szedłem w parze po ślubnym kobiercu — Winn Gardner. — J°-J° uśmiechnął się do niej i kontynuował. — A to są moi młodsi bracia: Tommy i John.

Wyciągnęła rękę, zbyt późno zdając sobie sprawę, że był to nie najszcześniejszy gest. Trzymała ją jednak nadal, gdy Tommy spojrzał i powiedział: — Cześć, Winn! — i w końcu z zawadiackim uśmiechem uchwycił jej dłoń w tłustym uścisku, zanim John zdążył zrobić to samo.

— Słuchaj, Jo-jo. Ona jest całkiem-całkiem! — zaaprobował Tommy.

— Jest świetna. Ale czy mógłbyś zgasić to swoje spojrzenie głodnego wilka? A poza tym mówiłem ci, że ona wie, czego chce. — Nie czekając ani chwili dłużej poinformował ich: — Ja na dziś kończę. Wy dwaj weźcie tego czereśniowego pickera i ten silnik i podnieście go. Sprawdźcie, czy nity i przepusty izolacyjne są podłączone. Jeśli tak, to zostawcie wiadomość na kuchennym stole, żebym je mógł zabrać rano. Wrócę późno. — Odwrócił się do Winn i powiedział: — Chodźmy.

W trzy minuty zdecydował się poświęcić jej resztę dnia. Już na zewnątrz powiedział:

— To niespodzianka!

— Dla mnie również.

— Pobiłaś się ze starym Hildegardem, czy co?

— Nie, nie pobiłam się. — Spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem. — Coś innego.

Przyjrzał się jej samochodowi stojącemu na parkingu.

— Chodzę do pracy na piechotę. To zaledwie parę

przecznic dalej. Czy mogłabyś mnie podrzucić do domu? Umyłbym się i wziął dres i rakieta.

— Wsiadaj.

Spojrzał przez ramię na swoje plecy. Potem uśmiechnął się do niej nad dachem samochodu.

— Z reguły z przodu brudzę się bardziej, niż z tyłu, myślę więc, że nie pobrudzę ci fotela.

Wsiadli i trzasnęli drzwiami, gdy tęgi mężczyzna podszedł do nich chodnikiem, podniósł rękę i zawołał:

— Hej, Joey!

Joseph odwrócił się, uśmiechnął i oparł łokieć o krawędź okna.

— Cześć, tato! O co chodzi?

Od swojej strony samochodu Winn zobaczyła pochylającego się mężczyznę, -a potem w oknie pojawiła się twarz uśmiechnięta, jak z plakatu reklamowego. Wrzucił Josephowi na kolana zawiązaną plastikową torebkę.

— Twoja matka powiedziała, że rabarbar jest dojrzały i przysłała mi trochę, żebyś wam dał. A kimże jest ta piękna laleczka? — Jego przemiła twarz uśmiechała się do Winn, która zrozumiała, po kim Joseph odziedziczył swój urok.

Jo-jo z uśmiechem pełnym dumy poinformował ojca:

— To jest Winn Gardner. Kobieta, którą spotkałem u Micka na weselu. Pamiętasz? Opowiadałem ci o niej. — Ach, to ona! — Pan Duggan uchylił czapki. — Miło panią poznać, Winn! Jestem ojcem Joeya.

— Wysunął rękę i sięgając przez przednie siedzenie uściskał jej dłoń.

— Mnie również bardzo miło pana poznać, panie Duggan.

— Robisz sobie dziś urlop? — spytał Josepha.

— Tak, ale chłopcy pracują.

— Tak myślę. Wejdę tam i przywitam się z nimi. Powiem im, że mama przysłała rabarbar.

Gdy odszedł, Winn spojrzała na torebkę różowozielo-nych roślin. Potem zerknęła na Josepha.

Uśmiechnął się i zważył w ręce torebkę.

— Mama uważa, że nie odżywiamy się odpowiednio odkąd wyprowadziliśmy się, i wciąż przysyła nam smakołyki.

— Mieszkają blisko ciebie?

— Tak, tutaj, w mieście. Tata pracuje w magazynie towarów żelaznych, mama opiekuje się ogrodami i wciąż myśli, że jesteśmy jej małymi chłopcami. — Mówiąc te słowa uśmiechnął się dobrotliwie. Przez chwilę Winn zazdrościła mu tego, że wychował się w prostej, lecz troskliwej rodzinie. Chciała zapytać o wiele więcej spraw dotyczących jego prywatnego życia, ale gdy jechali, Jo-jo zmienił temat. Poczula na sobie jego wzrok, gdy mówił:

— Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś cię ujrzę. Przynajmniej nie oko w oko.

— Miałam właśnie jeden z takich dni, o których wszyscy bardzo chętnie zapominamy.

Potrzebowałam kogoś, kto pozwoliłby mi się od tego oderwać. Próbowałam zadzwonić do Sandy, ale ona wciąż jest w pracy. Tak jak Paul i moja mama. — Trzymała kurczowo kierownicę i powstrzymywała się przed spoglądaniem w jego stronę. — Prawdopodobnie jest ze mną coś nie w porządku, że zwracam się z tym do ciebie, ale po prostu wsiadłam w samochód i ruszyłam przed siebie. Zobaczyłam, że przede mną jest Osseo i pomyślałam o tobie. Chciałam... no... — brakło jej słów. Własne wyjaśnienia zdały się jej nagle pozbawione sensu.

Cieszę się — powiedział cicho i wskazał na biały dom z czerwonymi gontami okolony żywopłotem.

— To tutaj.

Nie widziała nigdy wcześniej tego miejsca w świetle dziennym. Był to uroczy wiejski domek z czasów ich babek.

Wewnątrz było dokładnie tak, jak pamiętała... Może z wyjątkiem tego, że piec został starannie wyczyszczony, a piekarnika nie było w zasięgu wzroku. Bluszcz wisiał we wschodnim oknie ponad kuchennym zlewem, a mały, czerwony, plastikowy zegar wskazywał trzecią pięćdziesiąt



pięć. Na kuchennym stole stała paczka chleba tostowego, a na środku porcelanowego stolika leżała kiść zielonych winogron. Nawet nie w misce. Połowa z nich pozbawiona została ogonków. Kuchnia była brzydka. Wszystko wskazywało na to, że ktoś mieszka w niej na co dzień. Spodobała się jej. Od czerwonych zasłon w kropki, które prawdopodobnie wisiały tu już od lat, zanim zmarła jego babka, do wytartych dziur w linoleum, gdzie niewątpliwie stała przygotowując setki posiłków. Winn pokochała to wszystko.

Jo-jo odkręcił słoik i nabrał trochę czegoś, co wyglądało jak dziwny krem, i zaczął wcierać to w dłoń. Odkręcił kuchenny kurek i małą, pomarańczową szczoteczką szorował najpierw kostki, potem paznokcie. Stała za nim, wpatrując się w niebieską koszulę mocno naciągniętą na ramiona, gdy mył się nad podwójnej długości staroświeckim zlewem nie posiadającym przegrody i z jednym tylko odpływem.

Mężczyzna pochylił się, otworzył drzwiczki szafki i wyjąwszy z niej kwadratową, żółtą miskę z plastiku zaczął napelniać ją wodą.

Spoglądając przez ramię zaproponował:

— Słuchaj, może lepiej by było, gdybyś poczekała w pokoju gościnnym? Czuj się, jak u siebie w domu. Umyję się szybko i w jakiś sposób pozbędę się tego zapachu smaru.

Odwrócił się do okna, odpinając jedną ręką brudną, niebieską koszulę. Zrzucił ją z siebie i powiesił na brzegu szafy. Biorąc do ręki kawałek mydła schylił się i zaczął nacierać nim twarz, szyję, ramiona i brzuch. Wyglądało, jakby się strasznie spieszył i nie miał zamiaru obchodzić się delikatnie z własną skórą.

Winn stała w przejściu prowadzącym do pokoju gościnnego i przyglądała się Josephowi. Gdy pochylił się nad miednicą, białe elastyczne spodenki wystawały ponad pas niebieskich dżinsów. Dostrzegła włosy pod jego pachą

i spoglądała zafascynowana, jak kędziorki z tyłu jego szyi stawały się wilgotne i zmieniały kolor na ciemniejszy. Odkręcił kurek, złożył dłonie, nabrał w nie wody i opłukał twarz kilka razy, parszcząc, by woda nie weszła mu do nosa. To było jak obserwowanie psa wybiegającego z rzeki i otrzępującego sierść. Woda rozbryzgiwała się wszędzie: w górę, na czerwone zasłony, na wytarte szare linoleum sięgające aż do szafki, i na jego brudną koszulę.

Wyprostował się, sięgnął tuż obok prawego biodra po ręcznik zaczepiony za jedną z gałek i wyprostował się wycierając twarz.

Gdy odwrócił się, ręcznik wciąż przykrywał policzek i usta. Zamarł spoglądając na nią znad ręcznika. Zapanowała kłopotliwa cisza. Dwie krople ześlizgiwały się po jego łokciach, dokończył więc wycieranie ramion i brzucha.

— Och, nie wiedziałem, że wciąż tutaj stoisz! Wodził oczyma za własnymi dłońmi, podobnie zresztą, jak ona. Winn zauważyła gęste, brązowe włosy pokrywające jego klatkę piersiową, twarde, krzepkie mięśnie, górne części ramion, z klepsydrowatymi przewężeniami w połowie długości. — Mówiłem ci przecież, że możesz pójść i poczekać w pokoju gościnnym. Jest tam nowa odbitka samochodu essex z 1920 roku. Ale brakło mi miejsca na ścianie, żeby go powiesić. Stoi oparty o sofę. Powiesz mi, co o nim myślisz.

Winn pomyślała, że każda kobieta, która wolałaby przyglądać się wehikułowi z 1920 roku, niż Jo-jo Dugganowi przy toalecie, musiałaby być kompletną idiotką! Zapach mydła o kolorze kości słoniowej roznosił się po całej kuchni. Prócz niego wyczuła jeszcze ten tajemniczy aromat podobny do woni ługu, który wyczuła u niego pierwszej nocy, gdy się spotkali. Pomyślała, że to zapach rozpuszczalnika, którym zmywał smar z rąk.

Nagle zdała sobie sprawę, że przyjechała do Jo-jo Duggana z więcej niż jednym kłopotem. Drzemał w jej

świadomości od momentu, gdy się spotkali i zaprzeczyć temu byłoby większym nonsensem, niż wychodzić za mężczyznę, do którego nie pasuje.

Oglądała essexę, gdy Joseph stapał po drewnianych schodach prowadzących do pokoju tuż za wejściem do kuchni. Idąc po dwa schody zawołał:

— Czy masz na myśli jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy pograć w racket-ball?

— Najlepiej w twoim albo w moim klubie! — odkrzyknęła, przebiegając wzrokiem po pokoju gościnnym. Dostrzegła notatnik z zapisanymi kilkoma liczbami, dwie stare, zniszczone poduszki do sofy, dwie puste puszki piwa Schiltz, porzuconą białą podkoszulkę — fragmenty życia prywatnego Jo-jo Duggana. Życia prostego człowieka pracy.

— W takim razie jedźmy do „Daytony”. Mam ochotę na przejażdżkę.

Podreptał z powrotem po schodach i pojawił się w drzwiach z granatowym swetrem i rakieta wsuniętą z jednej strony do rękawa. Ubrał się w czerwony dres do joggingu z białym lampasem wzdłuż rękawów i nogawek i białe skarpety. Adidasy trzymał w ręce.

Jej serce poruszyła eksplozja emocji.

— Jedźmy. — Znów oczarował ją swym elektryzującym uśmiechem. — Jestem cały twój.

Miała szalone, ożywcze uczucie, że mówi prawdę. Albo że mógłby być jej, gdyby powiedziała słowo.

## ***Rozdział VII***

„Daytona” to nowoczesny klub golfa, tenisa i racket-ballu znajdujący się na wzgórzu w pobliżu niewielkiej wioski o nazwie Dayton, pół godziny drogi na zachód od Osseo. Stara autostrada numer 52, która wiodła do tego miejsca, była kiedyś główną zachodnią arterią, ale odkąd zbudowano trasę międzystanową, ta stała się mało uczęszczana. Poznikały znaki, a odgałęzienia zarosły lasem i trawą, na której pasły się krowy.

Popołudniowe słońce oświetlało wzgórze dodając barw wiosennej zieleni i połyskiwało na powierzchni dróg. W powietrzu unosiła się przyjemna woń. Był to czas, gdy w ogródkach rozkwitały bzy, a jabłonie i śliwy obsypały się już kwieciem. Pachnący wiosną ciepły dzień tchnął powiew świeżości w serce Winn. Telepiąc się po kamienistej drodze w starym pickupie na popękany, starym siedzeniu obok Josepha nie miała najmniejszej ochoty podjąć nurtującego ją jeszcze przed chwilą tematu. Było zbyt przyjemnie, zbyt spokojnie jechać z tym człowiekiem, wsłuchując się w stare piosenki Jima Reevesa. Wydawało się jej, że Joseph jest zawsze otoczony przedmiotami z minionej epoki. I jeszcze ten wiatr dmuchający przez otwarte okno delikatnie rozwiewający opuszczone na ramiona włosy dziewczyny.

Winn obniżyła się nieco, oparła kolano o drzwiczki schowka w samochodzie i pozwoliła powiekom leniwie opaść. Joseph rzucił okiem na jej swobodną pozycję, ale nie powiedział ani słowa. Nie podjęła tematu, cokolwiek chciała

mu powiedzieć. Joseph był z tego zadowolony. Wyglądała zachwycająco w soczystozielonym stroju do joggingu, który włożyła, gdy zajechali do jej domu. Siedziała tak wtulona w siedzenie opierając kark na jego górnej części, z rozpuszczonymi włosami swobodnie opadającymi we wszystkie strony. Wiatr co chwilę delikatnie je dotykał, wpadając przez uchylone okno. Gdy Joseph wpatrywał się w kobietę, niespodziewany podmuch porwał jej kosmyk włosów i wcisnął w usta. Nie otwierając oczu zahaczyła je małym palcem i odgarnęła na bok. Gdy ponownie przykleiły się do jej ust, rozdzieliła je na części i założyła za ucho.

Otworzyła oczy i leniwie zwróciła głowę w stronę Josepha, by zorientować się, że się jej przygląda. Odwzajemniła jego uśmiech. W powrotnej drodze żadne z nich — jak i przedtem — nie odzywało się. Joseph leniwie oparł ręce na kierownicy i pogwizdywał przez zęby *Four Walls*.

I wtedy Winn odkryła coś cudownego: potrafiła wspornie dzielić ciszę z Josephem Dugganem. Znała przynajmniej tuzin mężczyzn — włącznie Paulem — którym usta się nie zamykały. Jakże przyjemnie było siedzieć obok tego, który uśmiechając się z zadowoleniem pozwalał, by jedynym dźwiękiem płynącym z jego ust była melodia Jima Reevesa.

Jo-Jo zastanawiał się, z jakim problemem przyszła do niego Winn, ale zdecydował, że nie zapyta. Powie, gdy będzie gotowa. Tymczasem robił to, co przez tak wiele nocy spędzało mu sen z powiek, nad czym zastanawiał się, czy będzie miał ku temu jeszcze okazję... Po prostu był z nią.

Minęli Diamond Lake i wkrótce rozklekotany, stary Chevrolet skręcił między dwa gigantyczne otoczaki. Potem pojechali długą, żwirową aleją pod budynek klubu, który stał na wierzchołku wzgórza. Niedaleko od nich zieleniły się naturalne granice pola golfowego. Przez otwartą szybę samochodu wdarł się zapach świeżo ściętej trawy i niedawno odwracanej ilastej ziemi z pobliskich farm. Na terenie

klubu znajdowały się stare stodoły i budynki gospodarcze zbudowane jeszcze przez poprzednich właścicieli tej ziemi.

Gdy Jo-jo i Winn wyszli z pickupa zatraskując za sobą drzwi, usłyszeli, że coś odpadło od podwozia. — Ojej! — zmartwił się mężczyzna, wykrzywiając twarz. — Ta sterta złomu nie jest tak dobra jak hynes.

— Nie chciałam pytać, co stało się z hynese... — Winn obeszła ciężarówkę dookoła i zobaczyła, że Joseph ukląkł na jednym kolanie i oparłszy dłonie na żwirze zagłębia pod brzuch samochodu.

— I to jest właśnie mój chleb powszedni. Nowe auta mnie nie bawią. Fascynują mnie tylko stare. — Sięgnął pod spód i wyjął kawałek metalowej rurki. — Mają swoje charaktery.

Gdy wyprostował się, na jego twarzy wciąż tkwił ten sam grymas. Winn uśmiechnęła się, spoglądając na skorodowany kawałek metalu w jego dłoni.

— Ten ma wyjątkowo kruchy charakter, nie uważasz?

Joseph wrzucił część na pakę ciężarówki, klepnął zaokrąglony tylny błotnik, jakby uderzał w zad konia, otrzepał dłonie i wziął Winn pod rękę.

— Mimo wszystko kocham ją równie mocno, jak wszystkie inne.

Ale mówiąc te słowa patrzył jej prosto w oczy. A ponieważ uśmiech przymrużający mu powieki uszczęśliwiał ją tak bardzo, a świadomie dwuznaczne stwierdzenie ogromnie ją oszołomiło, odwróciła wzrok i wpatrywała się w budynek klubu, do którego się zbliżali.

Przekroczywszy próg minęli salę jadalną z otoczonym kamieniami na środku pomieszczenia miejscem na ognisko. To tutaj właśnie znajdował ów bar, do którego przyprowadzili Sandy porwawszy ją podczas wesela. Joseph wpisał ich nazwiska do książki leżącej na biurku. Rozdzielili się, by pójść do szatni i sprawdzili sprzęt w otrzymanych torbach.

Czekał na nią w hallu przy korce numer dwa, oparty

o ścianę podeszwą buta, niecierpliwie podrzucając i łapiąc pudełko z piłkami. Podeszła do niego. Odwrócił się, a pudełko zaprzestało akrobacji. Zdawało się, że zapomniał w ogóle o jego istnieniu. Duggan pospiesznie zlustrował jej postać od stóp do głów, powoli oderwał biodra od ściany i uśmiechnął się.

Gdy stała blisko przed nim, na jego twarzy pojawił się nieokreślony grymas.

— Hej! — powiedział z zachwytem, aż oblała się rumieńcem.

Winn dręczyła ciekawość, jak wyglądały jego pozbawione odzieży nogi, ale pomyślała, że będzie rozsądniej powstrzymać się od oglądania ich. Jednakże wewnątrz kortu, gdy zamknęły się za nim drzwi, miała doskonałą okazję, by przyjrzeć się im nie tylko ukradkiem, w dodatku bez ryzyka zdekonspirowania. Zresztą pewnym było, że widząc się w tych skąpych strojach będą skrycie oceniać swoje ciała.

Kort był jasno oświetlonym pomieszczeniem o masywnych ścianach przykrytych dachem na wysokości dwudziestu stóp i drewnianą podłogą dwadzieścia na czterdzieści. Był jak cela: surowy, nagi, z przyczajonym gdzieś pod sufitem echem. Każdy dźwięk ulegał wzmocnieniu, gdy Joseph leniwie odbijał piłkę. Kiedy mówił, słowa dobiegały jakby zewsząd.

— Może na początek krótka rozgrzewka? — naciągnął niewielką, białą, skórzaną rękawiczkę.

— Jasne! Nie grałam od dobrych czterech tygodni. Potrzebuję tego.

Zawiązali paski rakiet wokół nadgarstków, poluzowali je nieco i ujęli w dłonie rakiety.

— Dlaczego cztery tygodnie? — spytał, odbijając niebieską piłeczkę.

— Nie miałam z kim ostatnio grać.

— A Silikonowy Klawisz?

— Robi to bardzo rzadko i tylko po to, by mnie zadowolić. Mówiłam ci przecież, że nie interesują go fizyczne rozrywki.

Joseph chwycił lecącą w powietrzu piłkę, przyjrzał się jej bez wyrazu, po czym odwrócił się twarzą do frontowej ściany.

Przez środek kortu biegły dwie czerwone linie odległe od siebie o pięć stóp. Wyznaczały pole zagrywki. Stali tuż za nim. Joseph odbił piłkę w stronę ściany tak, że wróciła bezpośrednio do niego. Udało im się wymienić piłkę jedenaście razy, zanim Winn popełniła błąd. Podniosła piłeczkę i odbiła do Josepha. Ten nonszalancko żonglował nią nad głową i podbijając rakieta rzekł:

— Jesteś całkiem dobra...

— Powiedzmy: niezła — odpowiedziała uczciwie. — Ale nie grałam z wieloma mężczyznami. Wy, chłopcy, macie zwykle zbyt wiele siły.

Odwrócił się znów do ściany.

— Zobaczymy.

Tym razem zafundował jej o wiele trudniejszy serw, podkrecając piłkę tak, że musiała przebiec za jego plecami i odbić ją tuż przy tylnej ścianie. Nie miał zbyt wiele czasu, by odwrócić się i obserwować jej ruchy, zanim piłka przeleciała tuż nad jego głową i uderzyła w boczną ścianę. Skoncentrowali się na salwie uderzeń, która trwała o wiele dłużej, niż poprzednio. Tym razem on zepsuł.

Winn musnęła wirującą piłkę końcem rakiety i spojrzała na Josepha zawiadacko.

— Jesteś całkiem dobry.

— Racja. Ale nie daję forów kobietom. — Jego brązowe oczy rozbłysły zuchwale.

— To właśnie lubię.

— Co, serw?

— Twój ruch.

Wywalczyła sobie prawo do pierwszego serwu. Gdy podchodziła do czerwonych Unii, oczy mężczyzn powędrowały wzdłuż jej nagich nóg. Z każdym krokiem mięśnie



twardniały i zaokrąglały się, ale gdy stanęła swobodnie, jej kończyny nabrały kobiecych kształtów. Ubrana była w soczystozielone sportowe szorty przewiązane białą tasiemką wokół kształtnych nóg. Jej luźna, biała bluza odsłaniała część talii. Nigdy nie widział jej ubranej w coś tak do niej pasującego. Biegała w białych tenisówkach z silną, elastyczną podeszwą. Spojrzał na jej kostki, podziwiając cienie miejsca, w którym ścięgno znikało w butach; tuż za małą, białą tasiemką. Jej pierwszy serw odbił się od ściany i przeleciał ze świstem po jego lewej stronie. Znow stracił punkt. W gruncie rzeczy poruszył się dobrą sekundę za późno: zaabsorbowały go jej kształtne kostki. Odwróciła się z dłonią opartą na biodrze.

— Hej, jesteś tam? Obudź się!

— Tak, tak... Podaj jeszcze raz.

Próbował trzy razy, zanim udało mu się odbić podkreconą piłkę tak, że uderzyła od razu o podłogę i o frontową ścianę, po czym poszybowała w ich kierunku tak ulegle, jakby to dziecko pchnęło ją swoimi pucułowatymi rączkami. Winn odwróciła się szybko i stanęła twarzą w twarz z Jo-jo. Uniosła jedną brew i krzyknęła:

— No, no... Ktoś tu zaczyna grać na serio.

— A ktoś inny traci serw.

Stał teraz tam, gdzie przedtem. Winn spojrzała na niego z zainteresowaniem. Miał na sobie białe tenisowe szorty, nienagannie uprasowaną granatową podkoszulkę z reklamą baru Dicka na plecach. Wyglądała, jakby ktoś pozbawił ją rękawów i dolnej połowy za pomocą ogrodniczego sekatora. Pomiedzy granatową koszulką i białymi szortami widać było sześć cali nagiego torsu jak na maj zadziwiająco opalonego, podobnie zresztą jak i muskularne nogi powyżej skarpet sięgających do połowy łydki. Spojrzała na skarpety, z których jedna miała złoty pasek, a druga — purpurowy. Piłka przeleciała tuż koło jej głowy. Zignorowała ją zupełnie i wybuchła śmiechem.

— No i kto teraz śpi?

— To nie fair! To wszystko przez te twoje skarpety. — Jej śmiech odbijał się echem od ścian. Joseph stanął na piętach unosząc palce nad podłogę i przyjrzał się swoim owłosionym nogom.

— Czy coś z nimi nie w porządku?

— Nie pasują do siebie. — Wciąż się śmiała.

— Eee, tam! Nigdy nie pasują! Nie w domu, w którym trzech facetów pierze własną bieliznę.

Wystarczy, że są czyste. Nie muszą pasować. — Zrobił tajemniczą minę. — Czy mogłabyś w końcu spoważnieć i przestać się śmiać z mojej bielizny?

— No to strzelaj! — odpowiedziała. Zaangażowali w grę serca i dusze. Już po dwukrotnej wymianie serwów zapomnieli, że planowali przyglądać się sobie. Rywalizacja pochłoneła ich bez reszty. Sięgnąć po piłkę. Napiąć mięśnie. Dobiec. Zapomnieć o wszystkim.

Pasowali do siebie. Jeśli Joseph był silniejszy, ona nadrabiała ten brak techniką. Gdy on zdobywał punkty pędząc do — zdawałoby się — nieosiągalnej już piłki i odbijał ją jednak tuż przy tylnej ścianie, Winn zadawała śmiertelny cios z tak lekarską precyzją, że on musiał skapitulować nawet poświęciwszy się padając na podłogę. Jo-jo miał nogi dłuższe o jakieś cztery cale, Winn za to była szybsza. On wypracowywał trudne uderzenie w górę, aby piłka odbiła się od sufitu, przedniej ściany i podłogi, i pozostała poza zasięgiem partnerki. Ale Winn potrafiła doskonale wyczuć kierunek strzału i zdążyć, choć była zaledwie pięć stóp przed ścianą. Podcięta rakietą piłka opadała miękko na podłogę tuż przy ścianie tak, że zaczynała się toczyć, nie dając Dugganowi szansy na uratowanie punktu, choćby nie wiadomo jak szybko biegł.

Delektowali się radością doprowadzania swych ciał do granic fizycznego wysiłku. Akustyczne pomieszczenie wypełniało się echem pisków ich gumowych podeszew o parkiet, uderzeniami piłki, ich sapaniem, czasem pomrukiwa-

niem, czasem odgłosem uderzenia rakieta o podłogę. Napinali mięśnie gibkich kończyn z całych sił, wysilali swe ciała tylko po to, by w nagrodę osiągnąć piłkę. I zadawali piorunujące ciosy, pędzili na oślep, czasami śledzili oczyma przelatującą łukiem nad ich głowami piłkę, nie wiedząc do ostatniej sekundy, czy uderzy w ścianę, czy upadnie trzy cale przed nią. Ich koszulki zwilgotniały od potu, a skóra połyskiwała. Włosy Josepha pokręciły się jeszcze bardziej, a Winn — wyprostowały. Śmiali się, droczyli z sobą, krzyczeli: „A nie mówiłam!, albo czasami nawet „A niech cię...!”

Zwycięzył 21 do 20.

Bez tchu upadli na plecy na środku kortu. Przez zamknięte powieki docierał do ich źrenic fluoryzujący blask okratowanych jarzeniówek wiszących nad ich głowami. Przed ich oczyma wybuchały tysiące gwiazd. Rozdygotane serca zdawały się tłuc w chłodne deski pod ich plecami. Rozprostowali nogi. Zmęczone ramiona bezwładnie opadły na boki. Może tak właśnie wygląda siódme niebo? Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Leżała zaledwie pięć stóp od niego, a ich rozluźnione dłonie prawie się stykały.

— Hej, Gardner! — Otworzyła jedno oko i spojrzała na niego. — Dobra jesteś.

— Ty też. Ale następnym razem dołożę ci, chłopczyku!

Jego śmiech odbił się od ścian, jak piłka po dobrze wykonanym serwie.

— Cała przyjemność po mojej stronie — zaoferował się zamykając oczy, by nadal zażywać relaksu. Nastąpiła minuta dzwoniącej w uszach ciszy, przerywanej jedynie ich nierównymi oddechami. Winn uniosła koszulkę, ukazując nagi brzuch, i położyła na nim rękę. Joseph zgiął kolano.

— O, Boże... Potrzebowałam tego. — Ciche wyznanie powróciło do nich po trzykroć.

Joseph znów odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

— Dlaczego?

Przypomniała sobie nagle o Meredith Emery.

— O, Joseph... Zrobiłam najgorszą rzecz, jaką może uczynić fizykoterapeutka. Zaangażowałam się emocjonalnie w tragedię jednej z pacjentek...

— Kogo? — Obserwował profil kobiety wpatrującej się w światła pod sufitem.

— Nazywa się Meredith Emery. Ma dziesięć lat. — Przełknęła ślinę. — Jest ofiarą wybuchu gazu.

Joseph dotychczas nie wiedział, że fizykoterapeuci zajmują się ofiarami pożarów, i choć miał szczerą ochotę zapytać ją o to, mądrze zachował milczenie.

— Ona ma takie ogromne, brązowe oczy, które... które nie mają rzęs, ani brwi, i tak strasznie poranioną twarz. Nie ma w ogóle włosów. Ale pokazywała mi swoje szkolne zdjęcia z okresu, gdy była śliczną dziewczynką z czarnymi włosami sięgającymi aż do ramion przerwała, nabrała w płuca powietrza i kontynuowała: — Tańczyła w balecie, trenowała gimnastykę. A teraz nie potrafi sięgnąć uchem do ramienia, bo jej skóra straciła zupełnie elastyczność. Musi nosić specjalny kołnierz podtrzymujący brodę. — Łza zakręciła się w kącie oka Winn i spłynęła po jej skroni, znikając wśród kropeł potu.

Joseph przysunął się bliżej i ujął w dłoń jej opadającą rękę. Zacisnęła na niej palce tak mocno, że poczuła, jak pierścionek zaręczynowy wżyna się jej w dłoń. Mówiła dalej łamiącym się głosem.

— A następnego lata cała jej rodzina wybiera się do Disneylandu i... i... — nagle Winn zasłoniła ręką oczy i zaczęła łkać tak głośno, że echo porwało jej szloch i zaniósło wysoko, pod sufit kortu.

Joseph odwrócił się na bok, podparł głowę ramieniem i spytał:

— I...?

— I ona... ona nie pojedzie, bo... bo... umrze.

— Zniosła się niepowstrzymanym szlochem. Próbowwała odwrócić się od Josepha, ale on przytrzymał ją ramieniem.

— Winn... Och, Winn! — Pomógł jej usiąść tak, że ich biodra zbliżyły się. Spojrzeli sobie w twarz. Joseph otulił ją ramieniem, i przytulając do swej piersi głaskał jej wilgotne włosy, chcąc ją uspokoić.

— Och, Joseph! Czasem nie potrafię zrozumieć, dlaczego...

— Chciałbym móc ci odpowiedzieć, ale nie umiem znaleźć żadnego rozsądnego wytłumaczenia dla takich strat. — Przytulił ją jeszcze mocniej, gładząc tył głowy. — Boże... Dziesięć lat! — On też zdawał się być przejęty nieszczęściem dziewczynki.

— A ona przeszła już przez takie straszne piekło. Ból, rany i... i wciąż walczy ze mną, gdy mówię jej, żeby... Ona nie wie, że cała ta terapia nie ma sensu, bo... bo w chwili, kiedy kuracja mogłaby dać... efekty, ona nie będzie już żyła. Nie ujrzy już swoich biegających jak kiedyś nóżek. — Joseph pocałował ją w czoło, odsunął ją lekko od siebie, choć wolałby czuć ciepło jej piersi na swoim ciele.

— Czy jej rodzice wiedzą o tym?

— Nie... nie wiem. Dziś odmówiły posłuszeństwa jej nerki.

— A jacy oni są? Bardzo ją kochają?

— O, tak! Uwielbia swoją matkę i... i promieniuje radością, kiedy słyszy o ojcu. Przynajmniej jej oczy wyglądają, jakby płonęły radością. Ale to jest taki... taki okropny widok, gdy są pozbawione rzęs. Joseph odchylił się, ujął twarz kobiety w obie dłonie i odgarnął włosy z oczu.

— A może to właśnie chodzi o... o miłość? Dziecko było kochane i dawało tę miłość innym. Jej życie miało więc sens, prawda?

Winn zalała się łzami. Joseph dotknął palcami jej wilgotnej i błyszczącej skóry pod oczami. „O, Boże!,

pomyślała. Dlaczego Paul nie zachował się w ten sposób, gdy go potrzebowałam?"

— Naprawdę tak myślisz, Joseph? — usiadła wyprostowana.

Spojrzał w jej smutne, zażawione oczy otoczone posklejanymi rzęsami. Potem podniósł wzrok na wilgotne włosy kobiety i przytknął usta do jej czoła.

Spotkawszy jej wzrok zapewnił:

— Tak. Tak myślę. Musi być przecież jakaś przyczyna tego wszystkiego. A jeśli nie jest nią miłość, cóż innego mogłoby ją zastąpić? Ty przecież również kochasz to dziecko! A ponieważ tak jest, zwróciłaś się do mnie, kiedy musiałaś się wypłakać. Myślę, że mógłbym bez problemu zakochać się w tobie. Może to jest właśnie ta przyczyna? Żebyśmy mogli być razem...

— Joseph, nie wolno ci tego mówić! — rzekła cicho, bez cienia nagany. Jej pełne bólu niebieskie oczy spojrzały badawczo w ciemnobrązowe źrenice Duggana.

— Ale to prawda.

— Ale nie zapominaj, że jeszcze wciąż jest Paul.

— Ach, tak! Paul... — kajdany jego dłoni i wzroku zacisnęły się jeszcze mocniej. — Dlaczego więc nie jesteś teraz z nim i nie płaczesz wtulona w jego pierś? Przecież to właśnie on powinien koić twój ból.

Wyrwała się i podgięła kolana obejmując je rękami.

— Paul nie potrafi stanąć twarzą w twarz z ludzką śmiercią czy nawet chorobą. Dla niego doskonałość jest ostatecznością. Niedoskonałe ciała, którymi ja się zajmuję, wręcz go odrzucają. Nie lubi o tym nawet rozmawiać. — A czy tym razem choć spróbował?

— On... Ja... Nie. Mówiłam ci przecież, że nie było go w domu, gdy chciałam się z nim skontaktować. Ale w pierwszym dniu, gdy powierzono mi Merry, byłam bardzo przygnębiona. **1** wtedy do niego zadzwoniłam.

— No i co on zrobił?

— Porozmawialiśmy o tym troszkę.

— Przyjechał?

Rzuciła mu ostrzegające spojrzenie.

— Nie próbuj go oceniać, Joseph. On ma swoje własne zalety. Być może inne, niż ja czy ty, ale mimo wszystko są to zalety.

— Takie jak...?

— Inteligencja, analityczny umysł i upór. Mam na myśli to, że gdy Paul zdecyduje się zrobić coś, to to robi. Nawet gdyby miało mu to zająć miesiąc czy rok.

— Na przykład coś takiego, jak zaopatrzenie cię w dom i meble?

— Chociażby. Doskonale zdaję sobie sprawę, że jestem w błędzie, pragnąc...

— Przestań, Winn!

— Co mam przestać? — spytała zdziwiona.

— Racjonalizować swoje stosunki z nim! Przecież to śmierdzi i ty o tym doskonale wiesz!

— To wcale nie śmierdzi! Układa nam się wspaniale.

— Ach, pewnie! To właśnie dlatego przybiegłaś dziś do mnie, nie do niego. Z tego, co mówisz, ten facet musi mieć silikonowe klawisze wstawione w miejsce uczuć!

Jej twarz nagle zmieniła kolory.

— Przesadzasz, Joseph!

— Tylko wskazuję ci to, co sama doskonale wiesz, ale do czego boisz się przyznać. Przecież wy dwoje nie macie z sobą nic wspólnego... Może z wyjątkiem tego przeklętego domu, w którym on mieszka. W dodatku bez ciebie. Jeśli byłabyś moją narzeczoną, nie pozwoliłbym ci flirtować z innymi mężczyznami podczas wesela. — Ja nie... — Ale Joseph niewzruszenie ciągnął dalej:

— I twoje tabletki antykoncepcyjne leżałyby w mojej sypialni! I twoje majtki leżałyby tam na podłodze! Obok moich! Codziennie, gdy wracalibyśmy z takiego pobudzającego treningu, jaki zafundowaliśmy sobie dzisiaj.

Próbowała szybko wstać, ale chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał w miejscu.

— Winn, siedź spokojnie! — rozkazał, odmawiając uwolnienia jej. — Jak, do diabła, potrafiłaś cieszyć się i przezwyciężać trudności z kimś takim, jak on?

Przez chwilę wszystko w niej wrzało. Oczy miała zamknięte z wściekłości. Zacisnęła pięść i w pewnym momencie wyszarpnęła dłoń z jego uścisku.

— Moja matka! — wysyczała przez zaciśnięte zęby. Oczy Josepha rozwarły się w zdziwieniu.

— Twój kto?

— To moja matka mnie z nim poznała. — Winn opuściła oczy, czując się nieswojo wyznając tę prawdę.

— Mów dalej.

— On prowadził kursy komputerowe, na które uczęszczała. I oboje zainteresowali się cobolem i fortranem.

Joseph skrzywił twarz.

— Czym?

Niecierpliwie machnęła ręką.

— Ach, to są jakieś języki komputerowe o wielkich możliwościach... No i wtedy powiedziała mi, że spotkała cudownego mężczyznę... — Winn przerwała i wzruszyła ramionami.

— Dlaczego więc nie wyszła za niego, zamiast pchać ciebie w jego ramiona?

Winn westchnęła. Kąciki jej ust opadły powoli. Spojrzała na Josepha. Nieświadomie dotknął jej czułego miejsca. Jakże wiele razy spychała tę myśl na dno świadomości wierząc, że sprawa jest zbyt delikatna, by pozwolić sobie na myślenie o niej, a już na pewno nie na roztrząsanie z kimś innym.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego, Joseph!

— Przepraszam. Czyżbym cię zdenerwował?

— Zdenerwowałeś? Przecież to ty cały czas się denerwujesz!

— Nie ma się czego wstydzić! Nie jesteś pierwszą kobietą, która zgodziła się poślubić kogoś, ponieważ jej rodzice tak zdecydowali.



— Nie dlatego wychodzę za niego! — krzyknęła trochę zbyt głośno.

— To w takim razie dlaczego? Tak bardzo zaimponował ci seksualnie? — Wydeła usta, ale on, nie zrażony, kontynuował. — Przecież to oczywiste, że nie zakochałaś się w nim, ponieważ dzieli z tobą zainteresowania. Albo cele czy smaki. Powiedziałaś mi już wystarczająco dużo o nim, abym mógł zorientować się, że ty jesteś jak para wodna, on jak lód. Oba powstały z tej samej substancji, ale nie oznacza to, że choć trochę są do siebie podobne. Winn, przecież wiesz to doskonale!

Skrzyżowała ramiona na kolanach i oparła na nich głowę.

— Nie przyszłam tutaj po to, żeby usłyszeć od ciebie rzeczy, które przygnębią mnie jeszcze bardziej, niż tamte. Ale muszę przyznać, że świetnie ci się to udaje.

— Przepraszam, Winn. — Położył dłoń na jej opuszczonym ramieniu, ale strząsnęła ją. — Nie chcę cię zasmucać... Ale mimo wszystko: jedyną rzeczą, o jakiej wiem, a która wychodzi wam razem nieźle, jest taniec. A mimo to on opuszcza cię, abyś robiła to ze mną... A poza tym myślę, że to ty powinnaś dostrzegać luki w waszych stosunkach, nie ja.

Podniosła głowę zmęczona.

— Czy ty niczego nie rozumiesz? Nasz ślub ma się odbyć za sześć tygodni.

Utkwił wzrok w jej twarzy.

— Tak... Szkoda, prawda?

Winn podskoczyła wreszcie i stanęła. Ze złością pochyliła się do przodu, by podnieść z podłogi niebieską piłeczkę. Z pasją zaczęła odbijać ją rakieta, odsłaniając tym samym kształtne plecy.

— Chcesz zagrać jeszcze raz, czy nie?

Spojrzał na zgrabne plecy i uniesione ramiona. Na jej twarzy malował się wyraz irytacji. Rozzłościła się jeszcze bardziej. Na siebie. Bo sama przed sobą nie chciała

przyznać się do błędu, jaki popełniła, wybierając mężczyznę swego życia tylko dlatego, że istniały jakieś towarzyskie i rodzinne zobowiązania.

— Oczywiście, że chcę. Zobaczymy, kto komu dołoży! — Stała za Unią boiska, gdy jak grom spadła na nią jego odpowiedź, którą wypowiedział tuż nad jej uchem. — Wygrałem pierwszego seta, Gardner. Teraz mój serw.

Czuła się słusznie ukarana. Zmieszała się trochę. Znała mężczyzn, którzy honorowali damskie przywileje również na korcie, pozwalając paniom serwować pierwszym. Zawsze ją to denerwowało. Lubiła wygrywać dzięki swoim własnym zasługom albo po prostu przegrywać. Jak Joseph śmiał sugerować jej, że próbowała właśnie wykorzystać owe przywileje?

Bez słowa wróciła na boisko, oddając mu serw. Gdy pierwsza piłka poszła w ruch, zdążyła musnąć trzy powierzchnie, zanim Winn dosięgła jej w ostatnim momencie. Uderzyła z całych sił. Zacisnęła zęby ze zmęczenia. Joseph zrozumiał: Winn była poruszona, ponieważ usilnie próbowała po kłótni przejąć inicjatywę w swoje ręce. Gdy odbijał piłkę przygotowując się do serwu zobaczył, że dziewczyna trzyma raketę w pozycji ofensywnej; pochylona do przodu kołysze biodrami w obie strony. Z postawy i z grymasu jej twarzy wyczytał ogromne napięcie.

Im dłużej grali, tym lepiej im to wychodziło. Szli łąb w łąb do piętnastu punktów, aż Winn poczuła, że jej płuca za chwilę eksplodują. Dopadł ją deUkatny skurcz w prawej nodze, ale otrząsnęła się z niego, przyrzekając sobie, że Joseph Duggan nie może wygrać tego seta za żadne skarby świata.

Tymczasem on posłał silną piłkę tuż przy tylnej ścianie tak, że nie miała szans jej odebrać.

Wykonała jednak niesamowity, zdradziecki strzał i pozostawiła Josepha zdeorientowanego po przeciwnej stronie kortu, sam na sam z odbijającą się od ściany piłką.

Przy dziewiętnastym serwie pot spływał im po nogach,

plecach i brzuchach. Miała przesiąknięty biustonosz, a spodenki szczelnie przylegały do skóry. Jego koszula była tak czarna od potu, że Winnie zastanawiała się, po co zadał sobie trud wytarcia nią równie spoconego czoła.

Zaserwowała z potężną siłą tak, że piłka przeleciała z prędkością błyskawicy, by zdobyć dla niej dwudziesty punkt.

Joseph atakując wyciągnął się jak struna i wykonał lamparci skok, zbierając piłkę nie dalej, niż ćwierć cala od ściany. Ale zaabsorbowany osiągnięciem piłki zapomniał zamortyzować skok i z całym impetem uderzył w ścianę. Odbił się od niej i wylądował z głuchym odgłosem płasko na plecach.

Cofnął się, zasyczał, ukazując zęby, złapał się za prawe kolano i zaczął wić się z bólu.

Winn rzuciła raketę i podbiegła, klękając tuż przy nim.

— Joseph, przepraszam! O, Jezu, co ci jest?! To kolano? Pozwól mi...

Odwrócił się do niej, cofając się jeszcze bardziej. — Joseph, pokaż to! Zobacz, czy możesz je wyprostować.

Czując palce dziewczyny na swoim ramieniu zmusił się do leżenia na plecach. Uwolnił kolano i nadal trzymał je podgięte, opierając stopę na podłodze. Ręce kobiety uchwyciły tył łydki, potem dłoń spoczęła na jego goleniu, zmuszając go do rozprostowania nogi. Joseph łapał powietrze unosząc klatkę piersiową. Winn położyła nogę na chłodnej podłodze i badała ją uważnie miejsce po miejscu. Poruszała nią w przód i w tył, delikatnie kontrolując sprawność jego mięśni i torebki stawowej.

Początkowy ból ustał nieco.

— I co pani o tym myśli, doktorze? — spytał.

— Myślę, że dobrze by było obłożyć to lodem. I to zaraz. A potem, zależnie od samopoczucia przez następną godzinę, zadecydujemy, czy trzeba ją prześwietlać.

Wstała, podając mu rękę.

— Możesz na niej stanąć?

Mógł, ale kulał. Wsparł się na jej ramieniu i pokuśtykali razem do przebieralni.

— Jeśli będziesz brał prysznic, to koniecznie zimny, nie gorący! Spotkamy się tutaj zaraz, jak skończysz. — Joseph pchnął właśnie drzwi przebieralni. — Joseph! — Zatrzymał się i spojrzał na nią przez ramię. — Naprawdę mi przykro.

— To nie twoja wina, Winn. Grałem bezmyślnie, mięśniami a nie głową, więc dobrze mi tak.

Pomyślała, że dobrze by było, gdyby nie prowadził samochodu, by nie nadwreżył chorej nogi wciskaniem pedałów. Przynajmniej dopóki nie dowiedzą się, jak poważnie jest kontuzjowany. Winn próbowała uruchomić starego gruchota trzy razy, zanim udało się jej wyprowadzić go z parkingu.

Wehikuł śmiał się z niej i skrzeczał, a kiedy próbowała zmienić bieg z jedynki na dwójkę, szarpnąwszy uderzył ich w plecy starymi siedzeniami.

Josepha rozbawiło to do łez. Gdy Winn usłyszała jego śmiech, rozluźniła napięte dotąd niepewnością mięśnie i zawtórowała. Namówiła go, by pozwolił się jej wziąć do North Memorial Medical Center, chociaż tak bardzo się upierał, że nie potrzebuje pomocy ludzi w białych fartuchach.

— W porządku. Mam wobec tego inny plan. Ale będziemy musieli się skradać.

— Skradać?

— Pojedziemy na oddział fizykoterapii. Nie powinno tam być tłoku o tej porze. Zrobimy zimny okład na twoim kolanie i zobaczymy, czy będzie potrzebowało rentgena.

— Dlaczego musisz się skradać w swojej własnej pracy?

— Bo mogłaby przestać być moja, gdyby mnie złapali. To szpital odpowiada za używanie sprzętu i jeśli nie robisz tego oficjalnie, nie ponoszą odpowiedzialności, jeśli stanie ci się coś w czasie terapii. Ale nic się nie stanie. Dopilnuję tego.

— A jeśli cię złapią?

Posłała mu zawadiacki uśmiezek.

— Będiesz mi dłużny do końca życia.

Chwilę później zatrzymali się przy wejściu od ulicy Abott. Podjechali pod tylne drzwi używane do wprowadzania pacjentów. Jednak o siódmej wieczorem nikogo przy nich nie spotkali, podobnie, na całym oddziale fizykoterapii.

Gdy Winn wysiadła z ciężarówki, Joseph położył dłoń na siedzeniu obok niej.

— Winn?

Zatrzymała się i odwróciła do niego.

— Przepraszam. Miałś rację: przesadziłem.

Jezu, ten człowiek miał oczy, w które nie mogła przestać się wpatrywać.

Zobaczymy — odpowiedziała dwuznacznie, a drzwi ciężarówki zatrzasnęły się za nią.

W pomieszczeniu rehabilitacyjnym było cicho i ciemno. Joseph stanął w drzwiach, zainteresowany każdym szczegółem choćby z tego względu, że był to jej świat. Chciał wiedzieć o nim tak wiele, jak tylko to możliwe.

Pokój wyglądał jak wąska sala gimnastyczna z oknami od sufitu do podłogi. Wzdłuż ścian rozstawione były przeróżne sprzęty do ćwiczeń: dwa komplety przenośnych drewnianych schodów z poręczami, dwa lecarskie rowery, lodówko-zamrażarka, niebieskie maty leżące na niskich stołach i na podłodze i rozmaite najzwyklejsze, drewniane krzesła.

Poprowadziła go na drugi koniec pokoju.

— Usiądź tutaj — rozkazała. — Na stole.

Stół był niższy od zwykłego krzesła. Taki, żeby łatwo można było się na nim położyć. Stała za nim i poleciała mu przyłgnąć plecami do blatu. Splótł palce za głową, jakby miał zamiar ćwiczyć mięśnie brzucha. Spojrzał wzdłuż swojego torsu, by ujrzeć, jak Winn rozwiązuje i zdejmuje swe tenisówki.

Potem czyste skarpety, które włożyła pół

godziny temu. Joseph ubrany był w czerwony strój do joggingu z sześciocalowymi zamkami błyskawicznymi na kostkach. Winn odpięła właśnie prawy z nich, podciągnęła nogawkę za kolano, aż ta napięła się mocno na jego prężnym udzie i tam pozostała.

Skoncentrowała się wyłącznie na mięśniach poniżej kolana. Ze znanstwem ujęła je w dłonie i delikatnie badała.

— Rozluźnij się — rozkazała. — Wszystkie mięśnie masz napięte, kiedy trzymasz głowę tak uniesioną. Nie zamierzam cię przecież skrzywdzić.

Opadł płasko na plecy i odpowiadał na wszystkie pytania. Mówił, co czuje przy każdym dotyku. Winn miała delikatne palce i miękkie dłonie. Sprawdziła mięśnie pod kolanem, potem samo kolano, aż przeszła do uda. Joseph próbował skoncentrować się na niewygodach, ponieważ dotyk jej dłoni był niezwykle przyjemny, a on miał trudności w rozróżnieniu terapeutki od kobiety. Jej dłonie posuwały się wzdłuż pokrytej włosami powierzchni nogi aż do górnej części uda mężczyzny.

I w końcu, gdy pomyślał, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, gdyż może poddać się cudownemu uczuciu, jakie wywoływał jej dotyk, przestała.

— To nie ścięgno ani kolano. Myślę, że to triceps surae.

— Co takiego?!

— Triceps surae. Mięśnie w dolnej części nogi. Mogłeś sobie naciągnąć jeden lub kilka, gdy upadłeś po uderzeniu o ścianę.

— Skąd to wiesz?

— Z trzech źródeł: ból, ciepło — to miejsce jest gorące... — dotknęła delikatnie czułego punktu — i opuchlizna. Masz wszystkie trzy.

Podeszła do lodówki w chwili, gdy on leżał bez ruchu myśląc o zupełnie innej opuchliznie, do której tak usilnie, choć nieświadomie, go zachęcała. Winn wróciła z płaskim zawiniątkiem wyglądającym jak miniaturowy napompowa-

ny materac i starannie owinęła je wokół nogi tuż pod kolanem i zabezpieczyła plastrem.

— Przez pierwsze czterdzieści osiem do siedemdziesięciu dwóch godzin lód jest najlepszym lekarstwem. Ale potem, jeśli nie przejdzie, zastosujemy ocieplanie.

— My? Czy to znaczy, że będę się z tobą widywał przez następnych kilka dni?

Natychmiast wycofała swe dłonie z jego nogi. Potem zdała sobie sprawę, co zrobiła i pozwalając swoim ręką bezwładnie opaść na boki usiadła na krawędzi stołu tuż obok niego, zakładając nogę na nogę.

— Jeśli noga cię boli — oczywiście, będę szczęśliwa, jeśli będę mogła nad nią popracować i oszczędzić ci kosztów leczenia. Ale jeśli nie...

Joseph sięgnął dłonią po jej rękę. Ich palce splotły się.

— A jeśli nie?

Przyjrzała mu się w milczeniu. I jakby znikąd przyszło wyzywające mrugnięcie jednym okiem, które tak dobrze znał.

— Joseph, jesteś szalenie pociągającym mężczyzną... — pogłaskała kciukiem jego dłoń. — Ale powiedz mi, ile razy w życiu kobieta spotyka atrakcyjnego mężczyznę, któremu musi się przeciwstawić? Odkąd jestem zaręczona, nie tęsknie już do spotkania na swej drodze mężczyzn, którzy podnoszą moją temperaturę o stopień czy dwa. To musiało się stać, i ważne jest, jak zareagowałam na to spotkanie. Nie zaprzeczam, że... odpowiedziałam na twoje wyzwanie. Jesteś bardzo przekonującym mężczyzną, Joseph. I diabelnie seksownym. Ale ja już planuję małżeństwo i jestem tym teraz bardzo zajęta. Nie byłabym w stanie wymienić wszystkich ludzi i sumy pieniędzy, jaka jest w to zaangażowana. Moja matka... — jej kciuk znów pogłodził jego dłoń. — Cóż — moja matka jest bardzo gospodarną osobą i zawsze dba o zabezpieczenie. Inwestuje, oszczędza i planuje na przyszłość. Ale tym razem odrzuciła rozsądek

i idzie na całość. Nic nie jest zbyt dobre albo za drogie dla Pau... — zorientowała się w porę i dokończyła: — dla nas. Ale Joseph usłyszał to zająknięcie.

— Winn, chcę tylko, żebyś się upewniła, że nie popełniasz żadnego błędu.

Puściła jego rękę, położyła dłonie na kolanach i schyliła się do stóp.

— Nie istnieje nic pewnego. Ale wiem, że matka będzie szczęśliwa, gdy wyjdę za Paula, a on będzie dla mnie nieziemsko dobry. I będę miała zabezpieczenie, którego zawsze chciała dla mnie moja matka.

— To znaczy: takie, którego ona nigdy nie posiadała? — spytał.

Winn pomyślała przez chwilę, zanim odpowiedziała.

— Tak. Nie jest zbyt trudno przejrzeć jej plany. Zabezpieczenie to dla niej najważniejsza dewiza.

— Z powodu twojego ojca? — Nigdy nie wspominała

o swoim ojcu.

— Tak.

— Opuścił ją?

— Nie, nie było w tym nic z opuszczenia. Nigdy nie został wystarczająco długo, by ją opuścić. Zaszła w ciążę, gdy chodzili ze sobą, potem zniknął i nigdy nie dostała już od niego żadnej wiadomości. Nie było jej łatwo wmontować we mnie część siebie. Nauczyć mnie dawać sobie radę i nie ufać nikomu prócz niej. Jest wojownicza. Nauczyła się tego w szkole biznesu. Została uznaną prywatną sekretarką, ale nie skończyła na tym. Gdy czasy zaczęły się zmieniać, wprowadzono komputery, nie spoczęła na laurach ani nie stwierdziła, że nie ma zamiaru korzystać z tych wytworów nowoczesności.

Postanowiła nauczyć się, jak ich używać. I to właśnie wtedy Paul został jej nauczycielem.

Znów zamilkli. Ale nie była to tym razem błoga cisza. Joseph chciał jej powiedzieć, że jest głupia.

Ona chciała powiedzieć, że powinien się zająć własnymi sprawami.

W końcu podjęła neutralny temat.



— I co z twoją nogą?

— Zdrętwiała.

— To dobrze. Pozwól mi ją obejrzeć.

Zdjęła zimny okład i obejrzała opuchnięte miejsce. Kazała mu poruszać nogą i stanąć na niej.

Stwierdziła, że nie ma złamanych kości, a tylko naciągnięte mięśnie.

— Myślę, że nie będziesz potrzebował prześwietlenia. A co czujesz, gdy chodzisz?

— Lepiej, niż przed okładem.

— To dobrze. Chciałbyś zobaczyć pomieszczenie ze zbiornikiem, gdzie pracuję z Merry?

— Bardzo chętnie.

Winn oprowadziła go po oddziale. Ale przez większość czasu Joseph myślał o czymś zupełnie innym, niż zbiornik Hubbarda, wyciągi czy mechaniczne ścieżki. Zastanawiał się, dlaczego ona potrafi być tak wrażliwa na potrzeby innych, a zupełnie nieczuła na własne.

Gdy wrócili do jego domu, próbował ją pocałować, ale odepchnęła się ręką od jego piersi i odwróciła się.

— Nie, Joseph. Już zdecydowałam.

— Czy mogę do ciebie zadzwonić?

— Nie.

— Myślę, że robisz karygodny błąd. Myślę, że ty i ja bylibyśmy...

— Nie mów tego.

— Ty uważasz, że to tylko wiosenne zauroczenie, ale ja nie.

— Do widzenia, Joseph. Mam nadzieję, że szybko wyzdrowiejesz. — Odwróciła się w stronę samochodu i podbiegła kilka kroków, zanim mogła zatrzasnąć się w swoim schronieniu. Jakby to liche połączenie metalu i szkła mogło odizolować ją od potężnej siły, która przyciągała ich do siebie.

Patrzył przez chwilę, gdy odbiegała, zrobił nawet krok w stronę samochodu. Wydawało mu się, że w jej oczach błysnęły łzy. Ale zanim zdążył dojść, nacisnęła pedał gazu i odjechała w dół ulicą.

## ***Rozdział VIII***

Już od trzech tygodni w szufladzie Winn leżały różowe zaproszenia. Etykieta weselna wymaga, aby były rozesłane cztery do sześciu tygodni przed ślubem. Miała również listę adresów gości z obu stron. Ale zawsze pojawiały się jakieś inne drobiazgi albo jakaś przeszkoda, gdy siadała, by zaadresować koperty.

„Czy zwlekam dlatego, że uważam, iż Joseph ma rację?”

Ale ta sugestia przeraziła ją. Próba przerwania tej rosnącej fali gorączkowego planowania, która zbliżała się niepowstrzymanie, byłaby jak wygaszenie wulkanu. Plany pochłaniały czas, siłę i w miarę zbliżania się do wyznaczonego dnia przypominały o nieuniknioności biegu zdarzeń. Winn stwierdziła rozczarowana, że planowanie ślubu składało się ze zbyt wielu nieważnych detali, które przesłaniały najistotniejsze wydarzenie — zaślubiny mężczyzny i kobiety.

Fern Gardner, choć zupełnie niedoświadczona w tych sprawach, okazała się całkiem zaradna i zorganizowana jak stary kapral. Wszystko co do joty zostało załatwione. Zrobiła kalendarz, na którym zaznaczone były poszczególne dni, w które należało sprawdzać kolejne szczegóły, podejmować decyzje, telefonować do znajomych, kupować przeróżne świecidełka. I Fern naprawdę myślała o tych drobiazgach. Gdyby pozostawiono to wszystko przyszłej pannie młodej, wybrałaby cichy ślub przy kilku przyjaciółach i krewnych zaproszonych do domu jej matki lub

innego równie swojskiego miejsca. I pozostawiłaby całą tę paradę kobietom, które lepiej do niej pasują.

Owszem, bawiło ją strojenie się, czy nawet ceremonia weselna u Sandy, ale sama wolała znacznie prostsze uroczystości. Była kobietą pozbawioną artystycznej duszy, ze zwyczajnymi upodobaniami. Byłaby naprawdę o wiele bardziej szczęśliwa, gdyby zaniechano tych wszystkich efektów specjalnych.

Ale Fern Gardner, kobieta, która zapewniła sobie sama sukces, którą kochanek opuścił w wieku lat dziewiętnastu, która jest matką dziecka z nieprawego łoża — potrzebowała pocieszenia i iluzji bezpieczeństwa, którą stwarzał huczny i wystawny ślub. Miała tylko jedną córkę, której udało się rozkochać w sobie mężczyznę, którego dla niej szczęśliwie wybrała. Nie miała zamiaru oszczędzać w najpiękniejszym dniu życia Winnifred.

W tygodniu, który nastąpił po pierwszym spotkaniu Winnie i Josepha Duggana matka zadzwoniła do niej przynajmniej jedenaście razy, zawsze w sprawie jakiejś bezsensownej drobnostki, powodując, że Winn zgrzytała zębami do słuchawki. Dwukrotnie zadzwonił handlarz nieruchomościami, prosząc ją, by opuściła dom, gdyż chciał pokazać go potencjalnym nabywcom. W szpitalu Meredith Emery przyniosła broszury z Disneylandu i pytała, kiedy odrosną jej włosy. Był też telefon z magazynu meblowego informujący, że nowa sofa do pokoju gościnnego, krzesła i stoły zostały już przysłane. Paul zatelefonował z pytaniem, czy nie wybraliby się któregoś wieczoru po lampy, obrazy i jeden drobny szczegół, który odkrył wertując katalogi podczas któregoś lunchu — stylizowany stół do szachów wykładany dwukolorowymi drewnianymi płytkami, doskonały jako mebel dodający smaku pokojowi gościnnemu.

— Stół do szachów? — spytała rozczarowana. — Nie, nie taki zwykły stół. To jest specjalny komplet do gry.

— Ale dlaczego?

— Mówiłem ci przecież, że gdy tylko będziemy mieć więcej czasu, nauczę cię grać w tę królewską grę. Wiem, że możesz daleko zajść.

— Paul, ale przecież wiesz, że nie gram najlepiej.

— Nauczysz się, kochanie. Wierzę w ciebie — roześmiał się głośno.

Nagle poczuła przypływ irytacji. Nieświadomie usztywniła plecy, owinęła przewód telefonu sześć razy wokół palca, aż chwilowo przerwała połączenie.

— Umówmy się, Paul — rzekła oficjalnym głosem. — Pójdę obejrzeć ten twój stół do szachów, jeśli zgodzisz się, że za każdą godzinę spędzoną nad nim odpłacisz mi godziną gry w racket-ball.

Nastąpiła długa cisza, potem jego śmiech, bardziej okazujący łaskę, niż rozbawienie.

— Przestań, Winnifred. Wiesz, że na korcie jestem do niczego. Nigdy nie byłem sportowcem i nigdy nie udawałem, że nim będę. Zostawiam fizyczne rozrywki tobie.

Wyszarpnęła kabel telefoniczny spomiędzy palców i kopnęła w kuchenny stołek, aż wpadł pod krzesło z ogromnym hukiem.

— Świetnie, wspaniale! Więc co powiesz, jeśli jeden lub dwa wieczory w tygodniu spędzalibyśmy z kimś innym, grając w nasze ulubione gry? Możesz sobie znaleźć kogoś z analitycznym mózgiem, żeby ślęczał z tobą na tym szachowym stole. A ja znajdę osobę, która lubi biegać za piłką po korcie.

— Oczywiście natychmiast pojawił się przed oczyma jej wyobraźni obraz Josepha ubranego w białe szorty, z lekko odsłoniętym brzuchem pod uniesioną koszulką. — Paul, jesteś tam? Co byś na to powiedział? — wysyczała. Może stara Rita zmusi cię do tego?

— Winnifred, jesteś nierozsądna...

— Ach, jestem nierozsądna? A ty jaki jesteś? Jeżeli istniała jakaś rzecz, z której Paul Hildebrandt był dumny, z pewnością była to jego zdolność logicznego

rozumowania. Cisza w słuchawce powiedziała Winn, że jej słowa uządlily narzeczonego.

— To była tylko sugestia, nic więcej. Naturalnie, jeśli jesteś przeciwna kupieniu stołu szachowego, nie musimy nawet iść go oglądać.

Nagle mózg Winn zapłonął. Miała ochotę upaść na kolana i płakać. I on myśli, że problemem w tym momencie jest stół szachowy! Jezu Chryste! Dla inteligentnego mężczyzny Paul byłby zupełnym idiotą!

— A co z kupnem lamp i innych drobiazgów? — spytał. Otworzyła usta szeroko, zrobiła głęboki, uspokajający

wdech, przebiegła palcami po włosach i powiedziała do podłogi:

— Nie zależy mi. Mogę to zrobić... kiedy tylko zechcesz.

Ale kiedy już wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że jedno z tych dwóch twierdzeń było nieprawdziwe. Tylko które było prawdziwe? Ani nie chciała tego robić, ani jej na tym nie zależało.

— Pojutrze, dobrze? Przyjadę po ciebie koło siódmej.

— Dobrze... — odpowiedziała przygnębiona. — o siódmej.

— Dobranoc, kochanie. Odpocznij sobie teraz. Wydaje mi się, że jesteś ostatnio trochę podminowana. To pewnie przez te wszystkie pojawiające się w ostatniej chwili problemy, prawda?

To wcale nie były drobne problemy z ostatniej chwili —

i Winn to wiedziała. Wszystkie drobiazgi były regularnie załatwiane z zegarmistrzowską precyzją przez Fern Gardner, która kontaktowała się w ich sprawie ze swoją córką tylko dla zasady, nie dlatego, że aprobatą Winn była niezbędna. Nie, problemy Winn nie miały nic wspólnego z drobiazgami. Miały za to wiele wspólnego z Irlandczykiem o kręconych włosach i niezapomnianych, seksownych oczach, który gra w racket-ball, jeździ zardzewiałym pickupem i całuje jak księżę z bajki.

W pół godziny po tym, gdy Winn skończyła rozmowę z Paulem, zadzwoniła Sandy.

— Cześć, dzieciaku! Jak tam przygotowania do ślubu? Winn musiała się powstrzymać, by nie wylać żalu

w ucho niczego nie podejrzewającej przyjaciółki. Poza tym Sandy nie miała pojęcia o zamieszaniu, które ostatnio panowało w sercu Winn.

— Całkiem dobrze. Biorąc pod uwagę, że matka daje sobie radę z wszelkimi kłopotami z ostatniej chwili z charakterystyczną dla siebie precyzją i terminowością.

— Och, och! Coś się dzieje!

Winn usiadła na krześle, które wcześniej kopnęła z taką siłą.

— Nie. Nic się nie dzieje. Po prostu mam na głowie inne problemy oprócz ślubu, ślubu i ślubu. Ale wydaje mi się, że ani Paul, ani matka nie zauważają ich.

— Mała dziewczynka w szpitalu?

— Tak, między innymi. Ona umiera i ja... — Winn zrobiła głęboki wdech i powstrzymała prawie nieodpartą żądę wyznania wszystkiego przyjaciółce, łącznie z uczuciami żywionymi do Jo-jo Duggana. Żądę porozmawiania z kimś szczerze, otwarcie i pytania o radę w całym tym labiryncie sprzeczności. Zanim jednak zdążyła zdecydować się na to, Sandy mówiła już:

— Mam coś, co pozwoli ci się na chwilę oderwać od kłopotów i chyba trochę rozweselić. Myślę, że wiesz, o co mi chodzi. Rozmawialiśmy o tym kiedyś wystarczająco długo.

Winn zamknęła oczy i oparła łokcie na stole. „Nie, och, nie, nie! Tylko nie panieński wieczór!”

— Chodzi o wieczór panieński. Czekałam na wiadomość od ciebie aż do momentu, gdy wpisałam datę na zaproszeniach. A teraz zbliża się... Dobrze by było, gdybyśmy to zrobiły za dwa tygodnie, albo jeszcze tydzień później. Masz pod ręką kalendarz?

Kalendarz wpatrywał się w Winn spod gwoździa na

ścianie, obok telefonu. Gdy tylko na niego spojrzała, nagle przesłoniły go łzy. Sandy czekała na odpowiedź. A ona siedziała tutaj przypominając sobie, jak Paul podszedł niegdyś do tego gwoźdźnia i powiedział:

— Mam nadzieję, że nie planujesz wbijać gwoździ w ściany naszego nowego domu w ten sposób. Do licha, jeśli zechce wbijać czterocalowe żelazne szpikulce w ścianę, zrobi to. Tyle, że na brzydkiej, stiuko-wej ścianie w kuchni Jo-jo Duggana, gdzie wisi kalendarz z obrazkami i nagłówkiem reklamującym „Duggan's Body Shop"! Przynurzała sobie, że gdy następnym razem tam będzie, sprawdzi, czym go przybił.

Widocznie Winn dłużej zastanawiała się nad panińskim wieczorem, niż zdawała sobie z tego sprawę, ponieważ głos Sandy zabrzmiał ponownie w słuchawce.

— Winn, czy rozesłałaś już zaproszenia?

— Nie, pracuję nad nimi. Wiesz, zaproszenia na ten wieczór nie powinny być wysyłane wcześniej, niż te na ślub. Nie uważasz, że powinnaś się pośpieszyć?

Później cztery dni pod rząd dzwoniła Fern z tą samą reprimendą. Winn czuła się przybita i rozdarta.

— Tak, na pewno wyślę je jeszcze przed weekendem, nawet gdybym miała któregoś dnia nie pójść do pracy, by skończyć ich wypisywanie.

Ale w szpitalu potrzebowała jej Merry, a Winn nie opuściłaby dziecka ani na jeden z jej policzonych już dni. Wolałaby już poświęcić czas przeznaczony na zakup szachowego stolika wyłożonego drewnianymi płytkami.

Postanowiły zorganizować pożegnalną imprezę dwa tygodnie przed ślubem i zdecydowały, że Sandy opóźni wysyłanie zaproszeń aż do połowy przyszłego tygodnia, pozostawiając Winn dość czasu na zrobienie porządku ze swoimi.

Gdy Winn odwiesiła słuchawkę, rozsądnie wyjęła pudełko z różowymi kopertami wraz z notatkami i listę z adresami, własną książką telefoniczną i pióro. Zdażyła zaadresować pięć, gdy zadzwonił telefon.

— Cześć, Winnie, tu mama.

Ciekawe, o co chodzi tym razem? Czyżby na Florydzie nie udał się zbiór moreli? Winn zwalczyła w sobie chęć udzielenia niegrzecznej odpowiedzi i przywitała się:

— Cześć, mamó.

— Wysłałaś już zaproszenia?

— Nie, ale już prawie wszystkie są gotowe — skłamała.

— Winnie, czy spoglądałaś ostatnio na kalendarz? Te zaproszenia powinny być wysłane nie później, niż w tamtą sobotę.

— Wiem, mamó, wiem!

— I jeszcze jedna rzecz wynikła ostatnio. Perry Smith dostał wiadomość, że zostaje przeniesiony do Los Angeles.

Przez chwilę Winn była zdezorientowana. Nie mogła zrozumieć, co przeniesienie Perry'ego Smitha miało wspólnego z czymkolwiek związanym z nią. Ale widocznie jej matka oczekiwała oznak rozczarowania, które się nie pojawiły, ponieważ jej głos pełen był oburzenia.

— Na miłość Boską, myślałam, że zareagujesz jakoś na tę wieść. Poza tym nie ma zbyt wiele czasu, żeby znaleźć kogoś innego, kto mógłby zaśpiewać na ślubie.

Ach, tak! Ramona Smith — żona Perry'ego — zgodziła się zaśpiewać na ślubie i rozmawiała już z Winn na temat repertuaru.

— Przecież to nie koniec świata, mamó! Mnie wystarczą tylko organy. Pani Collingswood może być zaskoczona, ale mimo wszystko spod jej palców wypływają cudowne dźwięki.

— Och, Winnifred, nie bądź śmieszna! Czy słyszałaś kiedyś o ślubie kościelnym bez śpiewu?

Piosenki są już wybrane i wkomponowane w plan całej ceremonii. Nie mów mi nawet, że nie masz ochoty poszukać kogoś innego.

— Nie znam żadnej innej śpiewaczki, mamó. Nie znam przecież nawet tej. To ty ją znalazłaś.

— Musimy się z tym pospieszyć.



Winn nie wytrzymała.

— Ty się z tym pospiesz, mamó, jeśli masz ochotę. Ja już zrobiłam wszystko, na co mogłam się zdobyć.

Matka Winn na siłę złagodziła głos.

— Kochanie, nie jesteś ostatnio sobą. Mówisz tak, jakby ci zupełnie nie zależało na podejmowaniu tych decyzji.

— Mówiąc szczerze, mamó, nie zależy mi. Jeśli chcesz inną śpiewaczkę, weź ją. Wszystko, na czym mi zależy, to to, że może zaśpiewać *Betty Lou's Get tin' Out Tonight*. I wynajmij jeszcze chór, żeby zatańczył!

Wyobraziła sobie zaskoczenie matki i poczuła, że kobieta jest urażona odmową.

— Och, mamó, przepraszam. Proszę, zrób, co tylko zechcesz, i daj mi znać, dobrze?

W pół godziny później zadzwonił Paul.

— Rozmawiałem właśnie z twoją matką, Winnifred. Powiedziała mi, że byłaś dla niej niegrzeczna i zraniłaś jej uczucia. A w dodatku umyłaś rękę od podejmowania decyzji dotyczącej śpiewaczki.

Winnic, naprawdę nie powinnaś traktować swojej matki tak... tak... — zakończył westchnięciem.

— Tak...? Jak?

— No, wiesz... Jesteś dla niej taka szorstka cały czas i doszukujesz się błędów we wszystkim, co robi. A ona przecież stara się, jak może, żeby ułatwić wiele spraw i pomóc nam zaplanować wesele takie, jakie organizuje elita.

— A może ja nie chcę ślubu, jakie organizuje elita, Paul! Może ja chcę, żebyś zafundował mamie kilka szklanych paciorków, abyśmy otworzyli żyły, wymienili krew i wśliznęli się do wigwamu w lesie? — Skąd wzięła się ta złośliwa osoba? Winn była niesprawiedliwa dla Paula i doskonale o tym wiedziała. Ale nie potrafiła opanować tych zjadliwych uwag. Poczuła jednak, że Paul ściśle kontroluje jej złość.

— Rozumiem, że masz teraz wiele spraw na głowie

i możesz być zestresowana. Wybaczam ci więc, że jesteś dla mnie niegrzeczna. Ale myślę, że swoją matkę powinnaś przeprosić.

Te słowa uderzyły w nią z impetem lawiny. On się żeni ze mną po to, żeby mieć nie tylko żonę, ale i teściową. Tym razem jednak opanowała się.

— Paul, czy możesz coś dla mnie zrobić? Zadzwoń do matki, przedyskutujcie sprawę śpiewaczki i wybierzcie jakąś. Zrobisz to dla mnie? Proszę...

Nastąpiła chwila ciszy, w której Paul decydował, jak odnieść się do nierozsądnego zachowania narzeczonej.

— Dobrze, z przyjemnością. Może twoja matka będzie kogoś znała. Zajmę się tym, kochanie.

— Dziękuję, Paul.

Po odwieszeniu słuchawki zaadresowała dwadzieścia pięć następnych zaproszeń, opuściła głowę na blat stołu i pozwoliła sobie na wyszlochanie się bez jakichkolwiek ograniczeń.

Bolały ją plecy, płonęły powieki, miała ochotę wbić całą paczkę gwoździ w kuchenną ścianę, zrobić z nich regularny wzorek wokół rozsuwanych drzwi i uderzyć w ścianę obok. Zamiast tego jednak zostawiła zaproszenia rozrzucone po całym stole, zrzuciła ubranie i wskoczyła do łóżka. Drzemała już, gdy zadzwonił telefon — znowu!

Wyszła spod kołdry i wpadła do kuchni wściekła, że zbudzono ją i wyciągnięto z łóżka.

— Halo? — mruknęła.

— Cześć — odezwał się męski głos, o którym tak usilnie chciała zapomnieć. Łzy znów pojawiły się w jej oczach. Serce waliło jak młot. Przysłoniła dłonią oczy i oparła czoło o chłodne szkło rozsuwanych drzwi ukrytych w ciemności. — Czy jesteś sama? — spytał.

— Czego chcesz, Joseph?

— Ciebie.

W słuchawce zabrzmiała głucha cisza. To jedno słowo pobudziło wszystkie kobiece części ciała Winn do ży-

cia — sutki, żołądek; wszystkie wewnętrzne organy wołały, aby nie zrywała z nim kontaktu.

— Nie! — błagała głosem bliskim płaczu.

— Przepraszam, Winn. Zdaje się, że komplikuję niektóre sprawy?

— O tak, Boże, jeszcze jak!

Usłyszała jego westchnienie, jakby był bliski rezygnacji, ale jednak nie okazał się skory do ostatecznej kapitulacji.

— Czy przygotowania do wesela są już zaawansowane?

— Tak. Właśnie adresuję zaproszenia.

— Och! — nastąpiła raniąca duszę cisza. — Zrobisz coś dla mnie, Winn? Czy możesz mi przesłać jedno?

— Jo-jo... — westchnęła.

— Nie bój się, nie przyjdę! Po prostu chciałbym sobie je zachować.

— Joseph... Jes... Jesteś wybitnie niemiły...

— Winn! Ty płaczesz? — zaniepokoił się i zdawało jej się, że przycisnął słuchawkę bliżej ust.

— Tak, do Ucha, płaczę!

— Dlaczego?

— Bo... Bo tak. On chce kupić stolik z szachownicą do... do gościnnego pokoju. A poza... Poza tym jakaś kobieta, której nig...dy na oczy nie widziałam, przeprowadza się do... Los Angeles. I Sandy chce mi zor...ganizować paniński wieczór. O, Boże, nie wiem, Joseph! Wiem tylko, że powinnam być szczęśliwa, a jestem w fatalnym stanie. — Jak tam mała dziewczynka?

— Ach, dziękuję, że pytasz, koch... Joseph. Nikt tutaj nie przejmuje się tym, co ja w związku z tym czuję. Sandy wprawdzie spytała, ale gdy odpowiedziałam, pospiesznie zmieniła temat.

Winn przerwała, by nabrać powietrza, a jego miękki głos dotarł do jej uszu.

— Wycofaj się, Winn! Zaczynaj wszystko od początku.

— Ja... To nie ma sensu, Josephie Duggan. — Ale to miało sens i ona doskonale o tym wiedziała.

— Miałaś do mnie zadzwonić, kochanie.

— Nie miałam.

— No to kiedyś spróbuj i zobaczysz, jak to jest.

„Joseph Duggan. Niepoprawny podrywacz”, pomyślała, choć świetnie wiedziała, że jest teraz od tego daleki. Zdziwionym głosem spytał:

— Czy właśnie owym „kochanie” obdarzasz Paula? To był pierwszy i chyba jedyny raz, kiedy usłyszała, że

Joseph mówi o jej narzeczonym po imieniu.

— Nie, to on do mnie tak mówi. Ja nazywam go Paul.

— SkierowaUśmy się na złe tory. Powiedz mi o tej małej dziewczynce, Winn.

Dlaczego imię „Winn” brzmiało bardziej pieśczośliwie w ustach Josepha, niż określenie „kochanie”, które tysiące razy słyszała od Paula?

Powiedziała mu o tym, że Merry nie zdrowieje, o broszurach z Disneylandu, o śpiewaczce, której mąż został wysłany do Los Angeles, o kłótni z matką, o wieczorze panieńskim i o Uście prezentów, na którą powinna się zdecydować i zostawić ją w domu towarowym. Tam oczekiwano, że wybierze chiński wzór na kieUszki, z których będą pić podczas uroczystości. Powiedziała mu też, że zapłaciła za obrączkę Paula. I że matka nakłaniała ją, by kupiła coś, co nazywało się pojedynczą świecą, która miała być używana podczas ślubu, choć Winn sama nie rozumiała, dlaczego było to tak niezbędne. I w końcu powiedziała mu, że Fern ostatnio wpadła na pomysł, by wynająć Umuzyny na dzień ślubu.

— Limuzyny! — krzyknęła rozdrażniona. — Te napuszone pudła!

— Twoja matka robi to wszystko z miłości do ciebie.

— Moja matka organizuje przedstawienie, o którym sama marzyła, a nigdy go nie miała. Udaje dobrą wróżkę.

— Jeśli więc musisz przez to wszystko przejść, pozwól jej to przynajmniej robić. Dlaczego raz się z nią zgadzasz, a innym razem masz pretensje? To ty postępujesz źle, nie ona.

- Ale to ona wprowadziła mnie w to wszystko... W ten cyrk, którego nigdy nie chciałam.
- Dlaczego nie powiedziałaś jej tego rok temu, zamiast wtedy pozwolić jej uwierzyć, że tego właśnie pragniesz? A poza tym: czy ty naprawdę jesteś zła na swoją matkę?
- Jestem zmęczona, Joseph, i chcę iść spać.
- A ja jestem sfrustrowany i chcę się z tobą zobaczyć. Pojedziesz ze mną do Bemidji w tę sobotę? Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Pięć tygodni przed ślubem on proponuje jej beztruską podróż!
- Bemidji! Chcesz, żebym pojechała z tobą ot tak, po prostu, do Bemidji?
- Tak. Na aukcję. Winn była zdumiona.
- Na aukcję... Jo-jo Duggan! Jesteś szaleńcem! To ja właśnie adresuję moje zaproszenia ślubne, a ty chcesz mnie zabrać na aukcję!
- Tak! Będą sprzedawać forda z czterdziestego pierwszego roku, a poza tym będzie coś w rodzaju targu, na którym będę mógł kupić części do mojego pickupa cadil-laca. Te, których nigdzie nie mogłem dostać. Myślę, że moglibyśmy tam podskoczyć.
- A co z Paulem? Czy powinnam go zaprosić na tę przejażdżkę?
- Jasne! Włożymy go do trumny i może jechać na pace. Parsknęła śmiechem i żeby się powstrzymać, zatkała usta dłonią.
- To okropne, Joseph! — zganiła go.
- Ale z wygodną poduszką i kocem, oczywiście, nie jakąś tam satynową wykładziną — dodał. — i z termosem mrożonej herbaty, żeby miał towarzystwo na drogę. Zaniechała kuszącego droczenia się i spoważniała.
- Joseph, muszę już iść.
- Moja noga domaga się opieki, którą jej przyrzekłaś.
- Do widzenia, Joseph!
- I zapisałem się na kurs tańca!

— Do widzenia, Joseph...

— ... I nie mogę *znaleźć* nikogo, kto byłby tak dobry jak ty na korcie, albo w całowa...

Zmusiła się, żeby odwiesić słuchawkę. Ale przez całą noc przed oczyma wyobraźni wciąż majaczyła sylwetka mężczyzny o kręconych włosach i urzekającym spojrzeniu.

Przedweselne szaleństwo trwało nieprzerwanie przez następne dni. Fern napominała Winn, by przesłała dostawcom żywności zamówienia i upewniła się, że córka nie zapomniała wpisać w notatki spraw związanych z opłatą pocztową. Dzwoniła, by jej powiedzieć, że znalazła wspaniałe kieliszki, którymi goście będą mogli spełnić toast za parę młodą. Winn wzdrygnęła się, pomyślawszy, że świat stanął na głowie. Musieli kupować specjalne kieliszki?

O ósmej wieczorem Winn usiadła w kuchni, wyciskając z siebie siódme poty, by zdążyć dziś jeszcze zaadresować zaproszenia. Nagle jednak rozległo się pukanie do drzwi i nie czekając na zaproszenie do środka wszedł Paul.

— Winnie, kochanie! Zdarzyło się coś cudownego! — wśliznął się do kuchni i stanął tuż za jej krzesłem kładąc dłonie na jej ramionach i pochylając się, by pocałować ją w szyję. — Poproszono mnie, bym pojechał na tydzień do Kalifornii! Korporacja wysyła mnie na wyprawę do Doliny! Wyobraź sobie: Dolina! — Zdążyła się już dowiedzieć, że w świecie Paula istniała tylko jedna „dolina”: mówił o „Silikonowej Dolinie” — najślawniejszym w świecie miejscu produkcji komputerów.

— Kiedy?

— Wyjeżdżam jutro na cały tydzień. Zwiedzę wszystkie główne ośrodki produkcyjne! Będę miał możliwość zobaczyć wszelkie ostatnie nowiny technologiczne!

Cały kraj wiedział, że teren na południe od San Jose ma monopol na komputery i zamieszkują go inteligentni mężczyźni i kobiety, których geniusz w tej dziedzinie zapewniłby im miliony w latach trzydziestych. Ich ekspertyzy uważano w przemyśle za tak wartościowe, że termin

„Dolina” był znany na całym świecie. Projekty racjonalizatorskie wychodziły z Doliny tak szybko, że nieraz komputery nie mogły im podołać. Musiano je ulepszać lub zastępować nowymi. Winn zrozumiała, jak ta szansa musi podniecać Paula.

Podniósł ją z krzesła. Pocałował gorąco i spytał:

— Czy dasz sobie radę beze mnie z tym wszystkim, kochanie? Wiem, że jest teraz wielki natłok pracy, i wiem, że nie powinienem cię opuszczać w tym okresie, ale to życiowa szansa, Winnie! — Bardzo rzadko widywała taki błysk w jego oczach. Spojrzała w nie i próbowała wyczarować w sobie choćby odrobinę tego elektryzującego odzewu swego ciała, jaki wywoływał najmniejszy dźwięk głosu Josepha usłyszany przez telefon. Na próżno.

— Oczywiście, dam sobie radę przez tydzień. Poza tym wszystko, z czym muszę się jeszcze uporać, to zaproszenia. I ty nie możesz mi w tym pomóc.

— Och, dziękuję, kochanie! — pogładził tył jej głowy i uniósł jej twarz do pocałunku pełnego ekscytacji i ciekawości. Potem objął ją obydwoma rękami i przytulił do siebie. Przyłgnęła i pocałowała go, po czym zwarli się w mocnym uścisku. Ale to nie działało. Próbowała zmusić się do zaangażowania, ale gdy jej ciało nie odpowiedziało na wezwanie, choć tego pragnęła, zdała sobie sprawę, że Paul był równie podniecony wizją podróży do Silikonowej Doliny, jak i obecnością swojej narzeczonej.

— Winnie... — usłyszała nad uchem rozmarzony głos. — Chodźmy do łóżka. Boże, jak to dobrze mieć cię dziś przy sobie. Coś się popsło przez ostatnie kilka tygodni, ale to chyba nie moja wina...? Dziś wieczorem jesteś jednak taka, jak kiedyś!

Pocałowała go w usta i odpowiedziała:

— Nie, Paul. Nie dzisiaj. Cofnął się urażony.

— Ale nie będzie mnie przez cały tydzień!

— Mam okres... — skłamała. Poczowała wyrzuty sumie-

nia, gdy otoczył ją ramieniem i wsunąwszy dłonie pod bluzkę pieścił jej piersi, mrużąc do jej ucha. — Cholera... — wymamrotał w końcu, zmuszając się do uwolnienia narzeczonej. Starła się go pocieszyć, ale to wcale nie uspokoiło jej sumienia. — Gdy wrócisz, pójdziemy kupić lampy i stolik do szachów.

— Kocham cię... — wyznał ciepłym głosem. W jego oczach malował się podziw i wdzięczność. Ale mimo wszystko widać było, że równie gorąco pragnął wyjść, jak i ona chciała, by ją opuścił. Gdy wyszedł, wróciła do zaproszeń i zaatakowała je z jeszcze większą furją. Pracowała aż do północy, a następnego dnia do wpół do jedenastej. Potem poczuła się senna, więc wstała, by zaparzyć sobie kawę, która miała przywrócić świeżość jej umysłowi. Ostatnią różową kopertę wypisała około wpół do drugiej. Przypominając sobie, że polizowała dziś sto dwadzieścia pięć znaczków, zmęczona położyła się do łóżka. Zastanawiała się, czy tylko smak kleju był przyczyną chwilowych nudności. W piątek rano, dokładnie na tydzień przed Wielkim Dniem, Winn wrzuciła do dużej skrzynki pocztowej sto dwadzieścia pięć różowych kopert i odetchnęła z niewypowiedzianą ulgą. Wieczorem, gdy Paul zadzwoni z Kalifornii, powie mu. I wtedy będzie zadowolona. W pracy zakładała gorące opatrunki na kończyny pacjentów i poddawała ich całej gamie ćwiczeń rehabilitacyjnych. Ustalała granice możliwości tych, którzy jeździli na lekarskich rowerach i decydowała, jak ciężkie obciążniki zastosować do kończyn wymagających rozciągania. Dawała rady, konsultowała się z doktorem w sprawie nowego pacjenta, który został jej przydzielony, poszła na lunch z dwoma kolegami z pracy i powiedziała im, że ostatecznie zakończyła sprawę zaproszeń na ślub.

A o pierwszej po południu pani Christianson wpadła do jej biura i zniżonym głosem oświadczyła, że Meredith Emery zmarła.



Winnifred usilnie próbowała powstrzymać łzy.

— Ale przecież o drugiej miała zgłosić się na terapię — powiedziała bez zastanowienia, jakby to stwierdzenie mogło przywrócić dziecku życie — tylko po to, aby wykonać plan.

Pani Christianson wzięła Winn za rękę, poprowadziła ją do sali ćwiczeń i zmusiła, by usiadła na krawędzi stołu. Potem sama usiadła za nią i zaczęła masować jej ramiona i szyję.

— Bardzo się z nią związałaś. Wiem o tym, Winnifred. Czasem jest ciężko, gdy się zaangażujesz. Na resztę dnia weź sobie wolne. Wyjedź gdzieś w ten weekend, zrób coś szalonego, by o tym nie myśleć. Dłonie kobiety były doskonale wyszkolone i perfekcyjnie wykonywały swoją pracę. Delikatnie i równomiernie. Bez nadmiernego uciskania. Ale tego bólu nic można było rozmasować. Doszedł już zbyt głęboko. Winn pochyliliła się, oparła łokcie na kolanach i dłońmi zakryła twarz.

— Idź do domu, Winn. Idź i pobiegaj sobie. Potem weź gorącą kąpiel, zadzwoń do tego twojego faceta i zabawcie się razem, zamiast rozmyślać o śmierci.

Ale pani Christianson nie wiedziała, że „jej facet” jest dwa tysiące mil stąd oddając honory nieczułym i martwym istotom zwanym komputerami.

Jednakże Winn posłuchała rady swojej przełożonej. Włożyła zielone szorty i bawełnianą koszulkę i poszła pobiegać. Poczula nieodpartą chęć przebywania na wolnym powietrzu, gdzie kwitnące drzewa i krzewy i świeżo skoszona trawa dawały świadectwo zielonemu zmartwychwstaniu świata.

Wciągnęła rześkie, majowe powietrze, liczyła ludzi, którzy pielęgnowali swoje przydomowe ogródki i obserwowała kilka latawców szybujących po niebie. Zdała sobie sprawę, że dwóch bliskich jej sercu mężczyzn rozdziera jej świat na dwie połowy. Pozdrowiała gestem każdego mijanego przechodnia i rowerzystę. Przeszła na skróty przez park, po którym spacerowali ze swoimi

pupilkami miłośnicy zwierząt, potem przez mały parking przy sąsiednim sklepie spożywczym, gdzie w drodze do domu wstępował mężczyźni, by kupić karton mleka dla swoich żon i dzieci. Syciła się życiem. Cieszyła się każdym objawem kwitnącej przyrody. Zabierała z sobą te wrażenia, gdy jej mięśnie pracowały ciężko, przechodząc krytyczny punkt wysiłku. Biegła bez przerwy, czując ciepło gromadzące się w jej kończynach. Cieszyła się z tego uczucia, które przypominało jej, że żyje: oddycha i czuje ból.

Wróciwszy do domu wyciągnęła się na kuchennym stole, przyciskając rozgrzany policzek do chłodnej powierzchni blatu. Przez chwilę nie mogła wstać, a przyspieszony oddech zdawał się huczeć w całym jej ciele. Gdy serce w końcu uspokoiło się, a płuca wróciły do regularnej pracy, weszła pod pieczący ciało gorący prysznic. Potem zjadła najbardziej kaloryczne danie, jakie znalazła w domu, zawierające skrobię, cukier, i inne zakazane składniki rzadko odwiedzające jej ciało, o które dbała jak o tarczę skierowaną w stronę wszystkich spotykanych na co dzień chorych ludzi. Tych, którzy nie mogli cieszyć się szczęściem tak, jak ona.

Zadzwoił Paul. Powiedziała mu o Meredith Emery najbardziej pozbawionym emocji głosem, na jaki mogła się zdobyć. Posłuchał, zafundował jej kilka słów współczucia, a potem przypomniał, że najlepiej byłoby, gdyby nie przynosiła swoich problemów do domu, gdy wraca z pracy. Zwłaszcza, jeśli wykonuje taki zawód.

Fala złości ogarnęła Winn, gdy pomyślała, że Paul, który spędza noc po nocy z dala od niej stukając w klawiaturę komputera o imieniu Rita, ośmiela się jej zabraniać wnoszenia swoich zawodowych problemów w progi domu!

Leżąc w łóżku wierciła się, nie mogąc zasnąć. Wpatrywała się w kwadratowe okno. Próbowwała płakać, ale nie mogła.

O jedenastej poddała się w końcu i zadzwoniła do Josepha Duggana. Odebrał jeden z jego braci, potem słuchawkę wziął Joseph i mruknął zaspanym głosem:

— Taaak...?

— Joseph? Tu Winn.

W małym domku w Osseo Jo-jo Duggan stał w swoich spodniach obok zlewu kuchennego swojej babki, z którego wystawała sterta brudnych talerzy i filiżanek, i wyobrażał sobie kobietę, której głos usłyszał w słuchawce. Stała mu przed oczyma taka, jaką była w tym dniu, gdy odwrócił się i zobaczył, że przygląda mu się podczas szorowania.

— Winn... — powtórzył, jakby to imię uwolniło stado białych gołębi.

— Joseph, potrzebuję dziś wieczorem kogoś. Nie mogę... Och, proszę, Joseph, czy możesz się ze mną spotkać?

— Zawsze i wszędzie.

— Czy zabrzmi to śmiesznie, gdy o tej porze poproszę cię o grę w racket-ball?

— Właśnie zawiązuję adidas.

— Mój klub jest otwarty do północy. Jest bliżej niż twój. Spytaj na portierni o numer kortu, a ja im już powiem, że jesteś moim gościem.

— Jeśli tylko tego chcesz, już pędzę!

W chwilę później biegał po domu jak opętany szukając czegokolwiek, w co mógłby się ubrać, łapiąc pierwsze napotkane rzeczy; w końcu dopadł parę spranych niebieskich dżinsów, by poddać się, gdy nie mógł znaleźć koszulki. Wybiegł więc bez niej, z butami w jednej ręce i rakieta w drugiej.

Zatrzymał się dopiero w klubie przed zaspanym portierem przy biurku, niecierpliwie przebiegł dłonią po księdze wpisów i spytał:

— Na którym korcie jest Winn Gardner?

— Numer sześć.

Zbiegł długim korytarzem i zatrzymał się przed jedynym oświetlonym boiskiem.

Czekała skulona na środku podłogi, z twarzą zwróconą

do frontowej ściany, obejmując kolana ramionami. Joseph zszedł na parkiet i odezwał się.

— Winn...?

Odchyliła głowę, odwracając się do niego.

— Och, Joseph, dziękuję, że przyszedłeś! Przemierzył dzielącą ich odległość silnym, prężnym krokiem.

— Nie próbuj mi dziękować za przyjście, Winn. Nie mnie...

Przełknęła ślinę, która wciąż napływała jej do ust, gdy uklękła i spojrzała na stojącego tuż przed nią mężczyznę.

— Daj mi dziś porządny wycisk, Joseph! — zażądała twardo. — Żadnych ulg, obiecujesz?

Ich oczy spotkały się na moment. Jo-jo zastanawiał się, jakież to problem nie pozwolił jej doprowadzić spraw do pożądanego końca bez jego pomocy.

— Przyrzekam!

Wstała szybko i niemal ze złością zdjęła bluzę, odrzuciła ją na bok i zatrzęsnęła drzwiami. Jo-jo przyglądał się jej z degustacją, gdy podeszła do kortu ubrana w białą podkoszulkę i zielone szorty.

— Serwuj! — rozkazała, rezygnując z wszelkich rozgrzewek. Wpatrywała się w przednią ścianę jakby zapominając, że Joseph nie przyszedł tu tylko po to, by mu rozkazywała.

Podszedł do linii serwu i zafundował jej to, czego chciała. Zmuszał ją do niewolniczego wysiłku,

Waliła w piłkę z przeraźliwą pasją. Odbijała backhandem cały czas zaciskając zęby i napinając mięśnie twarzy. Pędziła naprzód, by zdążyć do nadlatującej piłki, jakby od tego zależało jej życie.

Była złośliwa i czasami nawet brzydka w swojej fanatycznej zaciekłości. Ale spod tej pozornej brzydoty wyłaniała się prawdziwa uroda sportsmenki, która doprowadza swe ciało do granic fizycznych możliwości. Wyginała plecy pod zabójczym kątem, sięgając po wysokie piłki przelatujące nad jej głową. Wykonywała wypadki

w przód z potężną energią, czasem wspinała się dwa kroki po ścianie w szaleńczym wysiłku, by wyładować nienawiść na niewielkiej, wilgotnej kulce z gumy.

Pot spływał po ich ciałach. Przymierzyła się do strzału i minęła się z piłką. Ale gdy przyszedł następny serw, zgrzytając zębami uderzyła z druzgocącą siłą.

— A niech cię...!

Grali w tak wyczerpującym tempie przez trzydzieści minut. W końcu targany ciekawością Joseph nie wytrzymał. Stał pośrodku linii serwów, plecami do Winn i uparcie nie odwracał się. Wreszcie zapytał:

— Czy rozesłałaś już zaproszenia?

— Tak! — warknęła. — Serwuj, do diabła! Joseph poczuł się, jakby wbiła mu w plecy złamany nóż.

Grali jeszcze przez piętnaście minut, ale teraz on

uderzał w piłkę podobnie lekkomyślnie i wściekle, jak ona. Tym razem nie chodziło o wynik meczu.

Uderzali piłką w twardą ścianę, by jakoś zrekompensować sobie wszelkie żądania i niesprawiedliwości tego świata.

— Dlaczego? — warknęła, gdy jego rakietą znów ukarała niewinną piłkę.

— Ponieważ nie mogę tego wszystkiego zatrzymać. — I znów mściła się na piłce.

— Czy tylko dlatego to robisz?

Gwizd powrócił do niego, ale Joseph spodziewał się, że przeleci obok jego ucha i nigdy się nie zmaterializuje. Zamiast tego jednak wszystko za nim ucichło. Odwrócił się. Jego usta były białe z wściekłości. Do licha, kochał tę kobietę! Przyglądali się sobie. Stała w pozycji, jakby miała ochotę rzucić się na niego z rakieta, on natomiast trzymał raketę tak mocno, że jego żyły wezbrały jak niebieska rzeka płynąca wzdłuż ramion.

— Czy to dlatego? — spytał wściekle.

— Nie! — krzyknęła. Potem bez ostrzeżenia Winn Gardner opadła na kolana, złapała się za głowę i zanosła się histerycznym szlochem.

Rakieta Jo-jo uderzyła o podłogę. W sekundę później klęczał obok niej obejmując ją w silnym do bólu uścisku.

— Winn, proszę, powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

Włosy dziewczyny przypominały dziko rosnące strąki, ponieważ nie czesała ich od ostatniej kąpieli. Sterczały wokół twarzy, na której pojawił się bolesny grymas. Ze zmęczonych oczu popłynęły łzy. Jej palce dotykały jego torsu, jakby szukały koszuli, której można by było się ucześcić.

— O Boże, Joseph, ona umarła! I wtedy zrozumiał.

— Winn, Winn... — objął ją delikatnie, całując w skroń i pragnąc otulić ją swoim ciałem tak, by ochronić przed dalszym cierpieniem. — Przepraszam, kochanie, przepraszam...

Drżała. Jej ramiona przyłgnęły do niego, a sól potu i łez wymieszała się na jego szyi, gdy wtuliła tam zapłakaną twarz. Niezrozumiale wymamrotała kilka słów. Gdy wylewała swe troski, trzymał ją w ramionach. Choć nie rozumiał pojedynczych wyrazów, pojął ich znaczenie. Powierzchnie ich ciał pokryte potem, który wyzwoliła mordercza walka ostatnich trzydziestu minut, zetknęły się w nieosłoniętych miejscach, tworząc niewidzialne więzy uczucia. Objął ją tak szczelnie, jak tylko mógł, i przytulił mocno, jakby ramiona ścisnęła mu stalowa klamra, której uścisk tylko ona mogła rozluźnić. Klęczeli na szeroko rozstawionych kolanach. Między nimi nie pozostała nawet najdrobniejsza szczelina. Jej serce zakołatało w jego piersi. A ponieważ płakała nadal, jego oczy również zaszyły mgłą.

Gdy szlochała coraz bardziej, wsunął dłoń w jej włosy i odchylił głowę Winn, dotykając jej ust swoimi w niewinnym odruchu samotności. Ich języki, jak piłka, którą przed chwilą jeszcze uderzali, posuwały się, napierały i mijały, kontynuując walkę życia przeciwko nieuniknioności śmierci. Poruszali głowami, jakby walcząc, choć w rzeczywistości nie

było w tym ani śladu bitwy. Towarzyszyło im jedynie wyzwolenie z emocjonalnego i seksualnego napięcia.

Pchnął ją w tył i opadł na nią na środku pustego parkietu, okrywając jej gibkie ciało swymi mięśniami. Stuknął łokciami o podłogę, potem utulił jej głowę w ramionach i objął ją w na wpół niezgrabnym, na wpół zniewalającym uścisku. Ich doskonale do siebie pasujące ciała stopiły się z sobą. Przesunął biodra w bok i kolaniem kusił ją, by rozwarła nogi. Podjęła jego wyzwanie, kładąc stopy na podłodze, rozszerzając nogi, aż mężczyzna wtulił się bezpiecznie między jej uda. Winn mogła teraz powierzyć mu swe ciało.

Początkowo oddychali nierówno, rozbrzmiewał jeszcze szloch, ale wkrótce nastąpiła cisza zakłócana jedynie cichym brzęczeniem lamp jarzeniowych nad ich głowami. Ani ich usta, ani biodra nie rozłączyły się, gdy ukoili ból i cierpienie.

Ich pocałunek stał się zapalczywy, a ruchy ich głów zmieniły się w łabędzi taniec kochanków poszukujących rozkoszy. Wciąż podgięte kolana Winn rozluźniły się w końcu, aż opadła bezwładnie na parkiet, a on pieścił jej biodra.

Walka stała się pieszczotą. Uścisk przywitaniem. Złość nagrodą.

Poruszali się jak fale przewalające się po brzegu: jedno przez drugie, wypływając w górę, by badać, okrywać i wrócić do stanu oczekiwania na kolejne wyzwanie natury.

Jego ciało było prężne. Używał go, by zachęcać, zapraszać, ale nie zniewalać czy karać. Winn unosiła się rytmicznie pełna akceptacji. Joseph wycofał się na możliwie najmniejszą odległość tylko po to, aby ujrzeć jej duże, błękitne oczy przepełnione aprobatą nieuniknionego i czymś jeszcze, co prawdopodobnie było dreszczem emocji i miłości.

— Joseph, co ja zrobiłam?! — Mówiła oczywiście o zaproszeniach.

Ale on nie zapytałby o nie w tej chwili.

— Rozkochałaś mnie w sobie. Kocham cię, Winn! Weź mnie z sobą do domu.

— Na noc, Joseph? — spytała niepewnie.

— Tak, na noc. Choćby tylko na tę jedną, jeśli to wszystko, co mogę mieć...

— Tak, Joseph... Och, tak, kochanie! Myślę, że już czas, bym zrozumiała wreszcie, że w wielu sprawach masz rację.

Odsunął ją od siebie i usiadł na podłodze, dotykając kolanem jej podudzia. Wpatrywali się w siebie, niezdolni spojrzeć gdziekolwiek indziej. Ujął ją za rękę i obracając w stronę piłek przy swoich stopach, pomógł jej wstać.



## ***Rozdział IX***

Winn stała pod prysznicem i wsłuchiwała się w echo tysięcy kropeł uderzających równomiernie o ceramiczne kafelki. Była sama. Zamknęła oczy, uniosła twarz. Śliskimi dłońmi potarła mydło.

Przypuszczała, że poczucie winy przyjdzie później. Teraz jednak nie odczuwała nic więcej prócz słodkiego dreszczu emocji i przyjemnego bólu w piersiach. Ileż to już tygodni minęło, odkąd poznała Josepha Duggana? Odkąd zdała sobie sprawę z tego, że między nimi wciąż krążą fluidy zmysłowości? Tylko osiem. Jednakże każdy z minionych tygodni coraz bardziej upewniał ją, że jej ciało odpowiada na wezwanie Josepha.

Otworzyła oczy, spojrzała na sitko prysznic, wycofała się spod strug gorącej wody i namydliła szyję, piersi, brzuch, potem biodra i nogi. Zrezygnowała z gąbki. Masując skórę własnymi dłońmi czuła, jak każdy nerw jej ciała drży w gorączce pożądania. Piersi dziewczyny napęczniały z podniecenia, sutki stwardniały i sterczały jak stalowe naparstki.

„Och, jak ja go pragnę! Kiedy ostatnim razem tak się czułam? Kiedy kipiało we mnie takie pożądanie?” Cały czas tłumiała cały swój apetyt na Josepha Duggana, aż do chwili, gdy leżąc pod nim na korce zrozumiała, że musi się poddać. Dziś wieczorem nie odmówi. Dziś wieczorem...

Westchnęła. Szybko skłoniła się, by umyć nogi i stopy. Spieszyła się teraz. Jakże spieszyła...!  
Wśród wilgoci roznosił się delikatny zapach liliowego

szamponu. Zrobiła na głowie turban z ręcznika, związała jego końce na karku, ubrała się w czerwone, nylonowe szorty i zwykły pulower z dekoltem w kształcie litery U. Pod spodem miała jedynie majtki — nie włożyła biustonosza. Wepchnęła buty i skarpetki do sportowej torby i cicho jak kot podeszła boso do Josepha.

Czekał pod drzwiami łazienki, również boso, ubrany jedynie w parę wyblakłych, obciętych, drelichowych szortów, które miał na sobie na korcie. Oczy dziewczyny natychmiast spoczęły na nich, potem przebiegły do jego lewej ręki, w której trzymał zwitek białej bawełny. Czyżby bielizna?

— Wybiegłem w takim pośpiechu, że nie pomyślałem o czystych ubraniach — wyjaśnił.

O, Boże, to rzeczywiście była jego bielizna! Spłoszony wzrok dziewczyny opadł na frędzle spranych, niebieskich džinsów. Były lekko naprężone, nieuporządkowane nici zwisały z nich chaotycznie.

Właściciel obciął je tak wysoko, że koniuszek jednej z białych kieszeni wystawał lekko z nogawki.

Umieśniona noga Josepha wychodziła spod niebieskiej tkaniny, stwarzając pociągający kontrast z jej powierzchnią. Wyobraźnię Winn opanował obraz nagiego ciała mężczyzny, które jeszcze kryła odzież.

Pożądanie, jakiego doświadczyła pod prysznicem, teraz opanowało ją po tysiąc kroć. Podniosła wzrok i dostrzegła, że Joseph wpatruje się w jej falujące swobodnie pod wydekoltowanym swetrem piersi.

To spojrzenie wystarczyło, by wyprężyły się jeszcze bardziej. Joseph przełknął ślinę. Uniósł wzrok i spojrzał na ręcznik zawinięty wokół jej głowy.

Gdy odezwała się, drżący głos uwiązał jej w gardle.

— Zapomniałam wziąć szcztokę. Będę musiała zostawić tę ozdobę na głowie, aż wrócę do domu.

Ale żadne z nich nie zrobiło najmniejszego kroku w stronę klatki schodowej. A gdy w końcu postanowili ruszyć, zerwali się tak nagle, jakby ktoś uderzył ich w plecy.

Krocząc po schodach tuż przed nim, czuła na plecach jego wzrok, a wrażenie owo było tak silne, jakby ją dotykał. W korytarzu wysunęła rękę, by pchnąć drzwi z grubą szybą, do których na wysokości ramienia przytwierdzono stalową płytkę. Winn nic widziała nic, prócz jego nagiego ramienia popychającego drzwi, by je uchylić i pozwolić jej przejść przed sobą.

Zardzewiały pickup stał na opuszczonym parkingu tuż obok jej samochodu. Ponad głowami błyskało niebieskawe światło, wokół którego brzęczały roje owadów. Odruchowo skierowała się w stronę swojego samochodu, a gdy już do niego dotarła, poczuła dłoń Josepha ujmującą jej rękę.

— Winn, jeśli chcesz, zostawię moją ciężarówkę tutaj tak, że nie będzie musiała stać przez całą noc na t wojej ulicy.

Ta propozycja jak piorun przywróciła poczucie rzeczywistości: dokonali jednego świadomego wyboru. I tylko jednego: zostać kochankami na tę noc. Poza tym nic nie zostało postanowione. Jeśli zgodzi się, by zostawił tu swój samochód, ich romans nabierze cech brudu i nieuczciwości. I chociaż nie pragnęła, by tak wyglądały ich kontakty, wiedziała doskonale, że w promieniu kilku mil nie ma takiego drugiego samochodu, jak ten stary śmieć. Była zmuszona dokonać wyboru.

— Dobrze, możesz pojechać ze mną. Odwiozę cię tu nad ranem.

Puścił jej dłoń, odwrócił się i ostrożnie obszedł tył jej samochodu, delikatnie unosząc bose stopy.

Otworzył tylne drzwi i wrzucił do środka rakietę i buty. Potem wśliznął się na przednie siedzenie obok Winn.

Mieszkała zaledwie dwie mile od klubu, dotarcie więc do opuszczonej Siedemdziesiątej Siódmej Alei zajęło im tylko kilka chwil. Ale gdy dojechali do skrzyżowania z Autostradą 52, zatrzymało ich czerwone światło. Siedzieli więc, czekając na jego zmianę. Mężczyzna wpatrywał się w twarz dziewczyny oblaną różowym światłem skrzyżowania. Jej oczy świeciły jak dwa czerwone rubiny.

Joseph

poczuł się winny, że nadal komplikuje jej życie. Obsunął się na siedzeniu, objął ją ręką i odwrócił jej twarz do siebie, naciskając jednym palcem gładki policzek.

— Winn, nie będę hipokrytą i nie będę cię prosił, żebyś o nim nie myślała. Ale jeśli ci się to zdarzy, a wiem, że na pewno zdarzy się to więcej niż raz tej nocy, pomyśl też i o mnie. I pamiętaj, że cię kocham.

Jej oczy zmieniły blask na szmaragdowy. Położyła dłonie a kierownicy, ale lewą stopę pozostawiła na hamulcu. „Ja również cię kocham, Josephie”, pomyślała, ale nie mogła tego powiedzieć. Gdyby to zrobiła, byłoby to nieuczciwe wobec ich obojga. Zamiast tego zbliżyła do jego twarzy swoje usta, dotykając opuszkami palców jego podbródka; był szorstki w porównaniu z miękkim jedwabiem warg, które rozwarły się, by wypuścić język, witający równie ochoczo rozchylone usta Winn. Po pocałunku Winn powiedziała ciepłym głosem:

— I ja nie będę hipokrytką i powiem ci, że zamierzam go wygnać ze swych myśli, ponieważ teraz jeszcze tam siedzi i ty dobrze o tym wiesz.

— W takim razie zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przynajmniej chwilowo wyrzucić go stamtąd. Oczywiście, jeżeli zaraz wykorzystasz zielone światło i ruszymy stąd, Winn Gardner, i zabierzesz mnie do miejsca choć odrobinę mniej publicznego niż skrzyżowanie Autostardy Pięćdziesiątej Drugiej z Siedemdziesiątą Siódmą Aleją.

Ale światło znów zaśniło czerwonym blaskiem i znowu mieli pełnie trzy minuty, by zachwycać się wzajemnie swoimi ustami i językami.

Przy domu Winn na Bulwarze wciąż umieszczona była tablica z napisem „Na sprzedaż”. Światła samochodu oświetliły ją na sekundę, potem zatoczyły spory łuk i w chwilę później zgasły wraz z silnikiem. Joseph odwrócił się, by przyjrzeć się Winn i zauważył, że kiedy znalazła się w pobliżu domu, na jej twarzy zagościło zdenerwowanie. Otworzyła drzwi po swojej stronie ocze-

kując, że zrobi to samo. I że pójdzie za nią chodnikiem, i wejdzie na trzy schody prowadzące do frontowych drzwi. Zrobił to.

Gdy już się tam znaleźli, nie wyciągnął ręki po jej klucze, ale w zamian za to wziął od niej sportową torbę, pozostawiając dziewczynie wolne ręce. Palce jej drżały, jakby po raz pierwszy otwierała zamek. Wydawało się jej, że minęły wieki, zanim znalazła dziurkę od klucza.

W końcu usłyszeli delikatny, stłumiony trzask zasuw, weszli do środka i znaleźli się w ciemnym wgłębieniu niewielkiego, frontowego hallu, by po chwili przejść do pokoju gościnnego. Za nimi rozległ się cichy dźwięk zamykanych drzwi wejściowych. Potem Winn usłyszała prawie bezgłośny szelest jego nagich stóp po dywanie. Sięgnęła na oślep i odnalazła jego dłoń. Szedł za nią w kierunku, w którym go prowadziła. Skręcili w prawo w krótkim przedpokoju biegnącym obok łazienki do sypialni. Potem znów w prawo. Joseph wiedział, że stoi w nogach jej łóżka, obok wysokiej toaletki z lewej i staromodnego stołu z prawej strony. Palce Winn zacisnęły się Szaleńczo na jego dłoni i poczuł, że dziewczyna drży.

Czy spodziewała się, że rzuci ją na łóżko w ciemności, a potem wpełźnie na nią, jak potajemny dcprawiciel? Czy myślała, że jeśli stanie się to pod osłoną ciemności, łatwiej będzie później o tym zapomnieć?

Wysunął dłoń z jej uścisku i znalazł w ciemności kontakt na ścianie. Pokój zalało światło dwóch identycznych, buduarowych lamp i ich kopii odbijających się w wielkim lustrze starej toaletki. Twarz Winn okrywał cień. Dziewczyna zawirowała, by znaleźć się naprzeciw Josepha, którego dłoń wciąż spoczywała na kontakcie.

— Jeśli mogę spędzić z tobą tylko jedną noc, naprawdę nie zamierzam robić tego w ciemności. Chcę zabrać z sobą jakieś wspomnienia... Chcę zapamiętać, jak wyglądasz w miłosnym uniesieniu.

Spuściła wzrok na podłogę. Joseph zdjął dłoń ze ściany, schylił się, by postawić torbę na podłodze i zatrzymał się bez ruchu, czekając, aż dziewczyna uczyni jakiś znak zachęty. Zamiast tego jednak Winn wytrwale badała oczyma dywan pod swoimi nagimi stopami.

— Jestem bardzo zdenerwowana — przyznała, a jej głos nie brzmiał zwykłym spokojem. Był podniesiony i drżący.

— Ja również. Umówić się na pójsie do łóżka, potem odłożyć to na lepszą godzinę... To zabawa nieco szarpiąca nerwy, prawda?

Winn nieśmiało podniosła wzrok. Na twarzy mężczyzny pojawił się ciepły grymas. Śmiał się.

— Ja... Ja cię przepraszam, że w tym pokoju jest taki starszny bałagan. Obawiam się, że nie jestem najlepszą gospodynią. Inne rzeczy były dla mnie zawsze ważniejsze.

— W domu moje łóżko jest ścielone tylko wtedy, gdy zmieniam pościel — spojrzał na nieład panujący na jej posłaniu. Prześcieradło miała białe, koc zielony, jak w wojsku, a pościel koloru przypalonej pomarańczy. Nie można powiedzieć, że był to pokój kobiety-wampa.

Zrobił trzy powolne kroki w jej stronę, stanął tuż przed nią, ale gdy wyciągnął dłoń, by ją dotknąć, odsunęła się i uniknęła go. Stojąc tuż przy stole podniosła ramiona, by zdjąć z głowy ręcznik. Joseph przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, zahaczył kciuki z tyłu o pasek spodni i przyglądał się jej, jak pochyła się w przód wdzięcznie zginając plecy i szybko wyciera włosy. Jego wzrok przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa aż do czerwonych szortów, które jakby za pomocą czarów unosiły się i opadały jednostajnie: w górę, ujawniając skrawek aksamitnej skóry, gdzie biała bielizna dziewczyny napinała się, by ukazać srebro jej pleców, i w dół, w stronę pasa, gdzie zmarszczył się sweter, uwidaczniając dwa wzniesienia jej kręgosłupa wkomponowane w zalane cieniem wypukłości pleców.

Bez słowa podszedł i stanął tuż za nią, opierając dłonie

na jej talii. Wyprostowując plecy uwolniła się z jego uścisku i napotkała jego wzrok w lustrze. Oczy zalewała jej fala wilgotnych, dziko rozwichrzonych włosów. Usłyszała nierównomierny oddech, potem oboje stanęli bez ruchu. Gdy zorientowała się, jak nieprzyzwoicie wyglądają jej włosy, zebrała je jedną ręką i odsunęła z czoła.

„Dlaczego ona się opiera? Ach, oczywiście! Źle się czuje z mokrymi i rozburzonymi włosami! Każda kobieta marzy, by wyglądać doskonale, kiedy kocha się pierwszy raz z mężczyzną." Gdyby wiedziała, że w tym stanie wydawała mu się boginią wdzięku i doskonałości!

Ujął jej dłoń i położył na jej kolanach.

— Usiądź — poprosił miło. — Pozwól mi...

Jej kolana zadrżały, gdy poczuła na sobie osaczający ją wzrok brązowych oczu spoglądających na nią z lustra. Po omacku zrobiła krok w stronę niewielkiego, buduarowego krzesła, usiadła na nim, sprawdziwszy ręką, czy ono rzeczywiście tam stoi.

Joseph rozejrzał się.

— Która szczotka? Ta?

Ciemna dłoń pojawiła się w zasięgu wzroku Winn, potem wybrała jedną z trzech szczotek leżących na toalecie.

— Tak.

Była to zwykła, plastikowa szczotka z kuleczkami na końcu każdego drutu. Gdy Joseph uniósł dłoń, a druciki zanurzyły się w jej włosach na czubku głowy, kuleczki zaplątały się i zmusiły dziewczynę do oparcia się o jego tors. Lewa ręka mężczyzny natychmiast przytuliła się ciepło do jej czoła.

— Powiedz mi, jeśli jestem nie dość delikatny — rzekł, wpatrując się w czubek jej głowy. Śledziła każdy jego ruch, delektowała się nim. W porównaniu z jej wilgotnymi, zimnymi włosami, pierś mężczyzny płonęła. Jo-jo cofnął się i dokończył ruch, pieszcząc szczotką jej włosy aż do łopatek. Cesał powoli, leniwie, a z każdym ruchem jego koszula stawała się coraz bardziej mokra.

Wstrząsnął nią bezwiedny dreszcz, a mięśnie przebiegł skurcz rozkoszy. Joseph natychmiast podniósł wzrok.

— Zimno ci?

— Tak.

Pogładził dłońmi jej ramiona, przytulając ją do siebie. Ich oczy spotkały się w lustrze.

— Masz mokrą koszulę.

Winn przełknęła ślinę, starając się opanować przyjemny ból rozkoszy, wzbierający w piersi.

— Daj mi ręcznik.

Podawała mu go, a on ponownie przeniósł swą uwagę na włosy dziewczyny. Ujął je pomiędzy dwie warstwy tkaniny i wycisnął z nich nadmiar wilgoci, po czym odrzucił ręcznik na podłogę. Wreszcie ostatecznie ułożył jej fryzurę. Winn przymknęła oczy i rozkoszowała się zmysłowym masażem skóry na głowie i na plecach.

— Podnieś ręce, Winn.

Gdy dziewczyna usłyszała ten miły głos, spojrzała mu przeciągle w oczy i zdała sobie sprawę, że celowo przedłużał pieśczoły, by im obojgu dać czas na przyzwyczajenie się do siebie. Nie było jednak sensu ukrywać faktu, że jej piersi przerodziły się w dwa twarde wzgórki, ani też, że unosiły się i opadały z zawrotną szybkością, gdy dziewczyna posłusznie uniosła ramiona. Jo-jo uchwycił dół jej swetra, podwinął i podsunął na wysokość łokci, odsłaniając nagie piersi oświetlone przez lampy.

Pożerał je wzrokiem.

— Jesteś piękna, Winn! — nabrał w płuca powietrza. — Taka, jaką sobie wyobrażałem.

Ramiona dziewczyny przytuliły się szczelnie do jego ciała. Winn poczuła środkiem pleców, jak twarde są jego mięśnie. Mężczyzna w prawej ręce wciąż trzymał szczotkę, ale zdawało się, że zupełnie o niej zapomniał. Oplótł oboma dłońmi jej szyję i dekolt, potem posunął je aż do piersi, by otoczyć je od zewnętrznej strony i wreszcie zatrzymać w dole, ostrożnie unikając sutek, które odstawały jak dwie wieżyczki na dwóch identycznych wzgórkach.



kach. Omiótł je pożądliwym wzrokiem, ale dotykał wciąż jedynie skóry wokół nich. Piersi Winn były małe, jędrne i stożkowate. Dziewczyna zastanawiała się, ile miejsca zajmą w jego dłoni.

A jego ręce wciąż drażniły jej ciało. Poczowała gładką rączkę szczotki muskającą jej skórę o wiele delikatniejszą, niż szorstkie opuszki palców, które gładziły jej piersi, by po chwili wsunąć się pod nie, jak swoje własne lustrzane odbicia. Potem uniosły szybko obie piersi, jakby wskazując sutkami dwie twarze odbijające się w lustrze.

— Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, zapragnąłem to zrobić. Powiedziałem sobie, że któregoś dnia to się stanie. I pomyślałem, że gdy po raz pierwszy dotknę twojego ciała, będzie ono tak twarde i gibkie jak moje. — Pozwolił jej piersiom opaść swobodnie, jedną dłoń przesunął aż do jej bioder i wyprężył się, by położyć szczotkę na blacie. Potem wyczuła obie ręce obejmujące jej biodra, ześlizgujące się w dół do wgłębienia ponad pępkiem, gdy mężczyzna schylił głowę i pocałował jej nagie ramiona. — Masz doskonałą skórę, nie tak miękką jak większość kobiet. Kto powiedział, że miękka skóra jest seksowna? — Kciuki mężczyzny zatoczyły koło i musnęły tylną część jej talii. Potem jego dłonie powędrowały w górę i ukryły się we wgłębieniu tuż pod zwisającymi znów swobodnie piersiami.

„Czy on nigdy nie dotknie moich sutek?“, pomyślała, zastanawiając się, jak długo jeszcze jest w stanie znieść tę agonię oczekiwania. Ale on wciąż nie zrobił tego ruchu. Napał na jej ścięgna na ramionach i dotknął jedno z nich językiem, powodując, że drgnęła. Jej ciało przeszło dreszcz.

Joseph odezwał się nie odrywając ust od jej ciała:

— Pachniesz podobnie do mnie, bo używałaś tego mydła w klubie. Przez te wszystkie tygodnie, kiedy próbowałem wyczarować cię okiem wyobraźni, myślałem, że pachniesz tak, jak tej nocy podczas wesela.

Każde wypowiedziane przez niego słowo wzmagало jej podniecenie. Joseph wyprostował się, nakrył dłońmi dolne

połówki jej piersi, kładąc kciuki o parę milimetrów od sutek.

— Czy czujesz się speszona, gdy patrzę na ciebie w ten sposób? „Niech powie NIE. Niech będzie dumna ze swego doskonale zadbanego ciała...”

Nie... — wyszeptała.

A czy jesteś speszona patrząc tak na siebie?

— Nie... — położyła dłonie na jego rękach. — Iylko zniecierpliwiona. — Potem skierowała je w górę w górę, aż jej powiększone sutki wydawały się wwiercać w jego dłonie jak diamentowe ostrza.

Poruszała nimi z lewa na prawo, przymknawszy powieki. Ramiona dziewczyny również przesuwały się w tył i w przód. Za sobą czuła Josepha wykonującego te same ruchy.

Ach, Joseph, budzisz we mnie takie zniecierpliwienie...!

— A ja byłem niecierpliwy przez dobre osiem tygodni Czymże wobec tego jest te kilka minut?

Uniosła powieki i napotkała jego wzrok w lustrze.

— Niecierpliwiłeś się? Naprawdę?

Jego dłonie otoczyły zewnętrzne krawędzie jej piersi Delikatnie ujął sutki kobiety pomiędzy kciuki i palce wskazujące, wysyłając impulsy emocji od piersi w dół aż do żaru trawiącego jej łono, które zdawały się teraz łączyć dwie niezależne od siebie części jej ciała.

— I znów wszystko od początku. Chciałem cię mieć tamtej pierwszej nocy, ale po tym, jak wybiłaś mi to z głowy w pagodzie, pomyślałem, że być może masz rację. Może rzeczywiście jest to tylko wiosenne zauroczenie i nic więcej... Ze byłaś ubrana w tę piękną suknię, a ja w odświętny garnitur i że wszystko wokół nas zdawało się być dekoracją dla romansu. Ale nawet jeśli wtedy się wycofałem, nie przestałem myśleć o tobie, pragnąc zrobić to, co robię teraz. Zastanawiałem się cały czas, jak uwieść kobietę noszącą pierścionek zaręczynowy innego mężczyzny.

Joseph, czy ty zamierzasz mnie uwieść?

Uśmiechnął się jedną stroną ust, a w jego oczach błysnęła diabelska iskra.

— A jak ci się podoba ten pomysł? — pochylił się, by dotknąć jej ucha gorącym i wilgotnym czubkiem swego języka.

— Myślałam, że spędzamy z sobą jedną szaloną noc tylko dlatego, że potrzebowałam pocieszenia i rozkoszy.

Końcami palców rozplaszczyl szczyty jej śnieżnobiałych piersi.

— Bądź wobec siebie szczerą. Owszem, potrzebowałam mnie, ale nie miało to nic wspólnego z pocieszaniem. To jest coś, co oboje odczuwamy od momentu, gdy po raz pierwszy spojrzeliśmy sobie w oczy, prawda?

Winn westchnęła lekko i wtuliła łuk swoich pleców w jego ciało.

— Ranisz mnie, Josephie. — Jej dłonie odnalazły jego ręce.

Natychmiast uścisk mężczyzny rozluźnił się.

— Przepraszam — wyszeptał szorstko. Spuścił głowę i pocałował ponownie jej ramiona. Potem policzek i koniuszek ucha, pieszcząc teraz jej piersi z rozwagą skruszonego grzesznika. Odchyliła głowę i oparła ją na jego nagich ramionach, ponownie przykrywając jego dłoń swoją, podążając palcami w ślad za jego ręką. Wyczuwała pod dłonią twardą powierzchnię jego kostki, włoski i nie obcięte paznokcie.

Joseph wymamrotał w jej szyję:

— Ach, Winn, kocham cię! To nie jest żadna szalona wiosenna gorączka! To jest najstraszniejsza rzecz, przez jaką było mi dotychczas dane przejść w życiu.

Dziewczynie wydawało się, że za chwilę pęknie jej serce i odpłynie krew. Również pragnęła wyznać mu swą miłość, ale zamiast słów, których nie miała prawa wypowiedzieć, mogła jedynie rzec:

— Wiem, Joseph, wiem. Sama przechodzę przez coś takiego.

Joseph odwrócił jej tw<sub>ar</sub>2 i uniósł ją, po czym pocałował z takim zapałem, że jej krew o mało się nie zagotowała. Jego język kusił ją prowokacyjnie, zataczał koła, badał, przebiegał wzdłuż jej zębów i dotykał najbardziej intymnych zakątków, gdzie policzek łączył się z ustami. Ssał jej język tak, jak pragnęła, by robił to z jej sutkami, wywołując głęboką tęsknotę, która trawiła od wewnątrz ducha jej kobiecości, powodując, że dziewczyna odchyłała się do tyłu w zadowoleniu i radości. Pragnęła doświadczyć więcej lub umrzeć. Niezdolna tolerować jakichkolwiek ograniczeń ani chwili dłużej, zerwała się z krzesła i zadziwiła ich oboje rozkazem:

— Teraz ty siadaj! — Ujęła w dłoń szczotkę. — Co dobre dla gęsi, dobre i dla gąsiora.

Zdziwiony nagłą zamianą ról właśnie wtedy, gdy miał wykonać swój ruch, stanął z uniesionymi ramionami w chwili, gdy druzgocąca siła jego głębokiego oddechu uderzyła pomiędzy nich. Zacisnął pięści. Cień na jego pępku rytmicznie poszerzał się i zwężał.

Zmusił się, by rozluźnić mięsień po mięśniu, zatopił swój czarny wzrok w jej oczach i opadł na krzesło. Ale zamiast usiąść twarzą w stronę lustra, skierował się w jej stronę, siadając na małym stołku tak, jak kiedyś to już uczynił. Przesunął dłońmi wzdłuż jej prężnych ud, nakrywając jej pośladki i przyciskając ją do siebie. Wtulił twarz w gorące piersi. Ale dziewczyna natychmiast odepchnęła jego ramiona, odzyskując wolność.

Jeszcze nie teraz! Czuję się bardziej kobieca i silna, gdy każę ci czekać, tak jak ty mi kazałeś. Pozwól mi tak przez chwilę się pobawić. Rozluźnij się, proszę, i zamknij oczy.

Zrobił, jak mu kazała i zaprzestał miłosnych wyzwania, kładąc ręce na niskim, drucianym oparciu krzesła i pozwalając rozluźnionym palcom opaść w kierunku podłogi. Ramiona mężczyzny obsunęły się nieco, głowa pochyliła się, a usta rozwarły. I chociaż jego oddech wciąż był nierówny, całe jego ciało czekało całkowicie odprężone.

Z podziwem przyglądała się jego włosom, zanim zrobiła coś, co planowała już wielokrotnie: podniosła palce i wplotła je pomiędzy kędziorki. Ale loki trzymały się sztywno tak, jak wyschły. Jedynie na czubku głowy wciąż jeszcze były mokre. Rozczesała je więc, przebiegając szczotką od czoła aż do podstawy szyi. Potem ze skroni do tego samego miejsca. Gdy tak gładziła jego włosy, uniósł brodę i wysunął głowę naprzód. Jego oczy wciąż pozostawały zamknięte.

— Dwie rzeczy, w których zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia, to oczy i włosy. Nawet tamtej pierwszej nocy miałam straszną ochotę dotknąć tych twoich loczków i powąchać je... — pochyliła się i zanurzyła nos w miękkiej czuprynie. Pocałowała gorącą skórę. Jego włosy tworzyły najwspanialszą strukturę, jaką kiedykolwiek miała okazję dotknąć. A gdy poczuła ich nieskazitelną zapach, wilgotne powietrze zawirowało w jej piersi. Dug-gan wciąż pozostawał posłuszny. Nie dotykał jej i nie przeszkadzał. Zadowolona powróciła do przyjemnego zajęcia. Cesała go przez pełną minutę, aż poczuła jego palce tuż za prawym kolaniem. Podążały do góry, aż napotkały czerwone szorty dziewczyny. Przyspieszyła oddech i spojrzała szybko w dół, by dostrzec wciąż jeszcze przymknięte powieki. Teraz jego palce posuwały się powoli w dół, znów do jej kolana, po czym przemierzały tę ekscytującą trasę w dół i w górę wzdłuż drugiej nogi. A szczotka wciąż wędrowała przez gęstwinę włosów mężczyzny, lecz coraz wolniej... wolniej... i wolniej...

Twarde kostki mężczyzny pieściły wewnętrzną stronę uda i pospieszyły w stronę łona, by podrażnić prężne ciało w górnej części jej nogi. I wtedy ścisnął przeciwną kończynę w zmysłowej zapowiedzi wrażeń, które miały dopiero nadejść.

Dłoń kobiety wciąż spoczywała na jego głowie, a szczotka wczepiona była we włosy. Dziewczyna rozkoszowała się uczuciem wywoływanym przez palce podążające w górę i wślizgujące się pod jej elastyczne majtki.

Ale zamiast powrócić w dół, dłoń podążyła w górę aż do biodra, penetrując wgłębienie ciała. Potem znów swobodnie opadła.

Gdy dotknęła spłaszczonych włosów, palce zatrzymały się, a Joseph i Winn równocześnie otwarli oczy. Jego głowa pozostała odchylona, jej natomiast opadała do przodu. Żadne z nich nie dostrzegало widocznego ruchu partnera.

Wśliznął całe swe palce pod białą, trykotową bieliznę. Wezbrane rzeki w ciele Winn zaczęły występować z brzegów. Lewe oko dziewczyny przymknęło się powoli, a pięści opadły bezwładnie na jego ramiona. Zwilżyła językiem wargi. Uwolniona dłoń odnalazła plecy dziewczyny i zmusiła ją, by postąpiła krok naprzód. Kolana Winn oparły się o krzesło.

Wilgotny, gorący język Duggana dotknął nagiej skóry na jej brzuchu tuż ponad pasem. Po chwili jego zęby uchwyciły elastyczny materiał jej szortów i szarpały go sugestywnie, zanim ich właściciel nie zrezygnował, spoglądając w jej uniesione, niebieskie oczy.

Joseph odwrócił wędrujące palce tak, że opuszki palców spoczęły na ciele Winn. Nie napotkały jednak nic nowego, gdyż Joseph sięgał pod niewłaściwym kątem, siedząc okrakiem na krześle. — Uklęknij — rozkazał dziwnie niskim głosem.

Jego dłonie objęły biodra dziewczyny, która bez wahania upadła na kolana. Prawa ręka mężczyzny spoczęła na jej plecach a lewa wśliznęła się za elastyczny materiał bielizny, szukając obiektu pożądania.

I wtedy na podłogę spadła szczotka, wydając przytłumiony odgłos, który zlał się z dźwiękiem dobywającym się z gardła dziewczyny.

Usta Josepha odszukały wargi Winn, która objęła jego ramiona w chwili, gdy poszukiwania nabrały rytmu zgodnego z jej ruchami dżokeja jadącego na galopującym koniu. Głęboki pomruk zawirował w jego gardle. Dziewczyna pogładziła jedną ręką jego muskularny tors pokryty gęstym lasem włosów, przesuwając ją obok niewielkich sutek w dół, aż dotarła do granicy jego zarostu, prowadzącej do

krótkiego pasa tkaniny okrywającego jego lędźwie. Winn pieściła i przemierzała jego ciało pod szortami z zamkiem błyskawicznym i kieszonką.

Szeroko rozstawione nogi Duggana dawały jej pełny dostęp do jego najintymniejszych miejsc. Poszła za jego przykładem, wsuwając swoje palce do nogawki i napotykając pierwszą sprężystą powierzchnię miękkiego męskiego organu spłaszczonego przez spodnie. Joseph mruknął i rozprostował plecy, uwalniając jej usta. Ale dziewczyna nadal nie mogła dosięgnąć... Mężczyzna poruszał się grzesznie, unosząc biodra z maleńkiego krzesła, oparłszy się łokciami na toaletce.

Winn sięgnęła do paska partnera, który na dotyk jej gorących palców na brzuchu wciągnął wielki haust powietrza i wstrzymał oddech, stwarzając w ten sposób szczelinę między swym ciałem a ubraniem. Mięśnie brzucha wyglądały jak wyrzeźbione w drewnie. Winn dotykała ich kostkami dłoni, wypinając ciężki, metalowy guzik z dziurki.

Pomyślała o białej bieliźnie, którą Joseph wcześniej trzymał w dłoni. Sięgnęła do zamka i rozsunęła go powoli.

Drgnął, gdy poczuł pierwszy, zamierzony, choć nieśmiały dotyk koniuszków jej palców. Potem usiadł znów na krześle i czekał. Pochylił się teraz, szepcząc wprost do jej ucha:

— Winn, Winn, jak długo czekałem, żeby poczuć twój gorący dotyk!

Zawsze myślała, że to kobiety odzywają się w ten sposób, ale jego ciężki oddech i słowa zachęty pozwoliły jej zdać sobie sprawę, że ten mężczyzna jest inny. Nie wstydził się przyznać do swych słabostek i pragnień. Właśnie to fascynowało i podniecało ją najbardziej.

Gdy jej ręka po raz pierwszy objęła jego czułe miejsce, mężczyzna jęknął i wsunął jedną rękę pod jej bieliznę z tyłu, drugą z przodu, splatając dłonie na kształt siodła zrobionego z gorącego ciała. Jego palce zagnieździły się w jej gorących fałdach.

— Och, Joseph, jesteś niesamowity...! Wiedziałam, że tak będzie! Często, gdy przebudziłam się w nocy, leżałam i wyobrażałam sobie, że dotykasz mnie na tysiąc sposobów... Och...! — starając się złapać powietrze wygięła się w tył. Język mężczyzny wśliznął się do jej ust, poruszając się zgodnie z rytmem, jaki narzucili sobie wcześniej.

Ich ciśnienie niebezpiecznie rosło, porywając Winn w świat rozkosznej nieświadomości tak, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Joseph wstał i ugiął nogi wokół małego krzesła, potem kopnął je za siebie, ściągając ją w dół aż do swych stóp.

Szybko zginając jedno kolano zsunął jej szorty i bieliznę do podłogi. Gdy podniósł się ponownie, jej ręce czekały już, by przesunąć się po jego biodrach i uczynić to samo z jego spodenkami. Spadły na podłogę cicho dzwoniąc drobnymi monetami schowanymi w kieszeni. Wyszedł z nich i objął ją obydwoma rękami tak, jak przedtem: jedną pośrodku z przodu, drugą z tyłu, przypominając słodką, niespełnioną obietnicę sprzed kilku minut. Ich usta spotkały się w szaleńczej wymianie języków, a jej dłoń muskała, pieściła i poszukiwała.

— Powoli, panienko! — wyszeptał cicho wprost do jej ust. — Jestem prawie na szczycie.

— Ja również...

Joseph uniósł głowę i uśmiechnął się. — Tak szybko?

— Zbyt szybko? — spytała nieśmiało.

— Mmm... — przymknął powieki. — Wcale nie! Chodź tutaj...

Jego owłosione nogi trącały jej gładkie uda, aż podeszła do stóp swego łóżka i opadła na nie.

Joseph ukląkł na podłodze i pochylił się, rozdzielając jej nogi klatką piersiową, kładąc swe rozwarte dłonie na jej żebrach i całując miękką dolinę jej talii. Podciągnął się wyżej, posuwając torsem po jej szczupłym ciele, które uniosło się, by powitać go gorąco.



I wtedy w końcu — och! słodki koniec! — zaczął całować jej piersi na zmianę: raz lewą, raz prawą. Liźnięcie lewej sutki, które wzmogło podniecenie, potem prawej. Winn zacisnęła dłoń z tyłu jego głowy tak, że z pewnością nie pozwoliłaby mu odejść i skierowała jego usta do uwypuklonego wzgórka prężącego się ochoczo pod jego językiem, który pokrył go w końcu całkowicie. Szeroko, wilgotno, w cudowny sposób biorąc to, co oferowała, to, czego spotkanie on odkładał, aż również dozna wystarczająco silnego podniecenia. Podrażnił sutki swymi nabrzmiętymi ustami, jakby miał zamiar je naciągnąć, tak jak klarncista ustawia i dopasowuje ustnik swego instrumentu przed próbą wydobywania z niego doskonałych dźwięków.

Ale pierwsze dźwięki wydobyły się z gardła Winn w krzyku ekstazy. Były to pozbawione słów oznaki zadowolenia i dzikiego pożądania. Skręcała się pod nim z bólu i zapraszająco unosiła biodra. Ale mężczyzna przycisnął ją do łóżka, przejmując inicjatywę — zasysając jej piersi i nawilżając sutki, aż pragnienie zdobycia szczytu stało się bólem gdzieś wewnątrz ciała.

Jego żar zniknął z jej piersi, aż otworzyła oczy, by spojrzeć w dół na niego. Przyglądał się jej bez uśmiechu, lekko zamglonym wzrokiem odbijającym delikatne światło lamp na toaletce.

— Jeśli mam cię mieć tylko przez jedną noc w moim życiu, pragnę cię mieć całą. Nie chcę kiedyś spoglądać w przeszłość i żałować, że nie zrobiłem czegoś, co chciałem zrobić.

Wsparła się na łokciach i zagłębiła swój błękitny wzrok w jego intensywnie brązowych oczach. Postawą oznajmiał swoje zamiary. Serce dziewczyny uderzyło jak młot, gdyż zaczęła się zastanawiać, czy jest dla niego wystarczająco śmiałą partnerką. Jednakże czuła się z nim tak dobrze, że wszelkie opory zniknęły wobec siły jego wzroku. Oboje byli przesadnie zmysłowymi ludźmi. Mogła się domyślić, że w akcie miłosnym będzie równie waleczny jak na korcie.

Poczuła, że Joseph czeka na jej aprobatę, uniosła więc dłoń, by pogłodzić włosy tuż za jego uchem. Odwrócił się, by ukąsić jej mały palec i odezwał się, wciąż trzymając go w zębach.

— Ciągle pachniesz tak jak ja. A ja chcę, żebyś pachniała tak, jak cię pamiętam. Leż tak, Winn! I spełnij, proszę, jedno moje życzenie, piękna kobieto.

Znieruchomiała na chwilę, potem opadła na plecy, przyglądając się uważnie, jak mężczyzna wstaje i podchodzi do jej komody. Zdjął z toaletki okrągłe, białe, plastikowe pudełko, na którym leżała śnieżnobiała poduszczyca. Odkręcił wieczko i skierował się w stronę łóżka. Jej oczy śledziły każdy jego ruch, gdy podchodził, by usiąść obok niej. Zahaczył kolana o bok jej łóżka i przekręcił się na biodrze opierając się na łokciu. Popudrował ją w różnych miejscach, podniósł poduszczykę i powiedział:

— Unieś do mnie brodę!

Uniosła, pozwalając swym oczom, by dryfowały po oceanie wyobraźni, do której z realnego świata docierał zapach Chanel Nr 5. Obsypał jej piersi i żebra.

— Podnieś rękę.

Rzuciła je leniwie ponad głowę i pozwoliła erotycznym obrazom przesuwać się przed oczyma swej wyobraźni pobudzonej prowokującą wonią. Popudrował jej ramiona, potem rękę, po czym zanurzył poduszczykę w pudełku i niedbale zaczął wędrowkę w dół jednej nogi. Usiadł przy tym, by w końcu unieść jej stopę z podłogi, zginając się, by dosięgnąć śródstopia. Temu samemu zabiegowi poddał również drugą nogę, po czym uniół ją delikatnie, pocałował i pozwolił jej opaść.

Znów zaczerpnął pudru i zaaplikował białą chmurę jej brzuchowi i miękkiemu wgłębieniu jej ud.

Pochylił się, złożył na brzuchu kobiety długi pocałunek i poprosił:

— Odwróć się.

Z rękami wciąż leżącymi ponad głową przewróciła się na bok. Delikatne muśnięcia poduszczyki z pudrem draż-

niły każdy cal jej prężnej skóry. Zwróciła policzek w stronę zmierzwionej pościeli i rozluźniła się. Gdy Joseph trącił wgłębienie pod jednym z kolan, cofnęła je i podrapała drugą stopą.

— Łaskotki?

— Uhm... — wymamrotała do poduszki.

— Mmm... Interesujące. — Znów musnął wgłębienie kolana, tym razem jednak tylko najdelikatniejszym końcem poduszcзки. Zwinęła się i klepnęła go w rękę, by odegnać kawalarza. Roześmiał się głębokim, gardłowym śmiechem, potem materac przesunął się i poczuła lekkie uderzenie o podłogę, jakby zetknięcie plastikowych powierzchni, i moment ciszy, zanim skrzypnęły jego kolana.

Chłodna, szorstka dłoń pchnęła lewą stopę dziewczyny i noga zgięła się w kolanie. Coś gorącego, jakby jego nos, dotknęło ją, przesuwając się od dużego palca do pięty. Mężczyzna złożył mokry pocałunek na środku stopy, potem znów spuścił ją w dół i obsypał wilgotnymi pocałunkami jej łydkę, zatrzymując się chwilę dłużej na wgłębieniu pod kolanem. Potem podązał dalej, wzdłuż jej gibkich ud, jednego pośladka, który delikatnie klepnął, wreszcie w górę aż do kręgosłupa. Gdy doszedł do jej szyi, jego kolano wdarło się pomiędzy jej nogi, a dłoń spoczęła na jej głowie.

— Winn, moja piękna Winn! Jeśli zrobię coś, co ci się nie spodoba, po prostu przerwij mi.

Ona jednak nie potrafiła wyobrazić sobie, jak mogłaby przerwać te niebiańskie pieszczoty. Joseph znał kobiece pożądanie tak dobrze, jak kąt uderzenia piłki w racket-ballu, przewidywał każdy ruch Winn, jak odbicia piłki od ściany, sufitu i podłogi.

Prowadził tę miłosną grę z doświadczeniem mistrza, które przeraziło dziewczynę, gdyż zdała sobie sprawę, że musi mieć za sobą wiele praktyki, która uczyniła go tak doskonałym i zniewalającym, choćby z powodu tego, jak doskonale znał jej najbardziej czułe punkty.

Pogładził jej ręce aż do ramion, przyłgął nagim ciałem do pleców. Skręcając biodra wśliznął dłoń pod nią, by popieścić jej spłaszczone piersi. Przez cały ten czas jego język badał i muskał jej szyję, małżowinę uszną, kark, sięgnął pod ramionami, jej talię, pośladki, potem nogi, aż Joseph ukląkł z powrotem na podłodze. Powolnym, lecz nie znoszącym sprzeciwu gestem odwrócił ją na plecy. Całował wnętrze jej kolan, ud, wywołując dreszcz przebiegający wzdłuż całego jej ciała i zapraszając ją do nowego królestwa swawoli, gdzie nie uczyło się nic: z wyjątkiem ugaszenia płonącego w jej duszy żaru.

Gdy dotknął ją, nie była przygotowana na ów ognisty piorun. Jej biodra podskoczyły konwulsyjnie... jeden jedyny raz. Potem jej palce zacisnęły się na pościeli i zaczęły ją szarpać. Było to coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Nie tylko w swej zmysłowej sile, ale również w daleko głębszym znaczeniu, w całkowitym oddaniu się drugiej osobie w tej płonącej namiętnością chwili. Wtedy skupiała się cała słabość, gromadziło zaufanie.

Gdy uniosła się do niego, usłyszała, jak mamrocze pozbawiony słów protest miłości. Przyjemność była wręcz przerażająca. Chwilami nawet tak intensywna, że Winn piszcziała, słysząc, jak jej własne gardło wytwarza dźwięki, których nie znało wcześniej.

Dopiero później jednak zdała sobie sprawę, że w chwili-U, gdy Joseph doprowadził ją prawie do szczytu, jej umysł wyczarował czarną Unię prochu z iskrami ognia świecącymi wzdłuż niej w trwałym, niezniszczalnym porządku, wypalającym się coraz bliżej detonatora, by w końcu go osiągnąć i wysłać ziemię w niebiosy.

— Joouo-seeeeeeph!!! — krzyknęła przeciągając w ekstazie samogłoski, gdy jej ciało drżało i pulsowało.

Potem odwróciła biodra, na jej twarzy i na klatce piersiowej pojawiły się krople potu, gardło bolało ją od strasznego krzyku, który z niego wydobyła. Bezwładnie osunęła się na pościel i zapadła w letarg. Ześlizgiwała się

z łóżka ciągnięta przez silne ręce, które owinęły się wokół jej kolan. Gdy jej biodra znalazły się na końcu materaca, przed oczyma ujrzała twarz Josepha Duggana. — Winn Gardner, kocham cię! Jego łokcie drżały, gdy wsparł dłonie z obu stron jej głowy i przytulił nabrzmiałe usta do jej ust. Dziewczyna delektowała się słodką wonią pudru, którym wcześniej ją pokrył. Jego gibkie ciało gotowe było by się z nią połączyć. Sięgnęła, by mu pomóc, oferując najgłębsze zakamarki swego jestestwa. Odkryła nowy cud aktu miłości: jak wspaniale jest doświadczać tego, będąc już w pełni nasyconą! Bo gdy Joseph przylgnął do jej ciała, odzyskała już świadomość po osiągnięciu szczytu rozkoszy i z zainteresowaniem przyglądała się każdemu z jego napiętych mięśni, które falowały wzdłuż jej żeber, naprężone od wewnętrznej strony łokcia i zgromadzone na torsie. Jej dłonie spoczywały lekko na jego pośladkach, wyczuwając pod palcami wzniesienia i zaokrąglenia przy każdym ruchu mężczyzny zagłębiającego się w kobietę. Przesunęła dłonie na jego biodra i delektowała się spokojnymi ruchami wplatającymi ją w sieć jego doskonale uformowanego ciała. Jego plecy — ach! jego plecy! — jakże były gorące, silne i prężne, gdy poruszał się jednostajnie. Poznawała ich powierzchnię dłońmi, potem piętami, na koniec łydkami. I w końcu dotknęła opuszkami swych palców miękkich, męskich genitaliów, które kołysały się tuż nad nią.

Kiedy wystrzelił w jej ciało, tysiące światła zawirowało w jej oczach, a próbując akt, który z sobą dzielili.

Był wyśmienitym samcem. I wrażliwym człowiekiem. Był czymś więcej, niż jej seksualnym Nemesis. Był jej miłością.

Gdy doszedł do szczytu, siłą końcowych konwulsji przesunął ją w łóżku o stopę w górę. Wspaniały, zwierzęcy dźwięk wydobył się przez jego zaciśnięte zęby.

Potem upadł wyczerpany, swoim ciężarem prawie zapierając jej dech.

## ***Rozdział X***

— Leo zrobimy, Winn? — Joseph leżał na boku i spoglądał w jej oczy zakłopotanym, badawczym spojrzeniem. Błyszcząca wilgoć znikła już z jego ramion.

— Nie wiem.

— Nie możesz za niego wyjść. Po prostu nie możesz! Dziewczyna przymknęła oczy, ale jej powieki drżały.

Potem otwarła je i Joseph ujrzał w nich całą burzę, której musiała się przeciwstawić. Straszliwy ból chwycił go za serce, jak gigantyczna pięść, i ścisnął coraz mocniej.

— Czy naprawdę potrafiłabyś zrobić to ze mną i wrócić po tym wszystkim do niego?

— A jakież mam inny wybór?

Joseph leżał na zgiętym łokciu, drugą ręką pieścił jedną stronę jej twarzy, czubkami palców odgarniając ze skroni zmierzwione włosy.

— Chcę ci powiedzieć jedno: Wyjdź za mnie, Winn! Tak, jestem pewien, że to właśnie chcę ci powiedzieć, chociaż wiem, że wszystko zdarzyło się tak szybko. Potrzebuję trochę czasu, który mógłbym z tobą spędzić, trochę więcej, niż mieliśmy dotychczas. Oboje go potrzebujemy tak, żebyśmy mogli odkryć nasze możliwości. Mam dwadzieścia siedem lat, długo czekałem, by znaleźć właściwą kobietę. I nie zamierzam traktować naszego związku jako chwilowego... Chcę się z tobą ożenić!

— Ja też nie...

Kciuk mężczyzny dotknął jej kości policzkowej i znie-

ruchomiał. Ich pochmurne spojrzenia stały się zbyt intensywne, dziewczyna zamknęła więc oczy, by nie patrzeć na przepelnioną smutkiem twarz mężczyzny.

— Spójrz na mnie. — Poczowała na sobie jego uścisk. Podniosła powieki. — Kocham cię, Winn Gardner. I nie chcę, żebyś robiła rzeczy, które nie przyniosą ci szczęścia. Spędziłem wystarczająco dużo czasu na wyszukiwaniu niezgodności waszych charakterów i wykazywaniu ci, że on nie jest stworzony dla ciebie. Nie jest dla ciebie wystarczająco dobry, prawda?

Winn rozchyliła usta i zwilżyła je językiem. Refleksy światła zaśniły na jej nosie i po chwili kilka łez stoczyło się z kącików oczu, by popłynąć w dół. Ale nie wiedziała, co odpowiedzieć. Skąd Josephowi przyszło do głowy, że Paul nie jest jej godzien...? Przecież to właśnie ona go zdradziła!

Silna dłoń opuściła jej policzek i zaczepiła włosy za ucho. Potem spoczęła na wąskiej powierzchni jej podbródka.

— Powiedz mi, co on robi, żeby uczynić cię szczęśliwą? Winn z desperacją starała się przypomnieć sobie choć

jedną taką rzecz, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

— A w łóżku? — naciskał Joseph. — Czy zrobił ci kiedykolwiek coś takiego, jak ja przed chwilą?

Jej powieki częściowo przysłoniły oczy, gdy spuściła wzrok. Poczowała kostki jego dłoni naciskające jej policzek, zmuszając jej niebieskie oczy i zalaną rumieńcem twarz do spojrzenia wprost na niego.

— Zrobił?

— Nie... — wyszeptała.

— A ktokolwiek inny?

Jej twarz zalała kolejna fala czerwieni.

— Nie.

— Więc pierwszy raz! — stwierdził z zadowoleniem. Jego palec wskazujący przebiegł wzdłuż jej dolnej wargi i wśliznął się do środka, by dotknąć jej zębów. — Tylko dlaczego ze mną?

Dziewczyna próbowała odwrócić się na plecy i przenieść spojrzenie na sufit, ale Duggan nie pozwolił jej na to.

— Dlaczego więc mi się udało?

— Bo po prostu... Bo po prostu... spróbowałaś... i było wspaniale.

— Czy chcesz powiedzieć, że nikt wcześniej nie próbował robić tego z tobą?

— Nie było ich wielu, Josephie.

— Ilu?

— Czterech. Ty jesteś piąty.

— A ci inni?

— Kolega z uczelni i dwaj inni, z college'u, zanim spotkałam Paula. A teraz ty.

— A teraz ja...

Przyjrzał się jej i stwierdził, że jej oczy nabrały zadziwiająco akwamarynowego blasku, skrzęcającego się tu i ówdzie wśród niebieskiej głębi. A to nieświadome mrugnięcie jedną powieką nadchodziło w jak najbardziej odpowiedniej chwili.

— W dzień, w którym wrzuciłaś do skrzynki swoje ślubne zaproszenia, pozwalasz mi na swawole, na które nigdy nie pozwalałaś nawet mężczyźnie, którego zamierzasz poślubić. Dlaczego?

— Ponieważ z tobą czuję się wolna i otwarta. A w chwili, gdy to się stało, czułam się w pełni komuś oddana. Chciałam... Zdawało mi się... — próbowała zakryć oczy dłonią, ale Joseph chwycił jej nadgarstek w pół drogi. — Nie wstydź się mnie... Nigdy, Winn. Nic masz ku temu powodu. Zdawało ci się, że...?

— Czytałam o tym wcześniej i widziałam zdjęcia, ale zawsze wydawało mi się to... zboczeniem. A teraz z tobą stało się to... — Wetknęła pościel pod brodę i wreszcie podniosła wzrok. Jej cudowne oczy spoczęły na jego twarzy. Kochał je. — ...takie podniosłe. I piękne — zakończyła przytłumionym głosem.

Jego przygasły wzrok przebiegał powoli jej ciałem.



Westchnął, by odegnąć od siebie czarne myśli i pocałował ją między błękitne paciorki oczu. Położył się na powrót i znów zaczął się jej przyglądać.

— I po tym wszystkim chcesz za niego wyjść? Rozzłościła się teraz i usiadła. Ześliznęła się z łóżka i przez hall przeszła do łazienki, skąd poinformowała go:

— Nie zdajesz sobie sprawy, jak to wszystko jest skomplikowane, Joseph. Twoja matka nie wynajęła dostawców, cukierników i kwiaciarzy. I nie założyła góry pieniędzy za każde urządzenie, które ma być wykorzystane, i za usługi.

Przewrócił się na plecy, wsparł głowę na obu dłoniach i parsknął w sufit.

— Więc chodzi o pieniądze?

W odpowiedzi usłyszał szum wody rozpryskującej się o podłogę, a potem coś, co brzmiało jak zatraskiwanie szuflady. Gdy wróciła i wciąż naga zatrzymała się w nogach łóżka, jej głos stał się wyraźniejszy.

— Joseph, ty nie rozumiesz, na czym polega mój problem z matką. Jestem nieślubnym dzieckiem. A ona musiała mnie wychowywać bez najmniejszej pomocy. Bez grosza. Przeszła przez ciążę bez mężczyzny i urodziła mnie bez ojca, który mógłby podpisać akt urodzenia. Żyła przez dwadzieścia pięć lat tak oszczędnie, jak tylko mogła. Zabezpieczenie — to zawsze było najważniejsze. A jedynym zabezpieczeniem, jakie mogła sobie zapewnić, były pieniądze. Nie miała przecież mężczyzny, który chroniłby ją i obdarowywał uczuciem. Wobec tego pieniądze stanowiły dla niej najwyższą wartość. Oszczędzała powoli, coraz więcej, i gromadziła je skrupulatnie. Aż do tej chwili, gdy zaręczyłam się z Paulem. Wtedy po raz pierwszy rozwiązała mieszek. Daje mi w prezencie wesele, które uważa za godne najwyższych sfer. Czy możesz wyobrazić sobie jej rozczarowanie, gdybym poszła teraz — po rozesłaniu zaproszeń, po wydrukowaniu ogłoszeń w gazecie, po ustaleniu daty wieczoru panińskiego — i powiedziała jej, że zmieniam zdanie?

Teraz jego oczy nie skrzyły się już tym uwodzicielskim blaskiem. Przygasły, gdy leżał tak z uniesionymi ramionami i wklęsłym brzuchem. Nagle podniósł się wyciągając do niej rękę.  
— Podejdź tutaj. Czy moglibyśmy dokończyć tę rozmowę objęci i wtuleni w pościel, zamiast zachowywać się, jak dwoje złych na siebie nieznajomych?

Natychmiast ogarnęła ją fala ulgi. Pochyliła się, by podać mu dłoń. Pociągnął ją delikatnie tak, że opadła na niego. Chwycił ją za ramiona i powiedział:

— Nie chciałbym nigdy więcej kłócić się z tobą o to. Oboje wiemy, że zrodziło się to, gdy kochaliśmy się, prawda?

— Myślę, że tak.

Spojrzeli na siebie zakłopotani, a w oczach dziewczyny pojawiły się perełki łez. Uwolnił ją i powiedział:

— Wskakuj, zimno mi.

Podpełzła na czworaka do wezglowia łóżka, a on wśliznął się obok niej, wtulając się w koc i obejmując ją ramionami. Przytuliła głowę do jego brody, odwróciła się na bok i czule objęła ramieniem jego tors.

— Czy nie odwołałaś tego ślubu, bo nic. poprosiłem cię wcześniej, żebyś za mnie wyszła? — spytał.

— Nie, Joseph. Boję się łamania wszystkich towarzyskich reguł, wszystkich zobowiązań, które, śmiertelnie mnie przerażają. Ośmieszyłabym się, ale to jeszcze jestem w stanie znieść. Ale nie mogę tego zrobić matce i Paulowi, którzy takiej możliwości w ogóle nie biorą pod uwagę.

— A inne zobowiązania towarzyskie? Westchnęła i chciała delikatnie odwrócić się od niego. Ale nie pozwolił jej na to i przywrócił ją do poprzedniej pozycji.

— Powiedz mi — rozkazał.

Powiedziała mu w kilku słowach, wymieniając wszystko, o czym tylko sobie przypomniwała: korespondencja, zaproszenia, dostawcy, serwetki dla gości, szampan, limu-

zyny, świece, fotograf, jubiler, wynajęcie odzieży, suknie dla druhen, suknia ślubna, księga pamiątkowa, poduszka pod obrączki, zaopatrzenie, upominki dla uczestników, organista, śpiewaczka, nawet specjalne kieliszki do toastu ślubnego. Gdy bez tchu skończyła wreszcie, jej dłoń zaciskająca się dotychczas na jego ramieniu opadła bezwładnie na materac.

— O, mój Boże... — wymamrotał.

Winn roześmiała się i obojgu przyniosło to chwilową ulgę.

— Widzisz? Mówiłam ci.

— Czy to znaczy, że wszyscy muszą przez to przejść, gdy się żenią?

— Nie. Tylko głupcy.

— To znaczy, że ty nie marzysz o tych „rozkoszach”? Zawsze myślałam, że najwspanialsze wesele byłoby

wtedy, gdybym miała wokół siebie tylko najukochańszych krewnych i najbliższych przyjaciół. Może w jakimś cudownym ogrodzie albo na łące, gdzie kwitną bzy. Potem byłby szybki obiad w domu mojej matki, pojechalibyśmy do North Woods, spalibyśmy w namiocie w spiętych z sobą śpiworach, a to wszystko w ciągu długiego tygodnia w towarzystwie jedynie niedźwiedzi, szopów i jeżozwierzy.

Jego ramiona znów otuliły ją, głaszcząc jej nagie plecy wzdłuż kręgosłupa.

Mmm... — wymamrotał wśród jej włosów. — Brzmi doskonale. Zróbmy to.

— Jo-jo, bądź poważny.

— Jestem poważny jak nigdy. I z każdą minutą odkrywam coraz więcej naszych wspólnych upodobań i zainteresowań... — Nagle przeciągle ziewnęła.

Winn przymknęła oczy, rozkoszując się szczęściem, i wtuliła się w jego rozgrzane, nagie ciało.

- Jo-jo, nie mogę za ciebie wyjść — powiedziała lniwie. — A poza tym: powiedziałeś przecież, że jeszcze się nic zdecydowałeś.

— Powiedziałem? — wymamrotał bez zainteresowania.

— Uhm.

Jej dłoń opadła na jego tors. Pod palcami poczuła, że jego ciało unosi się i opada, a oddech staje się dłuższy i bardziej równomierny. Światło nadał paliło się, ale żadne z nich nie przejęło się tym. Ich kończyny rozluźniły się, a powieki zwiotczały. W pokoju rozległo się cichutkie chrapanie i Winn na sekundę otworzyła oczy. Uśmiechnęła się zaspana na widok jego ust i uśpionej twarzy. Wtuliła się głębiej w swoją poduszkę, dłonie wsunęła pod policzek, a ramionami oplotła jego gorące żebra.

Kiedy zaczął chrapać głośniejsze, zbudziła go.

— Odwróć się, Joseph.

— Co? — zdezorientowany otworzył oczy.

— Odwróć się.

Odwrócił się na prawy bok a ona położyła się za nim, obejmując ramieniem jego brzuch i przytulając się bezpiecznie do jego pleców. Nie było miejsca na ziemi, w którym wołałyby teraz być.

Rano obudzili się prawie jednocześnie i uśmiechnęli się do siebie, wyrażając w ten sposób niewypowiedzianą radość, jaką sprawiło im ujrzanie twarzy ukochanej osoby.

— Lubię z tobą spać. — Joseph uniósł oba ramiona nad głowę w pozie przypominającej Atlasa.

Wszystko w nim drżało. W sercu kłębiły się chmury niepewności i zdenerwowania.

— Pewnie dlatego, że nie chrapię?

— A czy ja chrapałem?

— Tylko troszkę.

Jego gibkie ramiona przyciągnęły ją do siebie.

— Mmm, w takim razie będę musiał to jakoś zrekompensować, prawda?

— Owszem. Dochodzi jeszcze do tego ekstra rachunek za światło. Spojrzał w tył przez ramię.

— Zostawiliśmy je zaświecone?

— Uhm.

— Po prostu chciałaś sprawdzić i upewnić się, że to właśnie ja jestem z tobą, gdybyś przypadkiem zbudziła się w środku nocy z ręką na czymś bardzo ważnym.

— Uhm — zgodziła się i oboje wybuchnęli śmiechem. Wciągnął ją pod siebie i oparł się na łokciach.

— Jedź dziś ze mną — zachęcił.

— Dokąd się wybieramy?

— Na aukcję w Bemidji.

— Och, aukcja! Zapomniałam. Roześmiał się patrząc jej w oczy.

— Pojedziesz?

Zakreśliła jeden z jego loczków wokół swego palca i uśmiechnęła się do niego zachęcająco. Mruknęła:

— Wypróbuj mnie więc, duży chłopczyku.

— Och, rumienię się ze wstydu — zażartował. Winn zaplotła ręce wokół jego szyi.

— Przecież nie możesz winić dziewczyny, że zaczyna to lubić, prawda?

— Winnifred Gardner, jestem zaszokowany.

— Tak, widzę, jak szok pożera każdą twoją komórkę.

— Och, tak! Tylko pamiętaj, że nie możesz winić chłopca za to, że odpowiada na propozycję małej, ognistej seks-bomby, która...

— Mała, ognista seks-bomba?!

— Mała, ognista seks-bomba, która trzyma w kuchni kubek podpisany pseudonimem „Morderca”.

— Odszczekaj to, Jo-Jo Duggan, albo będziesz żałował! — pociągnęła go za włosy.

— Auuu! Uważaj, Morderco! Dobrze — sama tego chciałaś! — Złapał ją za nadgarstki i pokazał jej, kto tu jest panem.

— Ależ oczywiście, panie Duggan, przyznaję się — rzekła w końcu ze skruchą.

Pocałował ją wreszcie, udając, że traci kontrolę nad swoimi odruchami: kładąc się na niej i wymachując rękami,

jakby pływał na desce. Śmiała się tuż przy jego ustach i wydawała z siebie przytłumione dźwięki:

— Czy zamierzasz mnie zgwałcić?

— Tak, i założę się, że będziesz w siódmym niebie.

— Czy powinnam z tobą walczyć, czy pójść na współpracę?

Nagle wezbrała w nim fala pożądania. Harce zmieniły się w regularne ruchy, napadł na jej usta, brodę, szyję, potem piersi z zapierającą dech energią.

— Nigdy nie zwracałem uwagi na niechętne kobiety.

— Czy wiele spotkałeś... niechętnych?

Jego wysunięta szczeka jak stalowa szczotka drapała jej rozochoczoną pierś. Uwielbiała to.

— Żadnej.

— A te pozostałe? Ile ich było? Wycofał się spoglądając w jej oczy.

— To moja mała tajemnica. Tak bardzo cię to ciekawi? Miała ma końcu języka komentarz, ale zamiast go

wypowiedzieć, ujęła jego twarz w obie dłonie i odezwała się z poważną miną:

— Oczywiście, Josephie Dugganic. Nienawidzę każdej z nich choćby za to, że miały cię przede mną. I wiem, że nie mam do tego prawa.

— Masz całkowite prawo, po ostatniej nocy.

Oczy dziewczyny zaszły łzami, a miękkie usta rozwarły się w krótkim oddechu — jeszcze nie szlochu, ale i nie westchnieniu. To musiało zostać powiedziane. O tak silnym uczuciu trzeba było opowiedzieć.

— Boże, pomóż mi, Joseph! Kocham cię!

— W takim razie: Boże, pomóż nam obojgu, a nie tylko tobie.

Tym razem jego ciało przylgnęło do niej z jeszcze większą czułością. Ich pieszczoty różniły się zupełnie od wczorajszych od pierwszej chwili. Były bogate, powolne, pozbawione wszelkich szaleństw, niemal ostrożne. Przyglądali się sobie wzajemnie, swoim twarzom i ciałom,

pieścili wzrokiem z równą satysfakcją, jak dłońmi. Nie mówili do siebie ani nie wykrzykiwali, ponieważ ich spotkanie nie miało na celu zaspokojenia pożądania, ale połączenie dusz. I tak też się stało. Jedynie Joseph doszedł do szczytu, ale Winn zupełnie się tym nie przejmowała. Mogła mu się oddać i być zadowolona, kiedy już było po wszystkim.

I ten ich fizyczny związek w swej prostocie i czystości był niemal druzgocący.

— Kocham cię! — przysiągł, gdy skończyli.

— I ja ciebie kocham — wyznała i zalała się łzami. W kilka minut później umówili się, że będą to ostatnie

łzy tego dnia. Że będą szczęśliwi, beztroscy, że nie będą rozmawiać o nikim innym z wyjątkiem ich samych. Spędzili dzień razem, jadąc do Bemidji pickupem cadillaciem z 1954 roku. Pogrzebowym, szarym monstrum na dwadzieścia dwie stopy długim, z szynami na trumnę i czteroma drzwiami, welurową tapicerką wystarczająco ekskluzywną, by ugościć każdą trumnę. Za siedzeniami znajdowały się trzy stopy wolnej przestrzeni, w której w czasie pogrzebu przewoziło się kwiaty. Od niej właśnie wywodziła się nazwa — kwiatowy samochód.

Wehikuł był tak luksusowy, że ludzi owej epoki doprowadzał wręcz do obłędu. Podczas ponad cztero-godzinnej jazdy Winn wyciągnęła się na siedzeniu, wywieszając nogi z okna i kładąc głowę na kolanach Josepha. Pięć mil przed Bemidji skręcili, jak nakazywały tablice informacyjne kierujące na wielką aukcję. Zaparkowali ca-dillaca na poboczu wąskiej, żwirowej drogi, wśród tysięcy innych ustawionych wzdłuż jezdni na długości ćwierci mili w obu kierunkach. Spędzili dzień wędrując po farmach pomiędzy gospodarzami ubranymi w drelichowe spodnie i ich żonami o kręconych włosach upiętych pod błękitnymi chustkami zawiązanymi na czołach.

Joseph i Winn dotrzykali danego sobie słowa. Zapomnieli o wszelkich zewnętrznych siłach nękających ich i ba-

wili się swoim towarzystwem trzymając się za ręce, śmiejąc się, czasami kryjąc za ogromne maszyny, by wymieniać pocałunki. Ford z czterdziestego pierwszego roku okazał się zardzewiałą, pozbawioną kół kupą złomu, która zdaniem Josepha nie była warta uwagi. Bawił ich jednak srebrny głos prowadzącego aukcję, wzywający zgromadzonych z zaskakującą bystrością:

— Uwaga, hej! Hej! Wystawiam na licytację tę małą piękność, prawdziwy cud-automobil; czy słyszę pięćset na początek? Pięćset, pięćset, kto da pięćset? Czy słyszę pięćset? Hej, ludzie! Wyjmijcie te drobne z kieszeni, czy słyszę czterysta pięćdziesiąt? To jest naprawdę piękny wyścigowy numer, potrzebuje tylko małego przeglądu i kilku poprawek; czy słyszę czterysta pięćdziesiąt? Nikt nie robi już takich, jak ten! Czy słyszę czterysta pięćdziesiąt? Czterysta pięćdziesiąt na początek! W porządku? W takim razie puścimy jeszcze! Czy słyszę czterysta na początek? Czterysta — cena wywoławcza! Czterysta, czterysta...!

Jo-jo śmiał się. Było to coś cudownie ożywiającego, tak spacerować trzymając się za ręce, gdy słońce zaglądało im w twarz, podsłuchiwać targujących się mężczyzn o czerwonych nosach i wielkich jak beczki brzuchach. Dzieci i psy przeciskały się przez tłum, gospodynie z sąsiednich farm przepychały się pomiędzy towarami i poszturchiwały przybyłych. Joseph i Winn stawali się mimowolnymi uczestnikami okruczeństwa życia osobistego wszystkich prowadzących wyprzedaż, spacerując między przeróżnymi cudami porzucanymi tu i ówdzie na podwórkach: krzesłami, stołami, ozdobnymi serwetkami, brzuchatymi piecykami, garnkami do marynowania, miotłami, zwojami sznurka, naczyniami i żłobami, starymi maszynami do szycia i snopowiązałkami. Delektowali się dźwiękami dobywającymi się ze starego pianina, przy którym stało obrotowe krzeselko przystosowane specjalnie do instrumentu, na czterech ozdobnych nóżkach z pazurkami, z któ-



rych każdą dodatkowo przystrojono bursztynowym marmurem.

— Wyobraź sobie, co moglibyśmy porzucić na naszym podwórku, gdy będziemy mieli siedemdziesiąt lat i zorganizujemy aukcję — powiedziała Winn.

Szli z Josephem wzdłuż kwitnących krzewów kap-ryfolium i kompletu ośmiu dębowych rzeźbionych krzeseł. Luźno machali splecionymi rękami.

— Czy naprawdę będziemy mieli siedemdziesiąt lat i zorganizujemy aukcję? — spojrzał na nią z tajemniczym wyrazem twarzy krocząc tak, że zahaczał stopami o własne buty.

— Powiedziałam: wyobraź sobie.

— Ach: wyobraź? W porządku, zobaczymy. Więc będzie ogromna sterta starych, zużytych butów sportowych, i druga, może jeszcze większa — rakiet. Niezliczona ilość worów pełnych zniszczonych dresów i koszulek z obciętymi rękawami...

— ...i brzuchy — dodała.

— I brzuchy — potwierdził. — I co jeszcze?

— I całe podwórko twoich starych samochodów, Joseph. Wszystkie oczywiście we wspaniałej formie. I będziemy się bogacili, bogacili, bogacili... dzięki nim. A osiemdziesiąte urodziny spędzimy podróżując po oceanach i rozkoszując się luksusami.

— I będzie jeszcze jeden kontener białych plastikowych pudełeczek po pudrze i śnieżnobiałych, puszystych poduszczykach.

— Och, prawie o tym zapomniałam! — przymrużyła jedno oko, chroniąc je przed promieniem słońca oświetlającym jej twarz. — Tylko dlaczego cały kontener?

— Ponieważ zużyłem strasznie dużo Chanel Nr 5, pudrując cię co noc przez pięćdziesiąt lat.

— Co noc?

— Co noc.

— Ale, Joseph! Ty będziesz miał siedemdziesiąt lat!

Skrzywił się z przekorą.

— Wyobraź sobie, jak dobry będę w tym po pięćdziesięciu latach praktyki. — Schylił się i ugryzł ją w nos.

— Rozmawiamy o pudrowaniu, prawda?

— O tym również.

— Przestań więc paplać, stary człowieku, i powiedz mi, co jeszcze będzie!

— Kołyski i wysokie krzesła z czasów, gdy nasze dzieci były małe.

Winn wsunęła ręce do kieszeni jego spodni i stanęła z nim twarzą w twarz.

— Joseph, nie będziemy sprzedawać mebli po naszych dzieciach. Zapomnij więc o tym pomysle.

— Ale dlaczego, kwiatuszku? Obeszła go dookoła.

— Ponieważ będziemy mieli wnuki, które będą nas odwiedzać, głuptasie. Będziemy musieli dla nich zostawić te sprzęty.

— Ależ oczywiście! Masz rację, Morderco! A czy mogę sprzedać ten porcelanowy chiński serwis z twoim pseudonimem?

— Jaki chiński serwis? Przecież to tylko jeden kubek!

— No, wiesz. Jestem już zmęczony tymi ciekawskimi spojrzeniami ludzi, gdy widzą go stojącego w kuchennym kredensie obok naszych mazideł i geritolu. Zawsze zastanawiam się, czy oni myślą, że to jest moje.

Spojrzeni na siebie, uśmiechnęli się, parsknęli, aż wreszcie wybuchnęli huraganem śmiechu. Złapał ją w swe ramiona i trzymał delikatnie, kołysząc w przód i w tył, rozkoszując się sytuacją. W końcu pociągnął ją za rękę i usiadł na jednym z dostojnie wyglądających, starych, kuchennych krzesel.

— Chodź tutaj! — usadził ją obok siebie. Siedzenie było rozgrzane przez padające nań od kilku godzin promienie wiosennego słońca. Wokół krzewów kapryfolium przed nimi tysiące pszczoł brzęczało zbierając pyłek. W do-

le podwórka prowadzący licytację wciąż wykrzykiwał swe zaklęcia. Jego przytłumiony głos docierał do nich poprzez szarzące powietrze zalanego jeszcze słońcem popołudnia. Joseph wciąż trzymał rękę Winn, siedząc na nagrzanym, drewnianym krześle ze stopą opartą na kolanie.

— Słucham? — spytała zauroczona nagłą zmianą jego humoru.

Jego wyraziste, brązowe oczy częściowo zakryły na wpół przymknięte powieki, a na policzki spływał igieł-kowaty cień jego długich rzęs. Uśmiechnął się do niej i potarł delikatnie kciukiem zewnętrzną powierzchnię jej dłoni.

— Po prostu chciałbym tutaj usiąść na chwilę i nasycić się panującym tu nastrojem. I patrzeć na ciebie.

I właśnie to robili... przez pełne pół godziny. Siedzieli w słońcu na twardych, rzeźbionych krzesłach, twarzą w kierunku rzędu pachnących krzewów. Spoglądali na siebie. Trzymali się za ręce. Głaskali kciukami. Zapamiętywali i marzyli.

„Kiedy ostatnim razem poznawałam jakąś osobę w ten sposób?, zastanawiała się Winn. Kiedy czułam taką przyjaźń i przywiązanie? Kiedy było mi tak wspaniale dzieląc po prostu to samo słońce z tą drugą osobą? Jakie to cudowne i rozkoszne uczucie! Jak to wspaniale, że Joseph rozumie wartość takich chwil jak ta”.

Jej serce przepełniła radość.

„Kocham tego mężczyznę: jego twarz, włosy i figurę. Kocham tę radość, tę przyziemność i brak niepotrzebnego patosu. Kocham dźwięk jego śmiechu, ruch jego brwi, linię ust. Kocham nasze wspólne zainteresowania, które wciąż odkrywamy. Czas, który z nim spędzam, ma urok, którego nic i nikt nie jest w stanie mi zapewnić. Odpowiadamy sobie. Joseph i ja. Czy życie z nim zawsze będzie takie piękne?”

Pozbawione uśmiechu usta Josepha poruszały się w rytm słów.

— Czujesz to, prawda?

— Tak.

Nie było potrzeby niczego wyjaśniać.

— Myślę, że moglibyśmy to mieć na zawsze: ty i ja.

— Też tak uważam, Joseph.

— Ale umówiliśmy się, pamiętasz?

— Tak, umówiliśmy się.

Odwrócił więc wzrok od jej przepięknej twarzy i wciąż trzymając jej dłoń pochylił się, by oprzeć łokcie na swoich kolanach. Przyrzekła, że dziś nie będzie więcej płakać. Wystawiła twarz do słońca z nadzieją, że może wysuszy ono drobne kropelki, które zgromadziły się na jej rzęsach. Twarda skóra Josepha pogładziła kostki jej dłoni. Winn pragnęła siedzieć tak z nim przez wieki i marzyć — być może aż do chwili, gdy podejdzie prowadzący aukcję i spyta: „Ile pani daje za tego mężczyznę, za Josepha Duggana?”

I Winn wtedy odpowiedziałaby: „Wszystko, co posiadam!” Byłoby to takie proste!

— Czeka nas długa podróż do domu powiedział cicho. — Czas, byśmy ruszali.

W powrotnej drodze nie położyła już głowy na jego kolanach, a on nie wydawał się śpiący. Przez większość czasu siedziała przytulona do jego ramienia, zahaczywszy nagie stopy o krawędź siedzenia, trzymając się dłonią za kostki.

Jechali w milczeniu. Długo. Zajęci własnymi myślami, które krzyczały niewypowiedzianymi dotychczas problemami.

Kolacja w przydrożnej restauracji okazała się niewypałem, ponieważ żadne z nich nie było głodne, choć oboje wybierali kapryśnie i zamawiali najwymyślniejsze dania.

Była jedenasta wieczorem, gdy zatrzymali się na ulicy Winn. Joseph zgasił silnik, ale żadne z nich nie poruszyło się. Spojrzał na frontowe drzwi i w końcu zapytał:

— Mogę wejść?

— Nie. Nie dzisiaj.

Nie spytał, dlaczego. Wiedział. Westchnął, wtulił się w siedzenie i podrapał się po nosie zamykając przy tym oczy.

— Joseph, ja... dziękuję ci za...

— Dosyć — krzyknął ze złością przerywając jej i odwracając od niej głowę. Spojrzał przez okno ściskając dolną wargę między kciukiem a palcem wskazującym.

Winn przerwała niepewnie sięgając po klamkę drzwi, ale po pierwszym stuknięciu mechanizmu poczuła na swoim ramieniu uścisk mężczyzny.

— Co zamierzasz zrobić?

Jej załzawione oczy spotkały jego przeszywający powietrze wzrok.

— Myśleć. Długo i wytrwale.

— I...?

— I potrzebuję czasu, Joseph. Przyrzeknij, że nie zadzwonisz do mnie i nie będziesz próbował się ze mną spotkać, aż ja się odezwę.

— Siedzieć beczynnienie? Oczekujesz, że będę siedział i nic nie robił, kiedy ty wrócisz do niego i będziesz planować ślub?

— Joseph, proszę, przyrzekłeś!

— Tak, tylko że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić! — Proszę, nie niszczyć końca tak cudownego dnia.

— Jeszcze się nie skończył. Powiedziałem, że chcę wejść.

— Joseph, to nie jest...

— W porządku więc — warknął. — Nie wejdę. — Siedział rozciągnięty na fotelu, oświetlony blaskiem lamp. Nagle porwał ją w ramiona. — Tu jest wystarczająco dużo miejsca, żebyśmy mogli zrobić to, czego oboje pragniemy! — Zmiażdżył ustami jej wargi, ale w połowie pocałunku Winn złapała go z całej siły i przyciągnęła do piersi. Była jednocześnie przerażona i rozwścieczona, ponieważ czuła dzikie pożądanie wzbierające w jej ciele, takie, jakie

on czuł przez całą drogę do domu. Teraz wybuchło ze zwierzęcą energią zarówno w Winn, jak i w Josephie. Zamiast odeprzeć go, poddała się, wtulając się w jego ramiona jedynie na chwilę, zanim osunęła się wygodnie w dół czując, jak oplata ją nogami bez jakiegokolwiek cierpliwości i delikatności. Jego usta były twarde jak stal, gdy ochoczo przyciskał nimi kipiące namiętnością wargi dziewczyny. Ten karzący pocałunek trwał niecałą minutę, zanim Joseph wycofał się. Oddychał nierównomiernie, gdy zaczął nerwowo rozpinać swą koszulę. Wydarł ją zza paska klęcząc nad dziewczyną z jedną nogą opuszczoną na podłogę, a drugą zgiętą tuż obok jej ciała. Przeszywali się wzajemnie wzrokiem, odrzuciwszy wstyd. Dziewczyna również odpięła guzik i zamek błyskawiczny w spodniach, potem razem ściągnęli je jedynie z jej prawej nogi, gdyż podniecenie nie pozwoliło im zsunąć ich do końca. Jego ubranie również nie zjechało poniżej kostek, gdy okrył ją swym ciałem. Kiedy opadł, złapał ją za kolano i rozszerzył jej nogi. Kobieta stopą dotknęła krawędzi okna i oparła się na niej, by unieść się na powitanie mężczyzny. Oboje zbliżali się do szczytu podniecenia.

I w ten sposób pragnęli zrekompensować sobie szkody wyrządzone im przez los. On — zagłębiając się w niej coraz bardziej, ona — unosząc się, by napotkać jego wzmagającą się siłę i żywiołową potrzebę zażegnania płonącego pomiędzy nimi konfliktu, o którym oboje dobrze wiedzieli, że nie ugaszą go w ten sposób.

Ale było wspaniale. I choć wyczyn ten stał się bezowocny, przywrócił im życiowe siły. Rzucili się na siebie, zaciskając palce dłoni na biodrach i pośladkach prawie do bólu. Mężczyzna krzyczał, a dziewczyna łkała. I w końcu oboje rozplakali się pełnym bólu i satysfakcji, nasyconym i cudownym, choć żalonym zawodzeniem.

Jej szczyt był jak uderzenie gromu, a jego — jak błyskawica na nocnym niebie. A gdy ich wyczerpane ciała

opadły splecione i nasycone, zrozumieli doskonale, co zrobili, a czego nie.

Gdy w końcu odezwał się, jego pełen skruchy głos przytłumił kołnierz jej bluzy, która wisiała na wpół zdjeta.

— O, Boże, Winn, przepraszam!

— Ja również...

— Dlaczego to zrobiłem, skoro cię kocham?

— A dlaczego ja? Jestem mniej więcej tak samo winna, jak ty.

— Nigdy więcej tego nie zrobię, przysięgam. Nigdy więcej w złości.

Czy on płakał? Mój Boże, czy on płakał?

— Ciii... — uspokoiła go, wtulając palce w jego wilgotne włosy. — Ciii...

Objął ją pewnie, jakby była jego własnością. Uniósł głowę i powiedział łamiącym się szeptem:

— Czy... Czy zraniłem cię, Winn?

— Nie, czuję się dobrze. Jestem tylko trochę zmieszana. Wycofał swe ramiona i mruknął cicho zaciskając oczy i łapiąc się za włosy.

Próbowała odegnać chmury smutku gromadzące się w jego duszy. Pragnęła, by się uśmiechnął.

— A czy ja zraniłam cię?

Z jego gardła wydobył się krótki, pozbawiony radości śmiech. Powoli uwolnił się z jej uścisku, naciągnął dzinsy, uniósł jej nogi na swoje kolana i usiadł za kierownicą. Skrzyżował na niej swoje ramiona i spuścił głowę.

Zabrała stopy z jego kolan, uporządkowała ubiór, przebiegła palcami obu dłoni przez włosy i westchnęła głęboko. Jo-jo siedział przygnębiony, bez ruchu.

— Joseph, muszę iść do domu.

Mężczyzna powoli podniósł głowę. W jego oczach malował się zamęt.

— Zadzwoń do ciebie, kiedy — jeśli w ogóle! — wyzwolę się z innych zobowiązań.

Siedział bez ruchu milcząc jak posąg. Pochyliła się ku

niemu i *złożyła* pocałunek na jego ustach, dotykając jego brody. Poprosiła:

— Nie wiń siebie. Robiliśmy to razem.

Jo-jo przełknął ślinę. Jej głos uderzył jak dzwon w ciszy.

— Do widzenia, Joseph.

Gdy wysliznęła się z samochodu, mężczyzna pochylił się, jakby zbudził się ze snu, by dostrzec, że naprawdę odeszła.

— Winn, poczekaj!

Ale usłyszał jedynie trzask drzwi auta i zobaczył, jak podbiega do domu, by jak najszybciej znaleźć się za drzwiami.



## ***Rozdział XI***

Podczas następnych trzech dni Winn dowiedziała się o łzach więcej, niż w całym dotychczasowym życiu. W czwartek wieczorem pomyślała, że wcale nie tak trudno jest zapłakać się na śmierć.

Niedzielę spędziła na przemian szlochając i ocierając łzy, biegając po kostki lodu, by okładami uśmierzyć ból opuchniętych oczu. Na domiar złego zadzwonił Paul i spytał: „Gdzież ty się podziewałaś przez cały wczorajszy dzień i wieczór?” Winn zmuszona była wymyślić jakieś kłamstwo. Żeby zupełnie ją pogrążyć, zadzwonił również Joseph, ignorując prośbę o milczenie. Chciał tylko powiedzieć, że ją kocha, że czuje się podle i że chce się z nią zobaczyć. I chociaż zdołała go odwieść od tego pomysłu, odwiesiwszy słuchawkę zalała się nową falą łez.

W poniedziałek, w szpitalu, w którym nie było już Merry, jej przygnębienie wciąż dawało się we znaki, choć starała się je ukryć pod maską uśmiechu, którą nałożyła dla dobra innych pacjentów. Tego dnia wieczorem zadzwonił Paul, by powiedzieć, że tęskni za nią, i że wróci do domu w środę koło szesnastej. Spytał też, czy Winn może wyjść po niego na lotnisko.

Wcale nie zaskoczył jej dzwonek telefonu, który odezwał się o dziewiątej. Tym razem Joseph zdenerwował się na nią, potem gorąco przeproszał, a potem powiedział do niej „Morderco” swoim najśłodszym i najbardziej ujmującym za serce głosem, jaki słyszała.

— Hej, Morderco! Kocham cię, nie zapominaj o tym! Winn po raz kolejny rozplakała się tak mocno, że z wyczerpania zasnęła.

O szóstej trzydzieści rano znów zadzwonił Joseph.

— Do diaska, nie zmrużyłem oka tej nocy. Zabijesz mnie, kobieto! Proszę, powiedz mi, że nic zamierzasz za niego wyjść.

Jezu Chryste, cóż za cudowny sposób na rozpoczęcie nowego dnia — znów się rozplakać... Roniła łzy przez następne osiem godzin w szpitalu, wróciła do domu wykończona i już miała paść na plecy na środku pokoju gościnnego, gdy znów zabrzączał dzwonek telefonu. Tym razem był to handlarz nieruchomości z prośbą, by opuściła dom około siódmej, gdyż chciał pokazać go potencjalnym nabywcom: parze, którą spotkał już kiedyś. „Zdaje się, że będziemy mieć szczęście”, zakończył. Z westchnieniem powiedziała mu, jak będzie mógł się z nią skontaktować. Gdy wychodziła z domu, ponownie zadzwonił Joseph.

— Nie mogę rozmawiać, Joseph. Muszę opuścić dom, żeby handlarz nieruchomości mógł go pokazać klientom. To już prawie pewne, bo ci ludzie oglądają go po raz drugi.

W słuchawce odezwał się zdesperowany głos:

— Winn, nie próbuj sprzedawać tego domu! Przycisnęła dłoń do czoła, by powstrzymać łzy, które nagle zaczęły spływać jej po policzku.

— Joseph, muszę wyjść.

— Winn, proszę! Ja cię ko...! — prawie krzyczał do słuchawki, gdy dziewczyna zmusiła się, by ją odwieść.

Pojechała do domu swojej matki, ponieważ nic mogła wymyślić innego miejsca, w którym byłaby uchwytne dla handlarza.

Gdy tylko postawiła pierwsze kroki w kuchni Fern Gardner, ta natychmiast spytała:

— Co do Ucha się z tobą dzieje?!

— Nic.

— Z takimi opuchniętymi oczami? Kogo próbujesz oszukać?

Fern złapała córkę za policzek i przyjrzała się jej bliżej.

— Wyglądasz okropnie, kochanie.

— Dziękuję, mamó — odpowiedziała Winn sarkastycznie.

I wtedy w oczach Fern pojawiła się znana jej już iskierka.

— Pewnie tęsknisz za Paulem?

Jedyne, co mogła w tym momencie zrobić Winn, to powstrzymać się od żalosego śmiechu. Podczas naj-bUższej godziny, gdy Fern paplała o tym, jak to doskonale przebiegają przygotowania do ślubu, Winn zgrzytała zębami i zaciskała pięści. Chwilami miała ochotę krzyknąć na swą matkę, żeby się zamknęła. W końcu jednak uciekła do łazienki tylko po to, żeby choć na kilka minut oddalić od siebie tę nieustanną gadaninę o weselu. Stojąc tak w zamkniętej łazience przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. „Powiedz jej, tchórze, no powiedz jej!” Ale perspektywa wyjścia stąd i rozwiania wszystkich nadziei matki była przerażająca. „Na co czekasz, Gardner? Na zaproszenie?” Poczowała nagły skurcz w żołądku, chwilowo straciła poczucie rzeczywistości, na dłoniach pojawiły się kropelki potu. Z przerażeniem pomyślała, że powodem tych straszUwych katuszy jest mimo wszystko miłość.

Na zewnątrz w pokoju gościnnym zadzwonił telefon.

— Winn, to do ciebie! — zawołała Fern. Niestety — był to handlarz nieruchomości. Właśnie otrzymał całkiem niezłą ofertę na kupno domu.

„Winn, nie próbuj sprzedawać tego domu! Winn, do diaska, kocham cię!” Wpadła w panikę. Czające się dotąd w zakątkach trwogi i niepokoje opadły teraz na nią jak ogromna pajęczyna. Grając na czas powiedziała handlarzowi, że musi przemyśleć ofertę i że skontaktuje się z nim albo jutro, albo jeszcze dziś wieczorem.

— To dobra oferta — przypomniał jej. — Nie zwlekałbym zbyt długo z odpowiedzią.

Winn odwiesiła słuchawkę i wbiła wzrok w ścianę.

— Czy ktoś kupuje twój dom?

— Tak.

Fern uniosła ręce w dziękczynnym geście.

— Alleluja! To jakby los chciał ci zrobić piękny prezent ślubny! Kochanie, jestem taka szczęśliwa z powodu ciebie i Paula!

To dołało oliwy do ognia. Z oczu Winn jak z gejzera trysnęły łzy. Dziewczyna opadła na obity skórą fotel, ukrywając twarz w dłoniach i szlochając niepohamowanie.

Fern osłupiała ze zdumienia.

— Dlaczego, Winn, kochanie? O co chodzi? Uklękła na jedno kolano i pogłaskała córkę po głowie, czując, jak szloch wstrząsa jej ramionami.

— Och, m-mamo! To naj...najgorsza rzecz na świecie. Tak o-kropna, że jak ci po...powiem, będziesz chcia-ła umrzeć!

Fern zaniepokoiła się nie na żarty.

— Jesteś chora? To jakieś problemy zdrowotne, czy... czy...

Winn potrząsnęła głową z taką energią, że jej rozwiane włosy musnęły twarz matki.

— To... To coś gorszego.

— A cóż może być gorszego?

Winn uniosła swe zalane łzami oczy i przetarła dłonią nos.

— Nie... Nie mogę wyjść za Paula, ma...ma-mol Nie kocham... go!

Fern wyglądała na zaskoczoną. Spoważniała, a jej twarz pociemniała jak karoseria ciężarówki pogrzebowej Josepha. Zacisnęła wargi i oparła się na kolanach córki. Przycięła dłoń do serca i odezwała się napiętym, dudniącym głosem:

— Nie, nie możesz tak myśleć...

— Ale myślę. Powiedziałam dokładnie to, co myślę. — Winn zerwała się z krzesła i skierowała się w stronę kuchni. Potem odwróciła się, by ujrzeć, jak jej matka wciąż klęcząc na podłodze nie potrafi poradzić sobie z tą wiadomością.

— Nie kocham go, mamó. Ja... Ja kocham kogoś innego.

Teraz, gdy wyrzuciła z siebie te słowa, poczuła przypływ ulgi.

— Kogoś innego? — Fern zerwała się na równe nogi, a jej twarz przybrała granitowy wyraz. — Jak śmiesz przychodzić do mnie trzy tygodnie przed ślubem i mówić mi takie rzeczy?!

— Nie wiem, jak śmiem. Gryzło mnie to przez cały tydzień. Tylko to, że myślałam. Zdecydowałam jednak, że albo ty, albo ja, mamó. I w końcu wybrałam siebie.

— A cóż to znaczy: ty albo ja? — skoczyła na nią Fern.

— Albo uszczęśliwię ciebie, albo siebie. Mamó, czy ty nie widzisz, że to ty podziwiasz Paula, nie ja? Płamy niezdrowej czerwieni pojawiły się na naprężonych złością policzkach Fern.

— Jak śmiesz mówić do mnie takie rzeczy?! Winn westchnęła i opadła z sił.

— Mamó, usiądź, proszę. Jest tyle rzeczy, o których powinnyśmy były porozmawiać przez ostatni rok, a nie zrobiłyśmy tego. O Paulu, o mnie... o tobie... a nawet o Ricie.

Fern zmarszczyła czoło.

— O Ricie? Czy masz na myśli jego komputer?

— Tak, jego komputer. Usiądź, mamó, proszę.

W końcu Fern przysiadła na krawędzi fotela podobnego do tego, w którym siedziała Winn. W oficjalnej pozie założyła nogę na nogę z miną, jakby przed chwilą wypila puchar soku z cytryny.

Mamó, Paul i ja mamy jedną jedyną łączącą nas

rzecz, która przychodzi mi na myśl. Taniec. Ale on i tak woli siedzieć w domu i stukać w klawisze komputera, niż bawić się ze mną na parkiecie. Przecież to ty masz z nim wiele wspólnego, nie ja. Powinnam była zdać sobie z tego sprawę, kiedy mnie z nim poznałaś. Niestety: zrozumiałam to dopiero teraz i wiem, że nie mogę związać się z takim podstawionym mi mężem tylko po to, by zrekompensować ci w ten sposób braki twojej młodości.

Fern wydeła wargi, ale nie miała ochoty spojrzeć córce w oczy.

— Czy sugerujesz, że wybrałam dla ciebie Paula dlatego, że nie mogłam mieć go dla siebie?

— W pewnym sensie tak, ale...

Fern parsknęła głośno i wystartowała z fotela niczym rakietą, pokazując Winn plecy.

— Nie w sensie romantycznym, mamó, ale... No, proszę, zrozum mnie! Ten człowiek ma w sobie rzeczywiście wszystko, czego chciałaś dla mnie. Zapewnia stabilność, bezpieczeństwo i wszystko to, o co ty musiałaś walczyć, bo nigdy nie miałaś męża. Ale mnie to nic wystarczy. Ja potrzebuję kogoś, kto lubi się bawić, śmiać, kogo cieszą rozrywki fizyczne. Kto... — Winn przypomniała sobie Josepha. Ta myśl wdarła się w jej mózg jak skupiony promień słońca.

— Domyślam się, że znalazłaś to wszystko w kimś innym?

— Być może.

Fern rzuciła córce pogardliwe spojrzenie.

— W takim razie, skoro zdecydowałaś, to co mam zrobić z tymi wszystkimi gośćmi, którzy zostali zaproszeni na ślub? Co mam zrobić z prezentami, które nadchodzą cały czas na mój adres? I z dostawcami, z kwiaciarzami, z fotografem i z suknią? — Z każdym następnym słowem głos Fern stawał się ostrzejszy i wyższy, prawie płaczliwy. — Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile pieniędzy kosztowały mnie te wszystkie ekstrawagancje?

— Niedokładnie — odpowiedziała spokojnie Winn — ale mogę sobie wyobrazić.

Fern rozkołysanym krokiem zbliżyła się do córki.

— Nie dostaniesz z powrotem pieniędzy zdeponowanych za te wszystkie rzeczy, kochanie — oświadczyła, mierząc w nią każdym słowem jak piką.

— Wiem, mamó, ale spłacę ci każdy grosz. Obiecuję. Na chwilę zapanowała cisza, którą Fern przerwała

głośnym prychnięciem i odwróciła się.

— Spłacisz mi? — zaśmiała się chłodno. — I zrekompensujesz mi cały ten wstyd, z którym będę musiała obnosić się przed każdym znajomym na ulicy?

— Mamó, dla mnie to też nie jest łatwe.

— A co z Paulem? Powiedziałaś mu już?

— Nie — po raz pierwszy głos Winn zmiękł. — Powiem mu jutro, gdy pojedę po niego na lotnisko.

— Ach, cóż za cudowne powitanie! — zakpiła Fern. Nagle Winn zaczęła współczuć swojej matce.

— Czy utrata mojego ojca zmieniła cię w osobę tak twardą i cyniczną, że nie potrafisz cieszyć się, że w końcu znalazłam właściwego mężczyznę? Czy wolałabyś, bym najpierw wyszła za Paula i dopiero później stwierdziła, że to małżeństwo jest bez sensu?

Winn wydało się, że ramiona matki nagle zaczęły drżeć. Jedną dłoń położyła na żołądku, w drugiej ukryła twarz. Bez słowa potrząsnęła głową.

— Nie pytałaś mnie o Josepha, mamó — dodała Winn miękko.

— Czymże więc ten... Joseph się zajmuje? — chłodno dopełniła obowiązku matka.

— Prowadzi warsztat samochodowy.

Fern uniosła jedną brew, parsknęła wyniośle i opuściła pokój.

Ale najgorsze już minęło. Winn doskonale wiedziała, że powiadzenie o tym Paulowi nie będzie ani w części tak trudne, jak powiadomienie matki. Było cokolwiek za-

stanawiające, że Paul zdawał się być mniej od Fern Gardner uwikłany emocjonalnie w ten związek. Wyszedł z samolotu uszczęśliwiony, z przewieszoną przez ramię marynarką.

— Winn, tęskniłem za tobą! — pocałował ją, gdy ruszyli i natychmiast z ekscytacją zaczął opowiadać o przeróżnych cudach Silikonowej Doliny.

— Czy znajdziemy trochę czasu na filiżankę kawy? — spytała Winn, zanim skierowali się w stronę bagaży.

— Jasne. Poza tym jest tyle rzeczy, o których chciałbym ci opowiedzieć!

Dziwne. Nie zauważył nieczęsto spotykanego u Winn rozkojarzenia. Usiedli przy stoliku na wolnym powietrzu w restauracji „Ogród” przy lotnisku. Paul kipiał radością. Winn poczuła się dodatkowo winna, że będzie musiała przekłuć ten balonik beztroski, ale dotychczas jedyną rzeczą, jakiej pragnęła, było wyrzucenie z siebie tego wszystkiego tak, żeby mogła zamknąć ten rozdział życia i skierować je na inne tory.

Po około trzydziestu minutach Paul spytał:

— A co się dzieje tutaj? — I wtedy dostrzegł cień przemykający po jej twarzy. — Coś niedobrego, prawda?

— Tak, Paul. Coś bardzo niedobrego. Nie będzie ci się podobało, gdy ci o tym powiem, ale przyrzekłam sobie, że zrobię. Nie jest to dla nas dobra nowina i obawiam się, że cię zrani. I za to właśnie cię przepraszam.

Pochylił się i ujął ją za ręce przyglądając się jej z głęboką uwagą.

— O co chodzi, Winn?

Ćwiczyła to już dziesiątki razy. Wzięła głęboki wdech i zacisnęła palce na jego dłoni. Powiedziała otwarcie:

— Chcę odwołać nasz ślub.

Kolor jego twarzy zmienił się w okamgnieniu, a z wyschniętych nagle ust przez kilka sekund nic wydobył się żaden dźwięk.



— Chwilowo? — spytał.

— Nie. Na zawsze — odpowiedziała cicho, wypuszczając jego dłoń. Trzeba przyznać, że Paul zareagował z godnością. Jedynie jego twarz zmieniła w kilka sekund kolor z białego w szkarłatny.

— Ach, rozumiem... — Gdy Winn nie odezwała się, dodał: — Nie, nie rozumiem. Myślałem, że wszystko pomiędzy nami układa się tak wspaniale.

— Paul, odpowiedz mi uczciwie: Co cię bardziej... — poszukała w pamięci właściwego określenia — uszczęśliwia: ja czy twoja praca?

Zamyślił się na chwilę i poczerwieniał jeszcze bardziej niż przedtem.

— Rozumiesz? — nalegała. — Nie próbuję cię krytykować. Staram się uświadomić ci coś, z czego powinniśmy byli zdać sobie sprawę już dawno temu. Poznaliśmy się przez moją matkę. Ponieważ ty i ona mieliście wiele wspólnych cech, kiedy poznała cię, pomyślała, że będziesz dla mnie dobrą partią. Ale Paul... ja... Ja chyba cię nie kocham. Ja jedynie cię podziwiam, mam dla ciebie szacunek... Ale nie kocham cię. — Przerwała, by za chwilę spytać: — Czy będziesz na tyle szczery, by powiedzieć, czy naprawdę mnie kochasz? Czy też byliśmy z sobą dlatego, że wszystko poszło tak gładko i znalazło poparcie u rodziców? Zastanów się, czy nie wolałbyś żony oddającej się namiętnie grze w szachy? I z pasją stukającej w klawiaturę komputera? I dyskutującej z tobą na te tematy, jak robi to moja matka? Paul, ona jest kobietą, jakiej potrzebujesz. Kimś o analitycznym umyśle tak dociekliwym, jak twój.

— Rzekłbym, że myślisz nad tym już od dłuższego czasu.

— To się tak... zbierało przez ostatnie tygodnie. Ale zostałam porwana w wir tych szalonych przygotowań do ślubu i nie potrafiłam stawić temu czoła. Nie miałam odwagi powiedzieć światu — a szczególnie mojej matce — że wszystko odwołuję.

— Czy naprawdę możesz to zrobić tak późno? A co z tymi wszystkimi zaproszeniami, które już rozesłałaś?

— Załatwię wszystko, Paul. I wyjaśnię wszystkim, czyja to była wina.

Jego oczy nabrały lodowatego wyrazu.

— Czy jest ktoś inny, Winnie?

Było to najtrudniejsze pytanie, jakiego mogła się spodziewać, ponieważ nie chciała, żeby Paul czuł się zraniony.

— Tak, Paul, jest.

Westchnął głęboko, wstrzymał oddech, po czym wypuścił z płuc powietrze z gigantyczną siłą. Jego ramiona wykonały ruch, jakby mówił: W takim razie to załatwia sprawę.

— Paul, strasznie mi przykro. Jeśli będzie to dla ciebie jakąś pociechą, powiem ci, że matka jest na mnie wściekła. Nawet ze mną nie rozmawia. — Winn wysunęła rękę i dotknęła wierzchu jego dłoni.

— Proszę, spróbuj to jakoś zrozumieć, Paul. Nie próbuję cię znieważać, ale powiem ci, że to źle, że ty i moja matka nie jesteście w jednym wieku. Byłbyś dla niej najcudowniejszym mężem. Przechyliła się przez stół i pocałowała go w policzek. Paul czuł się całkowicie zmieszany. Nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy. Właśnie to przekonało ją, że odgadła bezbłędnie.

Było parę minut po ósmej trzydzieści wieczorem, gdy Winn stanęła na stopniach tylnego wejścia do domu Josepha Duggana. Z kuchni dobiegały dźwięki załączonego radia. Tammy Wynette śpiewała piosenkę „Stand By Your Man” tym swoim dziwnym, skrzeczącym głosem. Przez chwilę słychać było dźwięk leżącej wody, potem ktoś ją zakreślił. Winn zajrzała zza rogu przez drzwi i zobaczyła lewą część pleców Duggana ubranych w żółto-czarny baseballowy strój. Joseph stał bez butów, w czarnej czapce wsuniętej na tył głowy. Mył naczynia. Poczekała chwilę, by upewnić się, który to z Dugganów, i widząc przez sekundę jego profil uśmiechnęła się. Cichutko otworzyła drzwi i bez słowa wśliznęła się do środka. „Nawet jego plecy mnie ekscytują”, pomyślała przyglądając się, jak spłukuje filiżankę, kładzie ją na suszarkę i zanurza ręce w mydlanej wodzie. Naciągnięty złoty materiał jego

spodni przylegał ściśle do nóg jak skórka do pomarańczy, uwidaczniając każde wgłębienie i wypukłość. Na lewej nogawce miał plamę powstałą wskutek poślizgu na trawie. Winn uśmiechnęła się wyobrażając go sobie jako chłopca, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że kocha go jako mężczyznę. Gdy w końcu odezwała się, jej głos zabrzmiał ciepło, choć nie udało jej się opanować lekkiego drżenia.

— Cześć, Jo-jo!

Odwrócił się błyskawicznie. Z palców spływały mu krople płynu do naczyń i kapały na podłogę. Stał na rozstawionych nogach w swoich czarnych, baseballowych spodniach, jak zawodnik czekający na piłkę. Na prawym policzku miał plamkę kurzu, ubrany był w brudną koszulę, spod której wystawał kawałek brzucha. Wyglądał jak najbardziej nieestosownie do takiej chwili. Silny, pełen wigoru atleta z dłońmi zanurzonymi w mydlinach.

Wpatrywał się w Winn, jakby była duchem. A Winn próbowała zachowywać się, jakby nieprawdą było, że na jego widok każda komórka jej ciała drży z radości. Tym samym drżącym głosem spytała:

— Potrzebujesz kogoś do zamiatania?

— Winn, mój Boże, Winn!

— Czy wszystko, co możesz powiedzieć, ogranicza się do słowa: Winn? Po tym wszystkim, co przeszłam dzisiaj, tylko po to, żeby uciec przed depreczującym mi po piętach ślubem?

Jednym susem znalazł się tuż przy niej i przywarł do jej ciała prawie pozbawiając ją tchu. Uniósł ją w górę i przytulił mocno, nie dbając o dwa ślady płynu do naczyń pozostawione na plecach jej żółtej, bawełnianej bluzki.

— Naprawdę? Och, kochanie, naprawdę?

Ale nie dał jej dość czasu na odpowiedź. Jego usta przylgnęły do jej warg w szerokim, wilgotnym i wręcz

odświętnym pocałunku, który wirował wraz z nimi po zaniedbanej kuchni.

Dłonie dziewczyny zacisnęły się na jego głowie, zsuwając w tył baseballową czapkę. Całowali się, całowali, całowali... Ich głowy zataczały cudowne, niecierpliwe koła. Nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście trwali lak w niemym nienasyceniu. Wreszcie Winn cofnęła usta, by powiedzieć:

— Tak, naprawdę! — Uśmiechnęła się szeroko i promiennie jak budzące się majowe słońce. A jego romantyczne, „sypialniane” oczy skrzyły się jak górskie kryształy. Uwielbiała ten blask. I to, że przymrużał powieki, gdy jego doskonale białe zęby wyłaniały się spomiędzy kształtnych warg. Gdy tak unosił ją nad ziemią, złapała jego czarną, baseballową czapkę i założyła na swoją głowę tak, żeby móc wpleść swoje palce w cudowne runo jego kręconych włosów, które tak kochała.

— Czy naprawdę to odwołałaś? — spytał jeszcze raz.

— Tak, naprawdę. Powiedziałam matnie, żeby odkręciła to wszystko, przeprosiłam Paula i powiedziałam handlarzowi nieruchomości, żeby przyszedł i zabrał ten swój przeklęty znak z mojego podwórka i poinformował chętnych, że nic z tego. A zaraz potem popędziłam do ciebie z tak zawrotną prędkością, na jaką pozwala mój samochód.

Jego usta znów nią zawładnęły i w chwili, gdy całował, pozwolił jej z zamierzoną powolnością osunąć się bezwładnie wzdłuż swojego ciała. Bluza dziewczyny zaczepiła się o guziki stroju Josepha, podsuwając się w górę i ukazując jej nagi brzuch. Dłonie mężczyzny natychmiast wśliznęły się pod odzież Winn, by pieścić jej plecy i żebra.

Tommy Duggan, ubrany w strój podobny do tego, który miał na sobie Jo-jo, pojawił się nagle w kącie kuchni. Postąpił kilka kroków naprzód, założył ręce na piersi i uśmiechnął się, wsparłszy się o framugę drzwi.

— No, no, no... — mruknął. — A cóż my tu mamy? Ręce Josepha wcale nie miały zamiaru opuścić miejsca, na którym spoczywały, wyciągnął tylko szyję, by spojrzeć na swojego brata. Winn nadal trzymała ramiona owinięte wokół szyi Josepha, także nieskora do ich opuszczenia bez względu na to, czyj głos właśnie zabrzmiał.

— A mamy tutaj Mordercę nazwiskiem Gardner. To kobieta, która spędzała mi sen z powiek przez ostatnie dwa miesiące.

— Czy zamierza dołączyć do drużyny? — spytał ciekawie Tommy, wlepiając oczy w czapkę Josepha, która okazała się zbyt duża na Winn i najspokojniej w świecie spoczywała na jej uszach.

Jo-jo spojrział na Winn z zachęcającym uśmiechem.

— Co na to powiesz, Morderco? Chcesz dołączyć do ekipy Dugganów?

Namiętnie pocałowała jego usta, kończąc z głośnym mlaśnięciem.

— To zależy, kto wygra dziś wieczorem.

Jo-jo wydawał się nie zauważać obecności swojego brata. Uśmiechnął się do dziewczyny uwięzionej w jego ramionach i pogłaskał ją po plecach.

Oczy Tommy'ego podążały za dłońmi Josepha. Oderwał się w końcu od framugi, zabrał swoją czapkę z kuchennego stołu, nasunął ją na oczy i rzucił od niechcienia:

— Rzekłbym, że nie jestem wam potrzebny...? Równie dobrze mogę iść do chłopców w barze Dicka. Potem usłyszeli tylko trzask drzwi, a w minutę później — silnik ruszającego samochodu. Gdy zostali sami, wpatrywali się sobie w oczy, wciąż stojąc tam, gdzie zostawił ich Tommy. Tylko jego ręce wśliznęły się pod pasek dziewczyny, pieszcząc jej plecy.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteś — powiedział przytłumionym szeptem, pozwalając swym oczom nasycić się widokiem jej twarzy.

— Ja również. Ostatnie cztery godziny tego dnia były dla mnie absolutnym piekłem.

Ten pocałunek był inny. Zamierzony, dokładny, rozpoczęty leniwym zbliżeniem ust Josepha do i warzy jego wybranki, stopniowym zakradaniem się języków, powoli wzbierającymi emocjami, gdy ich ręce przemierzały niedawno poznane obszary pleców partnera, jego ramion, pośladków, piersi. Wreszcie przyłgnęli do siebie, jak liść do wilgotnej szyby. Jakby nigdy nie mieli się sobą nasycić. Joseph oderwał usta od dziewczyny na wystarczająco długą chwilę, by zdążyć powiedzieć:

— Tak bardzo bałem się, że cię utracę. A najgorsze było to, że nic nie mogłem na to poradzić.

— Ja też się bałam. — Gorący, rozbudzający pocałunek na chwilę oderwał ją od rzeczywistości.

Potem poczuła, że twarz Josepha pieści jej szyję, dłonie rozpinają haftki jej biustonosza. — Od tamtej nocy, kiedy spotkaliśmy się na weselu, bałam się. Pociągałeś mnie tak bardzo, że byłam wręcz przerażona. Wtedy myślałam, że jesteś podrywaczem, a tego typu ludzie bywają nieszczerzy. Potem poznałam cię lepiej i zdałam sobie sprawę, że powoli się w tobie zakochuję... — Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. — Och, Joseph, nie masz pojęcia, jakie to straszne: być narzeczoną jednego mężczyzny, a kochać drugiego!

Dłoń Josepha niepostrzeżenie posunęła się, by swym ciepłem utulić jej wolną pierś.

— Nie może to być nic gorszego, niż stanic z boku i obserwowanie, co się dzieje. Czułem się tak beznadziejnie!

Znów połączył ich gorący pocałunek. Pozwolili swym ciałom cieszyć się sobą bez ograniczeń. Joseph gładził jej pierś i bawił się jej sutką, aż ta dumnie powstała. Potem jego dłoń powędrowała w dół jej brzucha, do białych dzinsów, wśliznęła się pomiędzy jej nogi, by rozkoszować się ciepłem i wilgocią tego intymnego miejsca.

Jej dłoń również przesunęła się w dół.

— Mmm... Podobasz mi się w stroju do baseballu.

Pamiętaj, że przede mną nic nie uda ci się ukryć, nawet w tak ciasnych spodenkach!

— A kto tu próbuje coś ukrywać?

— Ja nie.

— Ja też nie.

Winn przytuliła czoło do jego nosa, roześmiała się i udając Mae West zaintonowała jej piosenkę:

„Och, powiedz mi chłopczyku, gdzie jest twój brat John?”

— Z resztą drużyny pije piwo w barze Dicka.

— Chcesz do nich dołączyć? — spytała, drocząc się z nim i szturchając pod bok.

— Tak, jasne! Myślałem już o tym. Nie ma nic lepszego dla mężczyzny, niż szklanka wspaniałego, zimnego piwa w letni wieczór.

— W takim razie nie pozwól mi... ach! powstrzymać się.

Oczy Duggana zaiskrzyły i przymrużyły się delikatnie. Winn nigdy nie będzie mogła nasycić się ich widokiem. Nawet, gdy będą miały siedemdziesiąt lat. Zresztą podobnie, jak i całym jego ciałem.

— Za minutkę tam polecę. Jest jeszcze tylko jedna sprawa, którą muszę wcześniej załatwić.

Wzmocnił uścisk ramion i tanecznym krokiem powiódł ją do drzwi, a potem na schody za zakrętem.

— Ile mamy czasu, zanim twoi bracia wrócą do domu? Koniuszek jego języka drażnił kącik jej ust.

— Pewnie nie będzie ich do północy. — Jej delikatna skóra wyczuła, jak na twarzy Josepha wykwita tajemniczy grymas. — U Dicka dają wspaniałe piwo.

Na dźwięk obcasów uderzających o pierwszy stopień schodów na chwilę odzyskali poczucie rzeczywistości. Winn jednak czując na swej szyi pętlę ramion mężczyzny rzekła pospiesznie:

— Szybciej, Jo-jo Duggan! Te cztery dni wydają mi się teraz całym wiekiem. Pokaż mi swoją sypialnię.

Jo-jo pochylił się i uniósł ją jak worek ziemniaków.

Powolnym krokiem przemierzał schody, czując na swych plecach pieszczącą dłoń kobiety.

— Pokażę. Ale najpierw zobaczysz moją łazienkę. Mam za sobą ciężki mecz. Ledwie wśliznąłem się do domu i nie zdążyłem się jeszcze przebrać. Jestem zakurzony od stóp do głów.

Łazienka — podobnie jak cały dom pamiętała epokę ich dziadków: nie było prysznic, jedynie wanna z gumowym korkiem na łańcuszku. Pomieszczenie było pomalowane na niebiesko. Na ścianie puszyły się białe łabędzie. Zobaczyła też pozbawiony odpływu zlew, za którym znajdowała się szara, marmurowa płyta przypominająca plastik. W rogu wisiał bojler, a pod nim stał kosz na brudną bieliznę i niewielki stół. Podłoga była pokryta czystym linoleum poorestniej jakości, kupionym w jakimś podrzędnym sklepie. Wytarte miejsca przykrywał niebieski, wystrzępiony dywanik.

Ale nie miało to najmniejszego znaczenia, ponieważ Winn i Joseph potrafili dosłownie wszędzie rozkoszować się ich prywatnym niebem. Joseph wrzucił swój zakurzony strój do kosza. Potem ciało, „które ledwie co” wśliznęło się do domu, teraz wskoczyło do wanny. Winn gładziła śliską, namydloną powierzchnię skóry męża zżyzny zarówno pod, jak i nad wodą.

To był jej Joseph. Jakże ona go kochała. Klęcząc obok wanny ze wzrokiem utopionym w jego oczach wyrzuciła wilgotną dłoń z wody i położyła ją na jego policzku. Ciemne oczy mężczyzny błyszczały tuż przy niej.

— Joseph Duggan... Kocham się! -- wyszeptała nienaturalnym głosem. Odpowiedziała jej cisza przerywana jedynie łagodnymi, równomiernymi uderzeniami kropli skapujących z antycznego, nieszczelnego kranu. Joseph wyjął dłonie z wody i zbliżył je do dziewczyny. Wilgotnymi kciukami pieścił jej usta. Odległość między ich twarzami malała z każdą sekundą. Cudowny, pełen zdziwienia pocałunek stał się dla nich nagrodą i obietnicą.



— I ja ciebie kocham, Winn Gardner. Wyjdź za mnie!

Wyszeptane słowa zgody utonęły gdzieś w odmętach pocałunku. Ale nikt ich nie usłyszał ani nikt się nimi nie przejął. Nie było przecież innej możliwości. Wybór od pierwszej chwili nie należał do nich, nawet wtedy, gdy w noc, w którą się spotkali, szli pod ręce tuż za młodą parą.

Zaproszeń ślubnych było dwadzieścia dwa. Każde z nich napisano ręcznie na czystym papierze maszynowym. Ale nie wszystkie tym samym piórem. Połowę z nich wypisała Winn swoim eleganckim, pochylonym pismem, resztę jak kura pazurem nabazgrał Joseph, pokonując wszelkie trudności ortograficzne i kaligraficzne. Zaczynały się słowami: Joseph Duggan i Winnifred Gardner zapraszają na ślub w Elm Creek Park...

Na dzień ślubu Joseph i Winn wybrali piątek po południu. Winn miała na sobie białą, letnią sukienkę ze zwiewnego materiału, a głowę przystrojoną pięknymi letnimi kwiatami, zerwanymi w ogrodzie matki Josepha.

Narzeczeni wyjechali hynesem trzydzieści minut przed wyznaczoną godziną, by zatrzymać się w lesie i zebrać bukiet brązowookich zuzanek, dzikich jaskrów i pachnących leśnych róż cudownie rozkwitających o tej porze roku.

Wszyscy goście już czekali, gdy młoda para przybyła na umówione miejsce ze swego spaceru. Jedynym chórem były kwilące wśród drzew ptaki, a trawa ścieliła im się do stóp jak najpiękniejszy ślubny kobierzec. Wśród zgromadzonych byli ich najbliżsi, wliczając zdziwionych Sandy i Micka oraz rodziców i braci Josepha. Przyszła również Fern Gardner, choć nie zdążyła się jeszcze otrząsnąć z szoku.

Zaślubiny trwały siedem minut i trzydzieści pięć sekund, w przybliżeniu jedną trzecią czasu, jaki strawili na przybycie w to piękne miejsce oddalone od zatłoczonego miasta.

Gdy Winn pocałowała swą matkę w policzek, na jej

twary pojawił się promienny uśmiech. Podobnie uśmiechnęli się i ci, którzy stali wystarczająco blisko, by usłyszeć następujące słowa:

— Mamo, chciałabym, żebyś poznała mojego męża, Josepha Duggana.

Podali sobie dłonie i wtedy Joseph powiedział pierwsze w swym życiu słowa do Fern.

— Pani Gardner, przyrzekam kochać pani córkę i zapewnić jej szczęście przynajmniej do siedemdziesiątki. Potem, to zależy od niej samej, czy pozwoli naszym wnukom najechać nas, spustoszyć — czy też się obroni.

Winn i Joseph Dugganowie spędzali swój miesiąc miodowy w niewielkim domku nad jeziorem Bemidji. Pierwszego wieczoru wyszli łowić ryby. To było coś, czego Winn nigdy dotąd nie doświadczyła. Z typowym dla początkujących szczęściem złapała jedyną w tym dniu rybę: i to od razu ogromnego szczupaka ważącego siedem funtów! W czasie następnej godziny, gdy nad jeziorem nie działo się nic równie interesującego, straciła całkowicie zainteresowanie tym sportem i poprosiła Josepha, by wsiedli do łódki i wrócili do chatki. Gdy weszli do środka, Jo-jo powiedział:

— Trzymaj się teraz z daleka, Morderco! Muszę wyczyścić rybę.

— Wypuść ją.

— Ale jest take wielke!

— Złapałam jednego wielkiego szczupaka, mogę złapać i drugiego.

Objęła go i przesunęła dłońmi wzdłuż jego ciała, żartując:

— O! Tu jest jeszcze jeden!

Ale w końcu Joseph postawił na swoim i wyczyścił szczupaka. Gdy skończył, zbliżała się pora obiadowa. Posiłek zjedli w restauracji „The Seasons”. Potem wrócili do swoich prywatnych spraw ukrytych na cichym brzegu jeziora. Gdy stanęli twarzą w twarz po obu stronach łóżka,

Winn poczuła się dziwnie onieśmielona. Joseph był ubrany w bawełniane spodnie od pizamy, ona miała na sobie białą koszulę nocną z cienkimi, satynowymi paseczkami i kokardą pod piersiami. Oblała się rumieńcem, a w jego oczach znów pojawił się dobrze jej znany blask. Jego pokryta grubym naskórkiem dłoń sięgnęła w jej stronę i pociągnęła ją czule.

— Podejź do mnie, Winn Duggan.

Winn podniosła ręce, by pozwolić mu objąć swe ciało. Pod uściskiem mężczyzny przylgnął do jej skóry materiał nocnej koszuli. Z jego szyi unosiła się woń cedrowej wody po goleniu, której zapach знаła już doskonale. Przymknęła oczy opierając twarz na jego gorącej szyi i czule pieszcząc jego głowę wśliznęła palce w miękkie, kręcone włosy.

— Winn Duggan — powtórzyła nagle. — Naprawdę nią jestem. — Wycofała się i spojrzała mężowi w oczy. — Jestem panią Dugganową.

Joseph zsunął jeden satynowy pasek z jej ramienia.

— Od tej chwili aż do momentu, gdy ukończysz siedemdziesiąt lat — powtórzył z mocą.

Drżące palce dziewczyny przeczesły włosy na jego piersi.

— A potem?

Z ramienia Winn spadł kolejny pasek.

— A potem... — Joseph spojrzał na satynową kokardę, którą właśnie rozwiązywały jego palce.

Koszula zsunęła się cicho i utworzyła obręcz u jej stóp. I w sekundę przed tym, jak usta i ramiona Josepha przylgnęły do ciała Winn, mężczyzna uśmiechnął się i powiedział z przekorą: — Nie zadawaj głupich pytań, kochanie. Młodzieńczy pęk wiosennego zauroczenia często rozkwita w pragnienie miłości...